

De II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 162.

—\*—

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1881.



SERYA V.

Maj.

TOM II. — ZESZYT V.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—\*—

*Ukończono druk dnia 4 maja 1881 r.*

## T R E Ś Ć.

	stron.
I. O Fraszkach Jana Kochanowskiego. Przez Felicyana. . . . .	157
II. Dzieje szlachty okolicznej w owruckim powiecie. Przez dr. Antoniego J..... (Ciąg dalszy). . . . .	183
III. Historycy współcześni jako statysci. Przyczynek do dziejów teorii politycznych wieku bieżącego. Przez dr. J. B. Oczapowskiego. (Ciąg dalszy). . . . .	201
IV. Siostra miłosierdzia. Powieść. Przez Emila Castelara. (Przekład z oryginału hiszpańskiego). Przez A. Gorajską. Tom II. (Ciąg dalszy). . . . .	221
V. Bolesław Jabłoński. (Karol Eugeniusz Tupy ur. 1813, um. 1881 r.). Przez Juliusza Mien. . . . .	240
VI. Przegląd pedagogiczny. (Ciąg dalszy). . . . .	249
VII. Kronika poznańska. Przez Ludwika Żychlińskiego. . . . .	269
<b>VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.</b>	
„Historia zbytku.“ (Histoire du luxe privé et public, depuis l'antiquité jusqu' à nos jours, par H. Baudrillart. Paris, 1878—1880. Tomów IV). Przez Al. Kraushara. . . . .	289
„O skażeniu języka polskiego w prasie,“ opracował Ludomir Szczerbowicz-Wieczór. Płock. Nakładem Izydora Wasermana, 1881 r., w 8-ce, str. 154. . . . .	299
„Szlachta w świetle opinii wieku XVIII,“ przez Władysława Smoleńskiego. Warszawa, 1881, w 8-ce, str. 16. . . . .	305
„Wycieczka w Czorsztynskie,“ skreślił Bronisław Gustawicz, członek c. k. Towarzystwa geograficznego w Wiedniu. Warszawa, nakład T. Sulimierskiego, 1881, w 8-ce mn., str. 271. . . . .	307
„O pojedynkach.“ Przez Józefa Nańskiego. Warszawa, 1881 r.; w 8-ce, str. 146. . . . .	308
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.—Wy- stawa przemysłowa w pałacu Brühlowskim (str. 310).—Kwestya języ- ka i literatury polskiej w szkołach i w uniwersytecie (310—312).— Podział uniwersytetu w Pradze na dwa równoległe oddziały: czeski i niemiecki.—Tłómaczenie „Historii literatury powszechnej” Scherra na język polski.—Rocznik zbiorowy prao naukowych (na r. 1880) młodzieży akademickiej polskiej w Warszawie (313).—Pamiętki po Sobieskim (313).—Sosnkowski: „Złoto, srebro i drogie kamienie.“ Warszawa, 1881.—Platon Kostecki nagrodzony za poemat o Kaldero- nie (314).—Ign. Zakrzewski: „O granicach Wielkopolski.”	
X. Nekrologia: Grzech Henryk Niewęglowski.—Stanisław Jani- kowski.—Benedykt Aleksandrowicz. . . . .	315



De. II. 1.

## POGADANKA O FRASZKACH

JANA KOCHANOWSKIEGO.

PRZEZ

FELICYANA.

I.

Słowo wstępne.—Kochanowskiego w dziejach sztuki zasługa i dostojęństwo.—  
Działające na niego wpływy Epoki Odrodzenia.

Ile razy w ciszy moich rozmyślań działalność sobie Jana Kochanowskiego pilnie rozpatruję, to koniecznie wydaje mi się on podobny do jednego z tych starożytnych bożków, co to w tajemniczym gdzieś gaju, pod omszoną skałą siedząc, z bezdennego dzbana przezczystą wylewali w świat krynicę. Krynica ta, w rozliczne rozbiegłszy się strumyki, zrazu po chropawych skałach skacząc, później smugami coraz mniej spadzistemi, ostatecznie ztąd i zowąd spływa w jedno wielkie rzeki zwierciadło, w którym się nawet niebo z przyjemnością przegląda pogodnie. Ożóż, tą niby rzeką, jednąjącą w siebie rozliczne strumienie, nazwałbym okazałą całość majątku, który nam Kochanowski po sobie zostawił. Gdyż jest rzeczą pewną, że jakiegobądź formy poetyckiej zaczątków dobadać się u nas zechcemy, niewątpliwie u źródła natrafimy zawsze ten geniusz jasnowidny, który kiedy się pojawił, pustkowiem tylko bezkwiatowe zewsząd wkoło niego bujało; bo możnaż poczyę naszą rodzimą od Reja poczynać, który acz znamienity zkadinał i pracownik i myśliciel, aleć mu daru wieszczego najzupełniej brakło.

Kochanowski tedy, dziedzictwa po nikim, jak to widzimy, nie wzięwszy, dorobkiem własnym (ile, że go stać na to było), ogromną majątność dla potomków gromadząc, naprawdę był do tego nawet zmuszony; boć i tu, jak w każdej innej zasłudze, przodkiem swego rodu być musisz, jeśliś, na świat przychodząc, takich już przed sobą nie zastał, których, jak to mówią, naśladować rzecz jest chwalebna, a nawet ko-





nieczna. Więc kiedy w prostocie ducha sam on wreszcie o sobie powiada:

I wdarłem się na skałę pięknej Kalliopy,  
Gdzie dotychmiast nie było śladu polskiej stopy,

to temu świadectwu jego niepodobna odmówić całkowitej wiary; z tej to bowiem właśnie skały wydobył on źródło kryształowe: naprzód przedziwnego na wszystkie sposoby języka, a następnie źródło ten strugami obfitami rozpuścił w strony tak rozliczne, że doprawdy dziwić się dziś przychodzi, jakich to on dróg nie szukał i na jakich się nie stał niedoścignym mistrzem. Od przygodnego bowiem poczynając wierszyka, jakim niezbyt się zwykli bawić głębsi myśliciele, aż do prób zwyciężkich pierwszego na ziemi naszej dramatu <sup>1)</sup>, niczego on pominąć nie chciał; wszystko zaś, owszem, z pilnością wielką tak ostatecznie urobić umiał, że odtąd śmiało prawodawcą w rzeczach wykwentu nazwać go się godzi; że odtąd wzory gotowe, jakich kto zapragnął, u niego już jednego znaleźć było można. Więc liryzm przeróżnaitych nastrojów i stopni; więc miłosne, pobożne, opisowe pieśni; więc sielska poczyza, elegijna, satyryczna, bohatera; więc wreszcie dramat, jak się wyżej rzekło: oto owe

<sup>1)</sup> Sądzę, że nawet cośby się tu o wiele silniejszego powiedzieć o tém godziło. Ile wiem, nikt dotąd nie zwrócił na to uwagi, że ten niezaprzeczenie najczystszy styl klasyczny utwór dramatyczny, wartością swoją sam jeden góruje ponad wszelkie usiłowania, jakie gdziekolwiek w tym kierunku w owym czasie podjęto. I tak: we Francji, tej przyszłej ojczyźnie Kornela i Rassyna, ciągle po dawnemu przedstawiano *Mysterya*, lub w najlepszym razie tłómaczono sławną naówczas „Sofonizbę” *Trissina* (1514), włoski dyalog, niemający jednak z klasycyzmem nic a nic wspólnego. Dopiero *Jodelle*, pierwszy (1552) spróbował, jak sam się wyraża, „sfrancuzić” grecką tragedję. Tedy wyszła z tego „*Kleopatra uwieziona*,” dzieło ze wszechmiar niedołeżne, a jak najmniej greckie, przyjęte jednak, jako nowość, z niemalym poklaskiem. W r. 1566 zjawia się nie lepsza od *Rejowego Żywota Józefa* „*Lukrecya*” *Filleula*, a w kilka lat potem doświadcza szczęścia na tém polu słynny wówczas z dziwactw swoich gramatyk *Jan de Baif*, jeden z dostojników *Ronsardowski* *Plejady*, niezmiernie nudny krzewiciel pedantyzmu bezmyślnych wierszy miarowych. Łatwo pojąć, jak się temu gramatykowi w dramacie powiodło. Kiedy zaś wyszła „*Odprawa posłów greckich*” (1577), *Bractwo Męki Pańskiej* w najlepsze wędrowały tam jeszcze od miasta do miasta, dając przedstawienia średniowiecznych niedorzeczności, w których brako nawet poczyza jakiejś takiej sztuki. Jednocześnie zaś niejaki *Jan de Hays* utworzył „*Camme*,” tragedję w siedmiu aktach; a była ta tragedia, równie jak i wszystkie poprzednie, od siedmiu boleści. Takie to tedy poprzedniki miał przed sobą skromny autor „*Odprawy posłów*,” o której mniema nawet w ducha prostocie: „iż jest blażeństwo... mółom na pokarm, abo na trąbki do apteki.” A przecież *Lope de Vega* miał w owęj porze lat dopiero piętnaście, a *Szekspear* trzynaście, w Niemczech zaś sztuka dramatyczna tak dobrze, jak wcale nie istniała.

strugi rozliczne, jakimi on, wydobytą z chropawej skały języka swego krynicę, na wszystkie strony z jednakowo pomyślnym rozproszaniem skutkiem.

To tedy wszystko gdy zważymy, czyż dziwnem nam się wyda, że oplakując go Klonowicz, wszystkich niemal znakomitości starożytnych daje mu przezwiska <sup>1)</sup>? że go pod niebo wynosi Miaskowski <sup>2)</sup>? Grochowski zaś trop w trop śladem jego stąpa <sup>3)</sup>? że jeszcze w sto lat potem Kochowski powiada o nim <sup>4)</sup>:

Hetmanem w polskich jest poetów gronie  
Jan Kochanowski....

Zważmy nareszcie, co o nim Januszowski współcześnie prawi. „Gdzie kiedy (tak on powiada) w polskim narodzie, albo rzekę śmielój, w północnym kraju wszystkim, był taki poeta zacny?... Było za czasów naszych poetów dosyć znacznych w Polsce—tak jest. Ale przed się, acz z tych każdy miał i ma swoją pochwałę, ten jednak wszystkich (z podchlebstwa nie mówię, rzeczy to same świadczą), przeszedłszy swą godnością i obcych dosięgł; a z nim, coby zrównać mógł, jeszcze go wieki nasze nie podają” <sup>5)</sup>. I nieco dalej znowu: „Ja tedy, wzięwszy przedsię człowieka tak wielkiego i rzeczy jego żadnym wiekiem niezrównane...”

Doprawdy, złote to są te jego słowa! Jakże? odrazu, u zaczątków sztuki—taka poezya, takie formy, takie szczytne słowo, taka prawda i piękno takie!

Ze jednak Kochanowski wzorów żadnych u siebie nie zastał, nie idzie zatem, iżby ich znowu nigdzie szukać nie miał. Owszem, coś podobnego twierdzić, nietylko niedorzecznością, ale oraz i nietrafnymby było wiekopomnych zasług jego ocenieniem. Z wpływów postronnych bowiem z głębokim korzystał on rozmysłem, przetrawiając je do niepoznania; i gdyby nie porównawcze na prawach ogólnych w przedmiocie tym badania, to na wiarę tych, którzy w nim dotąd jeszcze Horacyusza i obie wytykają Antologie, mniemałoby przyszło, że Kochanowski ani krokiem dalej poza naukę szkolną w świat szerszej wiedzy nie zrobił wyieczki.

A przecież zapominać nie należy, iż on na obczyźnie młodość całą przeżył, wiemy zaś dobrze, w jaki tam sposób naówczas ludzie pięk-

<sup>1)</sup> W „Żalach Nagrobnych” (VI).

<sup>2)</sup> „Lutnia Jana Kochanowskiego, wielkiego poety polskiego.”

<sup>3)</sup> Porównaj to, co się powiedziało o tém w „Monografii Trenów.”

<sup>4)</sup> „Poetowie polscy świeższy i dawniejszy.”

<sup>5)</sup> Podobnież Paprocki (pod klejnotem Korwin): „w naszym polskim języku przed nim nigdy, a po nim trudno takiego, coby z nim porównać miał.”  
A indziej znowu:

Gdyby ludzkim językiem mówili bogowie,  
Pewnieby z Kochanowskim przestali na mówić.

no uprawiali. Wzory własne mieli, a te w różnych kierunkach bardzo piękne były, powabem zaś swojej samodzielności mocno zaraźliwe.

Tu więc właściwie, jak sądzę, drogowskazu szlaków Kochanowskiego dopatrywaćby należało.

Już raz kiedyś starałem się wykazać <sup>1)</sup>, jak to on silnie miał wrodzone poczucie tego, co za dni nie tak dawnych Romantyzmem zwano (a co jabym nazwał raczej Odrodzeniem w duchu swojskiej pieśni, z mocną ludowego pierwiastku przymieszką) i jak się to on w następstwie coraz śmielej z klasycyzmu wyzwalał. Mówią tu o wpływie i jakichś zachętach Ronsarda; ale nic nad to niedorzeczniejszego. Kto wie, jak dziwnie pedantycznym Ronsard był kuglarzem, ten wprzódy wątpićby musiał o niezmiernie zdrowym naszego Jana rozsądku, niżby jakiegokolwiek pomiędzy temi dwoma upatrzył zbliżenie. Owszem, wiadomo jest przecie, że Ronsard, całkiem przeciwnie, sztukę u siebie swojską wszelkimi sposoby ku przestarzałemu naśladownictwu źle zrozumianej starożytności cofał i zwietrzałym Olimpem zanieczyszczał; i bodaj czy nie onto właśnie jest praojcem tego fałszywego klasycyzmu, z którym w następstwie Odrodzenie romantyczne tyle miało kłopotu. Więc u takiego, pytam, cóż podobnie trzeźwy umysł, jak był Kochanowski, mógł do skorzystania znaleźć?

Inna rzecz z włoskimi wpływy. Tam Dante i Petrarca przede wszystkim nauczyli go dla tak zwanęj pospolitej mowy łaciny się wyrzec, a następnie o tém tylko myśleć, jakby tu na wszelką miarę nie kim innym być, tylko sobą. Toć-że on, wzorem pierwszego, powagę i głębokość sobie przyswoił; toć-że on wprost od Petrarki miłosne przejął natchnienie. Nie tu jest miejsce obszerniej się o tém rozpisywać <sup>2)</sup>, nadmienię więc tylko z powodu Fraszek, że w tym razie znowu niezaprzeczonym jest mu mistrzem Boccaccio; ten świetny umysł tyleż realistyczny, ile tamci duchowi; tyleż ciekawy rzeczy tego świata, ile tamci zagłębieni w siebie; tyleż niesforny, ile tamci powściągliwi; a jednocześnie znowu tyle biegły artysta, że aż go to zrobiko godnym stać z niemi na równi, co téż mu nawet nie od dziś przyznano. Więc oto zkąd wziął Kochanowski przykład zmysłu poglądowego, potoczystość opowiadania, żartu swobodę i powabne słowo, nierzadko nawet swawolę. Ale na tém téż i koniec. Bo zresztą u Nowelisty włoskiego ani szukać tego, co w naszym Janie: obok pustoty zwrotu w siebie, słodkiej zadumy, a nie raz i pobożnego westchnienia. On rozpuśtny tylko i szyderski, wiary jest płochy, a żadnej miłości. To tedy zużytkowanie na swą potrzebę stron tylko mistrza tego niektórych, miarę nam daje bystrzej rozważyć, z jaką Kochanowski we włoskie wzory swoje patrzył <sup>3)</sup>. Bo rzecz

<sup>1)</sup> Jan Kochanowski, jako poeta liryczny. „Tygodnik Ilustrowany” z r. 1864.

<sup>2)</sup> Zresztą wyczerpałem ten przedmiot w powołanej wyżej rozprawie.

<sup>3)</sup> Z rzadka tylko namacać można u niego wyraźniejsze jakie naśladownictwo, jak np.: „Aretyna” we Fraszkach „Dobrym Towarzyszom gwoli,” lub w „Carmen Macaronicum” Teofila Folengo, zwanego Merlinem Coccoł.



to godna uwagi, że jeśli z klasyków, co jest niezaprzeczone, wprost brał ich pomysły; to tu, przeciwnie, ducha tylko nastrój przejąwszy, śmiało szedł dalej, ufny w obfitość własnej twórczości, jak przystało na wyzwoleńca raczej, niżli pojętnego tylko sługę. Powiedziećby się godziło, że on, po tamtej stronie, uważał niby skarb za ostatecznie obrachowany już i zamknięty, tak, że do niego ani już dodać, ani ująć z niego nic nie było można; tu zaś, przed siebie idąc, czytał tylko drogowskazy i nauczony z nich kierunku, z wiedzy tej korzystał w miarę potrzeby, jednajac w ten sposób upodobania swego społeczeństwa z tém, co jemu samemu, zgodnie z postępem sztuki, odpowiedniejszém się wydawało. I w tym względzie, bodaj czy się mylił choćby na jotę jedną; tak to on bystre miał ze wszechmiar poglądy.

## II.

Za czasów Kochanowskiego co się Fraszką zwało?—Co wtedy za bawném było, co do wcipném, a co lekkim?

Zanim do rozbioru samych Fraszek przystąpimy, zastanówmy się jeszcze chwilę: co to takiego Fraszką w one czasy zwano. Jużci nie co innego, jedno to, co się i dziś mianem rzeczy małoważnej oznaczać zwykło. Ale Rej pierwsze swoje w tym przedmiocie próby Figlikami ochrzcił. Więc, jak się patrzy, miał tu na myśli wdzięczną a wesołą formę, a także zakrój moralny z dążnością praktyczną. Bo oto co przy „Zwierciedle” z ich powodu mówi: „Rozumiem, iż ci się to będzie nieprawie zdało (czytelniku), iż te przypadki ludzkie dworskie <sup>1)</sup> są téż do tych statecznych <sup>2)</sup> rzeczy przypisane. Ale zaprawdę, więć dla ćwiczenia języka polskiego <sup>3)</sup>. A téż młody człowiek, przecedłszy (przeczytawszy), może się tu wiele ludzkimi przygodami przestrziedz. Gdyż téż to widzamy, iż każdy naród czasem téż i leda co swym językiem pisze.”

Z tego widać jasno: iż Rej, idąc z przewagą upodobań swego pokolenia, przedmioty owe, ile lżejsze, za lada sobie co uważał, a raczej tak to głośno wyznawał. Po cichu bowiem, w zacnej swojej około roboty języka krzątanie, czuł potrzebę wyłamania go i w tym nawet, potocznym (konwersacyjnym, jakbyśmy to po dzisiejszemu powiedzieli), kie-

<sup>1)</sup> Niby płochy. To jest takie, jakie pomiędzy dworzany powodzenie mają.

<sup>2)</sup> Poważnych. Jak „Zwierzyńiec,” do którego je dołączył.

<sup>3)</sup> Jak się wtedy żarliwie około roboty języka krzątano, nie od rzeczy tu jeszcze przytoczyć, co w téj mierze Łukasz Górnicki w przypisaniu królowi Dworzanińca swego, mówi: „Abowiem gdyś to W. K. M. jał pokazać widomie światu, że miłujesz koronę tę; wnet obrócili się do tego ci, którym dał Bóg więć unieć, aby Patryi swojej użyteczni byli, i jęli się rzeczy poważnych pisać językiem polskim...”

runku. Więc ostrożnie przyczepia do tego pożytek dla młodych, skłonniejszych w podobnej formie morał przełknąć, niż w poważnej rozprawie. I oto klucz wyrozumienia: dlaczego Kochanowski, ten tak powabny działania na umysły sposób, z Reja rąk niezgrabnych wychwyciwszy, kunsztem wyuczonym na obczyźnie, od razu obok najpoważniejszych swych utworów na świeczniku zatknął.

Jednak, wyznać trzeba, fraszki jego w znacznej części zaprawne są satyrą, i to nierzadko dość dotkliwą; zkądże im tedy, mimo to, przyjaciół tylu? Poprawdzie dziwić się tu tak bardzo niema czego. W owych wiekach żart gruby bywał, takim on jest jeszcze u Reja; ale i nie innym u Pudłowskiego, który już nawet Kochanowskiego jest naśladowcą. A przecież, jako taki nawet, powabem swoim pociągał i wesołość obudzał niekłamaną; więc cóż dopiero, jeśli ten żart miał wykwiśniętą formę.

Ale o rzeczy tej obszerniej nieco pomówmy. Przedewszystkiem przyda się tu słowo zboczenia: o niemałej różnicy dzisiejszego w tym przedmiocie sądu.

Fraszkom Kochanowskiego, teraz jeszcze równie jak wówczas, dowcip szczerzy przyznamy, i w tém z ich współczesnymi w zupełnej znajdziemy się zgodzie; atoli będzie to tylko spotkanie pozorne. Podobnie, jeśli byśmy je zabawnymi, lekkimi nazwali. Ale niestety, wielceśmy od owych czasów zmaleli. Zaczém i słów tamtych znaczenie bardzo dziś zdrobniało, i ze złotój bodaj monety, rozmieniło się na miedziaki wytarte zużyciem.

Zabawą wówczas nie to, co dziś było. Człek się rolą bawił, wojaczką, publicznymi sprawy. „Wolność a sumnienie, Trzeciecki powiada, w zabawionym żywocie nigdy bezpieczne (swobodne) być nie może.“ „Pan Kostka, prawi Górnicki, księdzem się Maciejowskim bawił,“ a chce przeto powiedzieć: że mu był duszą i ciałem oddany. Więc ta zabawa, jeśli uciechą była, to już na czysto moralną; bowiem właściwie: zaprzątnienie, poświęcenie, praca, stanowiły istotę jej całą.

A dopieroż dowcip. Któż nie wie, że on wtedy geniuszu miał znaczenie <sup>1)</sup>? Tak nawet rozumié o nim nasz Kochanowski w zakończeniu nader misternego sonetu:

Sława z dowcipu sama wiecznie stoi:

Ta gwałtu nie zna, ta się lat nie boi.

A indziej znowu, o łacinie chcąc wyrazić: jako ona potęgę nawet zdobywczego Rzymu przeżyła, powiada <sup>2)</sup>:

Tak zawždy trwalszy owoc dowcipu niż siły.

A teraz, co téż to lekkiém w owe czasy zwano? Nie, nie fraszki jako żywo. I komuż się dziwném dziś nie wyda to, co Januszowski,

<sup>1)</sup> Obszerniej o tém w Monografii Trenów.

<sup>2)</sup> „O Rzymie,“ ks. II, Fr. 92.



w powołaném wyżej przypisaniu swojém, z kolei wyliczania utworów Kochanowskiego, do Trenów doszedłszy, powiada: „Zostawił téż Treny, lekkie, rzeką podobno; ja nie wiem, affektu ojcowskiego przeciw działkom w téj mierze upatruje, którego nie widzę, by kiedy kto lepiej wyrazić mógł i umiał...“ Więć, jak z tego widzimy, w całym zbiorze dzieł naszego Jana, Treny jedne lekkimi tu nazwano, i te, niemal z [przeproszeniem dopiéro, wydawca pomiędzy inne włącza utwory. A cóż te Treny? Treny owe, jak to wiadomo, tkliwe są, rzewne, miękkie i przeto właśnie lekkie, to znaczy małoważne, więc co zatém idzie i najmniej podobno požądane. Tak, tak, nie dla innéj przyczyny. Osobista boleść, męzkiego ducha nie godną wtedy była, ludzie publiczne tylko odczuwać umieli kłeski. Taki to tam świat był ongi, czy lepszy? nie wiem; dość że inny niż dzisiejszy. Niegdyś już o Trenach pisząc, szczegółowiej starałem się wykazać i wytłómaczyć to dziwne zjawisko: że one, niby meteor nadziemski, jakbądź całą szkołę fanatycznych naśladowców aż w epokę Stanisławowską za sobą powlekły, nigdy przecież wziętości powszechnéj (tego co my dziś popularnością zowiemy) nie miały i miéć nie mogły; że gdyby nie Januszowskię przezorne ich w zbiór ogólny włączenie, to z powodu rzadkości swoich wydań (wszystkiego dwa), mogły być wcale do nas nie dojść. A przecież rzecz ta, dla ówczesnych tak niewiele warta, dla dzisiejszego naszego uczucia arcydziełem jest, jakiemu równego, śmiało to powiedzieć się godzi, żadne inne na świecie piśmiennictwo wykazać nie jest w możności.

Cóż tedy, w obec podobnych względów, o wielkiém naonczas „Fraszek“ powodzeniu trzymać nam dzisiaj należy? Współczesny im Kacper Miaskowski może nas o tém pouczy. Tak on powiada <sup>1)</sup>:

Trzy panie, co im wdzięczność imię dała (Gracye, Charyty),  
I Pallas jeszcze więtszego (nad Kochanowskiego) nie znała:  
Bądź kto poważnym bawi rytmem uszy,  
Bądź sztucznym żartem i okrągłym ruszy.

Tu on, jak widzimy, poprzednio przez nas wyłuszczoneń rozumiem, zabawą rytm poważny zowie, w żarcie zaś ruchliwość ocenia sztuczną, t. j. kunsztowną, i to w formie, jak mówi, okrągłej, co znaczy nadobnej, udatnej, wdzięcznej.

Nie naszą tedy modłę dzisiejszą do tych rzeczy przykładać zaiscie. I ani je téż dowcipem obecnym ważyć albo mierzyć, który sam w sobie miary żadnej ani wagi niéma. Bowiem naprawdę: kto téż z nas dzisiaj, pytam, więćej lub mniéj dowcipnym nie jest? i kto się, przy lada sposobności, czymś lub czegokolwiek kosztem nie zechce ubawić? I nietylko tak u nas, ale i wszędzie. Od francuzkiéj poczynając „Offenbachanalii,“ która, jak wiatrem wzdęta bańka mydlana, tęczowemi kusi odblaski, aż do niemieckiego „Witzu,“ który, jak obuchem wali, wszystko to, acz samo bezmyślne, ku wielkiéj naszéj ucie-

<sup>1)</sup> Lutnia Jana Kochanowskiego, wielkiego poety polskiego.

sze, w myśleniu nas wyręcza. Ztąd to bez mała powiedziéć się godzi, że dowcip za dni naszych skarłał, zmarniał, spospoliciał i stał się tuzinkowy, więc gdzie w nim waga jaka? Dopieroż jego nic nie oszczędzająca, wszystko burząca, o jutro nie dbała swawola; jestże w tém znowu jaka miara? Niestety! jakżeśmy to dalecy od czasów owych, w których dowcip uchodził za synonim geniuszu. I dlaczego tak a nie inaczej było? Bowiem zaprawę nie wielomówstwo wtedy, ale szlachetne wyróżnienie się nad tłumy, wstęp do świątyni sztuki dawało.

### III.

Swoboda żartu w owéj epoce.—Satyryczność Fraszek i ich tak zwana bezpieczeńność.—Ferment reformacyjny w tamtych czasach.—Wespasyan Kochowski w obronie Kochanowskiego.

Tedy próżnoby, jak powiadam, to, co starych ludzi niegdyś bawiło, po dzisiejszemu chcieć odczuć, lub się sobie gorszyć zbytęzną żartów tamtejszych swobodą. Po prostu: inne czasy, ludzie inni; zaczęć też pojęcia i potrzeby różne.

Żart naonczas trefnym (trafnym) <sup>1)</sup> zwano, to znaczy jednocześnie wdzięcznie zwiniętym, utrefionym <sup>2)</sup> i także takim, który trafił w samą miarę, ni mniej ani więcej. I gdyby w górę jeszcze pochodzenia wyrazu tego sięgnąć, pokazałoby się jako żywo, że on oznacza przymiot szczęśliwego trafu, t. j. rzecz można, daru wyjątkowego, który ktoś, Wyższej Woli zrządzeniem, w wybranym wziął udziale.

Co zaś do swobody, której żart w owych czasach dobrodusznym szeroco używał, to i téj nazwa już sama dziwnie z dzisiejszymi pojęciami w sprzeczności stawa. Posłuchajmy, co w téj mierze Januszowski przeznaczy o „Fraszkach“ Kochanowskiego prawi: „Niektóre są tu bardzo potrzebne, a drugie podobno bardzo bezpieczne... Pisałem o to do niego (do Kochanowskiego), na co potem odpisał mi w te słowa: „Wyrzucać co z „Fraszek“ nie zda mi się, bo to jest jakoby dusza ich“ te są jego słowa. Oględował się na to, że złość ludzka każdemu złemu jest wrodzona, a dobremu i najgorsza rzecz nie zawadzi, mając zwłaszcza przykłady inszych ludzi godnych, którzy rzeczy bezpieczniejsze na świat wydawali, za któremi przedsię u ludzi, prze insze zacniejsze sprawy, to sobie jednali, że ich przez to nie potępiali...”

Więc, jak widzimy z tego, swobodniejsze fraszki, t. j. takie, któreby mniej potrzebne wydać się komu mogły, bezpiecznemi tu nazwano. I oto znowu czarne, które się za dni naszych białém stało. Mybyśmy coś podobnego, właśnie przeciwnie, niebezpieczném prędzéj

<sup>1)</sup> Kochanowski powiada: „Jéj żart każdy był trefny.“ Do Zophiey. Ks. III, Fr. 47.

<sup>2)</sup> Klonowicz używa także wyrażenia: utrafiąć kędziory. Patrz „Worek Judaszów“ (O skórze i naturze lisić).

nazwali. Bo oto, co się to pod wyrazem tym rozumie: „U nas nie wiedzą, jakie jest bezpieczeństwo francuzkie z pany swoimi,“ tak powiada np. Górnicki, a chce przez to powiedzieć: poufałość zbyteczna. Zaczem zaprawdę i we „Fraszkach“ owych więcej też bywa poufałości, niżli znajomości; bezpieczne one, t. j. bez żadnej nad sobą pieczy—swawolne, t. j. swą się tylko rządzące wolą, rozpasane, jak to przy biesiadzie bywa, kiedy człek, pasa popuściwszy, pozwala sobie, niby nieprzymierzając Tomek w własnym domku.

I dwojaka jest ta ich swoboda. Raz rzeczy nieskromne prawią, ano znowu satyrycznym biczem siekają, niewiele tam pytając: kto swój, a kto cudzy.

W razie pierwszym, jak się rzekło, od Bokkaczia idzie na nich zaraza, potrosze i od Aretyna. Ale nie, więcej one płoche niż cyniczne, i jeszcze forma je ratuje ucieszna, a także i ten brak w nich przymusu że ktoby im niekoniecznie rad był, od reszty pism odedrzeć je sobie może. W istocie, w wydaniach „Fraszek,“ liczbowanie stronnic, na Marcinowej powieści zwyczajnie się kończy, reszta zaś, t. j. Dobrym Towarzyszom gwoli <sup>1)</sup>, niby na stracenie, niemal już poza okładką bywa przyczepiona. „Fraszki“ te nagie są, niema gadania, a wszakże doprawdy, dziwnie im daleko do powabnego zepsucia, podawanego dziś w romansach za zwyczajną strawę. Do tego, za dni tamtych, kobiety czytywały tylko w kościele, a młodzież się uczyła aż do dojrzałości, ztąd i zgorzenie o wiele było wtedy, niżli dziś trudniejsze. Wypadnie więc ogólnie: że w porównaniu z obecnymi w tej mierze moralności warunkami, „Fraszki“ te, jeszcze bodaj są bezpieczne. Nie bronię ich, ani in przypisuję tego, co Januszowski w drugich potrzebą nazywa; ale przyznać im muszę prostoduszność, nawet ponieważ bezwiedzę, a tego dziś podobno wcale ani szukać. W owym czasie bowiem, nieskromność u nas, więcej w gębie, jak to mówią, była, niż w obyczajach; a jakże to już inaczej miałeś na obczyźnie! Toćże Górnicki, sroma się w całości swego „Grafa Balcera“ przepolszczać, toćże jeszcze i nasz on Henryk Walezy, zanim do swoich z powrotem drapnął, mocno sobie surowość dworską na Wawelu przykrzył.

Przechodzę do drugiego rodzaju napotykaniej we „Fraszkach“ swobody, a tą jest satyryczna niekiedy niesformość. Własny tu już Kochanowskiego naszego zastajemy animusz: któż tego bowiem nie wie, jakim on w obyczajowych wzorkach bywał arcymistrzem? I nie to jeszcze, póki ogólnikowo tylko karci lub ośmiesza; ale kiedy, ani na stan nie bacząc, ani na powołanie, osobiście po nazwiskach wytykać pocznie; to jak tu uwierzyć, żeby zato nieprzyjaciół mieć nie miał? Miałci ich, jak się niżej opowie, ale podobno najmniej z pomiędzy tych,

<sup>1)</sup> Znaczenie tych wyrazów dosadnie objaśnić może następny ironiczny ustęp z Trzecieckiego: „Potém go (Reja) dał (ojciec) do Krakowa i był rok w Bursie Jeruzalem; też mu mało albo nie pomogło, bo już rozumiał co to jest dobre towarzystwo.



których całkiem głośno wyzywał. I to znów jedna jest z tych rzeczy, które już dzisiaj zrozumieć nie łatwo. W czasach owych, najprzykrzejsze uwagi bliźniemu bez nienawiści wypowiedać umiano. Bywało tak nawet w epoce, w której zaledwie chrześcijańskiej pobłażliwości mieć poczynano przeczcucie. Takiego Horacyusza kiedy czytasz satyry lub listy, czyż ci się nie wydaje, że to starszy brat młodszemu swemu doświadczenia owoców udziela, niekiedy karcąc go, ale ręką, w której czujesz ojcowskie serca drżenie? Jakże to inaczej dzisiejsza nasza satyryczność, czy humorystyka, czy krytyka, czy jak to tam nazwać wreszcie zechcemy! Ona poprostu miłości nie zna, taki też jej i pożytek nie nazbyt praktyczny; coś jak to ongi przy budowie Babelu było, kiedy to bracia, porozumieć się nie mogąc, bez żalu najmniejszego, rozjeść się sobie mieli w cztery świata strony. Czasy Kochanowskiego w tém od naszych różne, że w nich (własnymi to jego naiwnymi powiedziéćby można słowy):

...Synowie ojcowskiej sławy popierali,  
A dawszy sobie po łbu, potem się jednali...

Tak jest, spadkobiercami oni byli jednej wspólnej ojcowskiej spuścizny, więc jako tacy, mogli się nawet chwilowo za łby sobie imać, a przecie, prędzej czy później, z przebaczeniem wzajemnym ku sobie wracali. Sprawa domowa była, pomiędzy sweni, dałby Bóg, żebyśmy i dziś, nic więcej sobie jak tamci, obcemi a cudzemi zostali.

Rzekło się wyżej, że Kochanowski, mimo tylko co wyszczególnionych przyczyn łagodzących, żarty swojemi nieprzyjaciół się wreszcie doigrał. A stało się to tém: że o duchowieństwie, bodaj czy nie Bokkacza bezkarnym podkuszony przykładem, nader się sobie nieraz roztrzepanie wyraża. I nic to jeszcze, kiedy on do Possewina w ten sposób się np. odzywa <sup>1)</sup>:

Pośle papieżki rzymskiego narodu,  
Uczysz nas drogi, a sam chybiasz brodu;  
Nawracaj lepiej, niżli twój woźnica,  
Strzeż nas tam zawieść, gdzie płacz i tęschnica....

bo tu raczej obywatelskie uczucie wezbrane, nader wieszczo przezeń przemawia, i gdyby więcej takich głosów naonczas, nie jedno byłoby się odstało, co się ku naszej szkodzie bezpotrzebnie stało; ale gorzej stokroć, że on nie bacząc zgorszenia, w ogóle z osób stanu duchownego drwi sobie niepomiernie, miesząc je w najpociesniejsze nieraz trudności, z ich powołaniem całkowicie sprzeczne.

Składało się na to przyczyn wiele: a nadewszystko wielkie wtedy moralności rozprężenie w kościeła obsłudze. Dośćby tu takiego w tej rzeczy sterownika wspomnieć, jakim był Gamrat, ulubiony Bonic. Dopieroż frymark beneficjami. Toćże sam Kochanowski, tak dziwnie świe-

<sup>1)</sup> Na posła papieżkiego, ks, I, Fr. 49.

cki człek jak wiemy, królewską przychylnością z probostwa poznańskiego pobierając dochody, plebanem się Zwoleńskim długo podpisywał <sup>1)</sup>, a jeszcze opactwa Sieciechowskiego dlatego tylko nie wziął, że nie chciał. Mógłże więc w takich warunkach, nic go nie kosztujący chleb jedząc, o tych, którzy mu w tém bodaj towarzyszymi wesołymi byli, bardzo wiele trzymać? Niestety, takie to i tym podobne względy, ruszyły wtedy na nasz katolicyzm tak wichrowatą ze wszystkich stron reformatorów chmarę, że wreszcie było tego dosyć i aż nadto. To téż, a nie co innego, ma na względzie Górnicki, kiedy o swoim „Kastylionie” mówiąc, powiada: „a tegom zasię nie chciał, co on o mniszkach abo mnichach mówi; bo teraz mają księża tak wiele prazniku, iż go przysparzać im namniej nie trzeba.” Zaczém téż i pora to była, kiedy nawet Rej rozłukany, bardzo się był opamiętał a spowaźniał <sup>2)</sup> i jak się wyraża Trzeciński: „acz to był pan z młodu bardzo ciekawy a bezpieczny (zuchwały), a bardzo mu świeatek smakował, ale już był potem skromny, trzeźwy, spokojny.”

Więc bądź co bądź, Kochanowski nasz nader się nieopatrznie swawolnemi swemi fraszkami około duchowieństwa zaprzął, ażci z tego i guza napytał; do tego bowiem wreszcie doszło, że, jak się zdaje, snadź nader głośno za to o kacerstwo go pomówiono, kiedy jeszcze w sto lat po nim żyjący Kochowski, pamięć jego z téj strony gorliwie oczyszcza <sup>3)</sup>, w następnem uczuciem przejęte odzywając się słowa:

Żałuję twój, Janie, doli,  
Która mię jak własna boli,  
Obmownym że cię językiem,  
Udają być heretykiem—  
Jakobyś Pańskiej owczarnie  
Odstąpiwszy, uwiązał marnie  
W błędach Lutra czy Kalwina,  
Jak to zbłądzić nie nowina.  
Więc cię bronię, żeby ludzie  
Nie wierzyli téj obłudzie...

Tu zacny ten rzecznik ile może na korzyść swego mistrza dobywa

<sup>1)</sup> Jeszcze nawet w r. 1571, jak twierdzi Tańska.

<sup>2)</sup> W jego „Przemowie do poczciwego Polaka stanu rycerskiego,” znajdują się naprzykład następnę, bardzo znaczące słowa:

Będzie się tak męszało, a z czasem nie długim  
Abo nam być w Talmucie, abo w Alkoranie...  
Zbłądzili papieżnicy: lecz wdy nie tak srodze,  
Jako dziś Aryanie harcuja o Bodze.

<sup>3)</sup> W wierszu noszącym napis: „Apologia za Janem Kochanowskim wojskim sędmirskim, poetów polskich wodzem, którego niektórzy rozumieją być heretykiem.”

obrony; aleć, zdaniem naszym, Kochanowski daleko silniej sam się zarzutem wszelkim w tym względzie opędza, już to w „Zgodzie,” już w „Satyrze,” już we „Wrózkach” wreszcie, z których dosęby przytoczyć następne wyrazy: „...Z drugiej strony, roztargnęliśmy się na dziwne i rozmaite wiary, które roztargnienie jaką waśń między ludzi wnosil... Kto tedy wiarę zdawna od wszystkich przyjętą wzrusza, fundamentów Rzeczypospolitej wzrusza...” Na to ziemianin: „Spytałyby takich, kogoby woleli: Mahometa czy papieża?” A pleban dalej: „Nic w tym nie wątpię, żeby się wiele takich nalazło, coby na Piłata wołali: *Dimitte nobis Barabbam...*”

#### IV.

Tak zwani dobrzy towarzysze.—Andzej Trzeciecki i jego do Kochanowskiego stosunek.

To tedy wszystko mając na względzie, rzeczy owe mniej budujące, u pełnego dzbana jak się patrzy tworzone, do reszty Fraszek przeznaczonych „Dobrym towarzyszom gwoli,” bodaj bez wahania zaliczyć przyjdzie.

Bo już to przy szklenicy kumali się tam z sobą rozmaici, jak się to po niżej opowie; przy wolnym też obyczaju, najczęściej i wolnomysłność popuszczała sobie wodzy. Ze zaś Kochanowski wydawcy swemu, nawet najswobodniejszych fraszek z ogólnego zbioru wyrzucić nie dał, twierdząc, że w tém wszystkiém „jest jakoby dusza ich,” to tu rozumieć trzeba: iż on, ile że pod każdym względem wieszcz był orlim wzrokiem oglądający ogromne przestrzenie, tak też i przeniknął, że te drobne liry jego odpadki, w przyszłości stać się mają dziwnie cennym skarbem, jako coś, w czém bije żywe tętno całego czasów jego pokolenia.

I tak się też właśnie wedle jego przepowiedni stało.

Bo nigdzie może więcej pouczającego gwaru, nigdzie wydatniejszych postaci, nigdzie doraźniej chwytanego na uczynku działania, jak w tych kilku książeczkach, które mistrz dostojny fraszkami sobie skromnie nazwać raczył. Tak jest, we „Fraszkach“ się rozczytując: i Kochanowskiego całego jakim był nader zbliżka poznać można, i otoczenie w jakim życie spędzał (a z którego epokę ową, rzec można, w stroju jój rodzinnym oglądasz); słowem, jak w kalejdoskopie, pozornie tam namieszane lub z sobą się kłójące barwy, światła, cienie,—a na tle tego wszystkiego postacie, w pośród których, niejedna, mimo swój małości, uwieczniona, niby owad przed wiekami w przezroczystym uwieczniony bursztynie. Tamże i oni towarzysze dobrzy, co to z nich nie zawsze i nie każdy zbawienną mu był radą.

Oto z pomiędzy takich (że tylko co o zdrożnym wpływie się mówiło), Trzeciecki np., wzięty pierwszy z brzegu. W dwóch miejscach znajdujemy tu o nim wzmiankę. Naprzód w „Foricoeniach,” kędy pisząc do niego nasz Jan, korzy się przed jego poetyckim talentem, sam



się składając dziwnie skromną własną chudobą. Następnie, w księdze drugiej „Fraszek“<sup>1)</sup>, gdzie mu dziękuje za to, że go spoił do niepamięci, a przez to zalał w nim chwilowo poczucie udręczeń jakiejś miłosnej zdrady. Tu czyliż nie poznajemy owego wesołego towarzysza Rejowego, który jako żywo za kołnierz jak i tamten nie wylewał? Człek ci to był co się nazywa bywały, a wielce przytomny, z którym kiedy raz na poselstwie, jak opowiada Paprocki, kniaź wielki gadać nijak nie chciał, on mu się „pokłonił koniem arabskim i piszczałą długą (rusznicą)“ i stało się że go do turmy nie wsadzono. Był to téż jeden z najzapamiętalszych swego czasu Kościoła odstępców, i prędjéj się podobno Rej uczeń jego w tych rzeczach („we wszystko się ochynawszy“) zawrócił, niż ten ucieszny, a tak do szpiku kości światowy grzesznik. Zaczém i przypuszczać się godzi, że tenże w rozweseleniu biesiadném język sobie rozpuściwszy, bodaj czy nieraz i naszego Jana, w rzeczach wiary, jak mówi „z onych dawnych zwykłych a zawikłanych nałogów starych,“ leczćć nie probował.

Tu jeszcze sobie rzecz drugą, z powodu Trzecieckiego na uwagę weźmy. Kochanowski, jak się to wyżej rzekło, wielce się chwalebnie o jego poetyckim znaczeniu wyraża. Powiada: że gdzie to jemu się z nim mierzyć! Kochanowski to mówi do Trzecieckiego—doprawdy, chyba świat Boży nie oglądał skromniejszego człeka! Zapewne tu o łacińskich Trzecieckiego rytmach mowa, tych nie znamy, ale na niewidziane zaręczyćby można, że i tu chyba Kochanowski z kopyta bywał górą. Wprawdzie opowiada o Trzecieckim Paprocki: „był to poeta utriusque linguae non vulgaris, przed którym przedniejszy nie był wieku mego.“ Ale cóż tu ważyć może zdanie podobne człowieka, który sam sobie wyobrażał że jest poetą, a wiemyć dobrze jaka to tam ta jego poezya mniemana! Co zaś do Kochanowskiego, już to on cały był taki. Oto jeszcze we „Fraszkach“ jego, pochwała jednego podobnego czasów swoich luminarza, o którym za to nic a nic nie wie potomość<sup>2)</sup>.

#### *Do Stanisława Porębskiego.*

Jeśli co ważne jest świadectwo moje,  
 Porębski złoty! Skotopaski (sielanki) twoje  
 W téj wadze u mnie: żeby się mógł do nich  
 Theokryt przyznać; tak ja trzymam o nich.

Poufały ton obu tych pochwalnych wierszy, nie dozwala ani na chwilę dworskowego w tém jakiego dopatrywać pochlebstwa; bo i wreszcie, cóżby takiemu Kochanowskiemu mógł dać za to Trzeciecki lub Porębski, oba tegoż co on, jeśli nie skromniejszego jeszcze, społecznego stanowiska? Więc tylko widziéć tu trzeba dziwnie małe Kochanowskiego o sobie samym rozumienie, jak to i w przedmowie jego do „Od-

1) Fraszka 78.

2) Ks. II, Fr. 55.

prawy posłów greckich“ uważać można, kędy wymawia się, że nie miał nawet czasu tego „poprawować;“ a my dziś ze zdumieniem pytamy siebie: coby też w téj pięknej, tak czystego klasycznego stylu tragedyi, do poprawienia jeszcze być mogło? Ale taki to tam brak był pewności siebie u tych wielkich swego czasu ludzi, że nam maluczkiem, a tak odległym ich następcom, już go i pojąć teraz trudno bardzo, a prawie niepodobna. Toćże Klonowicz „Flisa“ swego „lichym i podłego tytułu“ utworem, a arcydziełem wiekopomne „Wretek Judaszowy“ „dorywczosko pisaną książeczką“ nazywa. Toćże Górnicki „Dworzanina“ swego istotnie stwarzając, twierdzi: że nie więcéj, jak tylko „grabiego Balcera Kastyliona po polsku wyrazić“ przedsięwziął. Toćże wreszcie Rej ani jednéj księgi swojej własném nie podpisał nazwiskiem, „wstydując się—jak mówi Trzecieski—iż się miotał prawie (prawdziwie) jako z motyką na słońce...“

## V.

Mikołaj Rej, jako wyobraziciel owéj epoki.—Nadmiar u niego życia i zwrot w siebie.

O Reju raz wspomniawszy, niepodobna jest dłużej się nieco przy nim nie zatrzymać, ile że, jak się to wprzódy już nadmienilo, Kochanowskiemu, w przedmiocie ucinkowój poezyi, acz wcale mało ważnym, jest on jednak poprzednikiem. Postać to, niezmierną swoją ruchliwośćią, nadmiarem życia, nieukróconym krwi swéj animuszem, przedziwnie streszczająca w sobie jednéj charakter cały tych zaprawdę młodzieńczych czasów, tak pilnie kipiących zewsząd wrzątkiem Odrodzenia.

Przyszedł on na świat w sam ostatni wtorek zapustny <sup>1)</sup>, więc ni-by z góry pod jakąś gwiazdą szaloną, która mu życie na długo nieustającym zaprawić miała kuligiem. Jakoż, od najwcześniejszych lat już, nicpoń, próżniak, paliwoda; do nauki ani go napędz; a zato, mało kto lepiej od niego „rozumiał co to jest dobre towarzystwo.“ Takżeć i w życiu dalszém: zbytnik, hulaka, pijaczyna, obżartuch; słowem, warchoł setny: jedno że po kilkakroć powiada o nim Trzecieski, iż był obok tego „pan bardzo ciekawy.“ Ażci z ciekawości onéj, daléjże dopiéro po katolicyzmie „cudnym, jak się wyraża Trzecieski, polskim językiem“ jeździć. Cudnym, rzecz tu względna. Przy Trzecieskiego prozy niedołęstwie stylowém, zapewne bardzo on już swobodny. Byłci to jednak język mówiony dopiéro, więc surowy jeszcze, szorstki, prostaczy, ale oraz jędrny i dosadny. Często go i rymami wiązał, i w tém pierwszeństwa niezaprzeczoną ma zasługę; aleć w tych próbach jego, oprócz skrzątnéj, jak i wszędzie około języka roboty, obrazowość tylko uwagi godna; poezyi tam nie szukać. Podobno, że i w ogóle piśmiennych

<sup>1)</sup> „Tamże się mu... urodził syn ten to Mikołaj... w Mięsozapustny Wtorek.“ Trzecieski w „Żywocie Reja.“

jego aż dotąd usiłowań, wartość jest tylko dorywcza. I tak się to on człek z dnia na dzień hałaśliwie żyjący, który się sam uciesznie obywatel „Z zamku niedbalca“ pisywał, wieku się lat sześćdziesięciu wreszcie dokołał.

A teraz proszę oto na schyłku dni doczesnych oglądać tego, który lekkomyślności tyle w życiu rad nabroił. Oto księga, w której sobie pomnik niepożyty wystawił, oto owo „Zwierciadło“ przezacne, do którego dołączył już oraz i „Ostatnie ze światem żegnanie.“ Nie tu miejsce obszerniej się nad tém dziełem rozwodzić; z tém wszystkiém nad podziw godne jest uwagi owo nagłe ku pożytkowi drugich skupienie się w sobie człowieka, tak z pozorów w cztery wiatry rozpierzchłego. I cóż to tam za niezmierna zacność obok wytrawnej poglądów trzeźwości! Toćże tu dopiero wychodzi na jaw człowiek jakim był istotnie, a nie jakim go „towarzysze dobrzy“ długo urabiali. Człek cichego ducha, bogobojny, serdeczny, prawdę tylko miłujący, a nadewszystko dziwnie skromny a pobłażliwy. Oto jak to on prostodusznie księgi te swoje w przedmowie zaleca: „Acz tak rozumiem, jako każda rzecz na świecie, także i ty książki sędzię i podsędką o sobie mieć muszą, a nie każdemu się podobać będą, gdyż nie z żadnego ugonku (uganiania się za czém), ani pożytku (osobistego), ani z żadnej niepotrzebnej sławy, są na świat wydane, tylko z szczerjéj życzliwości braci swjéj a narodowi polskiemu; niechże wierę dobry brat rozumie a szacuje jako raczy, boć téż to zaprawdę drudzy nie z żadnej zazdrości czynią, jedno iżby to rad (kto) w sobie ukazał, iżby to lepiej umiał kiedyby chciał. A wszakoż jeśliby mu się co nie zdało, owo ja pożyczę piórka, o papier téż snadnie; niechże sobie poprawi, abo znowu (na nowo) napisze, jako mu się nalepijéj będzie zdało...“

Doprawdy, czytając te tak z serca płynące wyrazy, czyliż dziś komu dziwném się wyda, że Trzeciecki życiorys Reja kresłać, dał mu nazwę: „Żywot i sprawy pocziwego szlachcica polskiego“ <sup>1)</sup>? Toćże i Wereszczyński późniéj o nim wspominając, acz sam zwierzchnik duchowny, wichrowania w kościele mu nie pamięta, a tylko moralizowanie ksiąg jego wielce wychwala <sup>2)</sup>.

1) Tenże Andrzej Trzeciecki o szlachcicu (na końcu „Żywota“):

Szlachcic ma być jako szkło zawždy przezroczysty,  
A od wszelkiej makuły jako kryształ czysty...  
Bo szlachcic szlachetnie się powinien sprawować...  
Daj Panie Boże, wszyscy by pomnieli na to,  
Jakie zacne klejnoty przypadają za to:  
Bo pocziwość i sława, zacność, dobre mienie,  
A zatém łaska Pańska i wieczne zbawienie.

— Drogoć to bracie— dodaje.

2) Gościńiec pewny niepomiernym moczygębom a omierzłym wydmiukflom świata tego, do prawdziwego obaczenia a zbytków swych polamowania; 1585.



Dopieroż patrzeć jak to tam w tém „Zwierciadle,“ stopniowo, z powijkaków nieuctwa, do przedziwnéj się wyłamuje swobody, jak on język mięsi, styl wyrabia, i jak mu to tak ogromnie sporym krokiem idzie, że niemal początek nie umywał się już do tych rzeczy które się ku końcowi mieszczą. A o sposobach jakimi w tém sobie radził, jego samego posłuchać proszę <sup>1)</sup>.

Bom ja téż, prosty Polak, nigdzie nie jeżdżając,  
 Tam się paśł na dziedzinie, jako lecie zając;  
 Z granice polskiej milę nigdzie nie wyjechał,  
 Lecz co widzieć przystoi przed sięm nie zaniechał.  
 Aczém był nie uczony przedsiem jednak czytał,  
 A czegom nie rozumiał, inszychem się pytał.

Więc jak się z tego wszystkiego widzi, jeśli w tym tyle rozbujającym warchole tak wyborna siedziała dusza, nie nam się dzisiaj gorszyć, jeśli w pisarzach tamtych wieków tu i owdzie znajdzie się niepamiętna zdrożnych skutków swawola niejedna; pływało to po wierzchu niby szumowina przyskająca, ale napój ożywczy zawsze się wystawał na spódzie. Owo zgola: i żarty u nich niezbyt skromne i myśli nie zupełnie nabożne i satyryczność niekoniecznie po dzisiejszemu grzeczną, liczmy zawsze na karb rozbudzonego wtedy nadmiernie aż na wyrost życia; bo za lat jakie kilkaset, kiedy i nas z kolei sędzić przyjdzie, to z całą naszą przyzwoitością pachnącą, przy tuzinkowej krzątaninie, z całym naszym gorączkowaniem się na zimno, przy bezpotrzebném wyobraźni rozpasaniu, i wreszcie z naszemi wielkimi słowy na ustach a pustką w sercu, nie wiem, czy się jak oni, z przewyżki celów dodatnich obronną ręką wyrachujemy.

## VI.

Rzeczpospolita Babińska.—Rejowe „Figliki.”—Fraszki Melchiora Pudłowskiego.

Z kolei przedmiotu, ku poetyckim Reja robotom przejść nam wypada. Nie jegoć to, jak wiemy, panowanie; bo tu już Kochanowski przez nikogo niezaprzeczone berło trzyma. Zawszeć jednak tamten dał popęd pierwszy, i jakbądź przesadne to jest zdanie, iż Reja „naród nasz ma mieć w tej cenie, jako Grekowie Hesioda, Rzymianie Enniosa, bo ci trzej narodom swym drogę pokazali” <sup>2)</sup>; niemniej rzeczą jest pewną, że gdyby nie Reja niezdarne wiązanej mowy kształtowanie, Kochanowski, pierwszy z miejsca ruszając, nierównie więcej drogi miałyby być do przebycia. Takżeć i z żartem Reja, który bądź jakbądź z narodowych rodził się pierwiastków.

<sup>1)</sup> „Zwierciadło.“ Do poczciwego Polaka stanu rycerskiego.

<sup>2)</sup> W te słowa wyraża się o nim Szczęsny Herburt według Leliewela.

Miejsce by tu Babin wesoly wspomniéć mimochodem, ową to Rzeczpospolitę nogami w górę, kędy, wadliwy ustrój krajowy niezupełnie może wspanak naśladować, naprzewrót uzdolnieniom, najzaszczytniejsze rozdawano godności. Raz, kiedy założyciel jój Pszonka, u dworu przedstawiony, wśród ogólnego śmiechu zdawał sprawę z uciesznych swego państwa urządzeń: „A macie też tam i króla?” spytał smutny syn Bony, Kokoszeń pamięci. Na to szlachcic prawdomówny nie tracąc rezonu: „Boże uchwaj, abyśmy za życia jeszcze Twego, Miłościwy Panie, króla nowego obierać sobie mieli. Spokojnie panuj przemożny Monarcho, tak samo w Rzeczypospolitéj Babińskiej, jak i w państwie Twojém.” Ten żart łzawy, czyliż na pamięć nie przywodzi Matejkowego Stańczyka, zadumanego smutno w swym błazeńskim stroju? Po jednej stronie, w komnatach wrzących szałem, przewrotna Włoszka wystraja Firleje; po drugiej, na niebie wyiskrzoném, kometa smugą przepowiedni grozi—złowieszczą różgą, jak lud sobie baje... W lat sto potém, już po owéj różgi nielada zacięciach, za nieszczęśliwych Jana Kazimierza czasów, oto co jeszcze Kochowski o téj śmiejącej się sardonicznie Rzeczpospolitéj prawi:

Taćto knieja i pole i ta jest równina  
Sławnego w dziejach polskich niekiedy (niegdyś) Babina.  
Tu eni oni Pszonkowie, co i dotąd żyją,  
Fundowali w dobry rząd trwałą Monarchiją...  
Tu się ostrzą dowcipy, także obyczaje...  
Pódź za stół, a tam księgi wziąwszy w rękę śmieie,  
Monarchii obaczysz téj obywatela.  
Więc przyjmij z niemi prawo, a zaniechaj zrzędy,  
Polska szlachta może mieć w Babinie urzędy.

Jak widzimy, z każdego tu już słowa gorycz przesiąka, stuletniém nabrana doświadczeniem.

Nie wiemy, czy Rej lub Kochanowski, swojego czasu, uczestniczyli kiedy w jakibądź sposób w onéj Babińskiej ze społeczeństwem tamtém wojnie i nawet nic nam z tego tak dalece; chcieliśmy tylko zaznaczyć mimochodem, że jeśli nie brakło naonczas poważnych myślicieli, którzy nawołując o naprawę, wygłaszali bądźto upominania, bądź przestrogi <sup>1)</sup>, nie brakło też i innych, którzy broń śmieszności chwyci-

<sup>1)</sup> Miejsce tu może przytoczyć mało znany ustęp z „Rozmowy szlachcica polskiego z cudzoziemcem,” w której Piotr Zbylitowski (1600), w zdumiewający sposób wyprzedza wiek swój pojęciami nawet o zrównaniu stanów (miejskiego ze szlacheckim):

...Albo żeby mieszczanin nie śmiał wioski dostać,  
Choćże swoją kaletą może temu sprostać?...  
Jakie on ma szlachectwo i jako go dostał?  
Nic mi potém pytać się...

wszy, zwartym szykiem szli na przebój, aż się wreszcie i taki znalazł, który pierwszy spróbował usiłowania te w mowie bogów upamiętnić.

Jak na początek, mowa to sobie była bogów domowych, więc nie wymyślnych, więc nie wiele wymagających, więc przyjmujących wdzięcznie cobądź im dawano: dawano bowiem wedle przemożenia. Jak powiedzieliśmy, Rej poetą nie był; był tylko sobie ze wszechmiar poczciwym człowiekiem.

Przedtém jeszcze, jak Trzeciecki podaje: „pisał dla dobrych towarzyszków dyalogi rozliczne: Kosterę z pijanicą, Wyrwasa z Dikasem, Lwa z kotem, Gęś z kurem. Pisał téż zasię dla kniutków: Wójta z panem a plebanem, jako się téż o swych doległościach rozmawiają,“ wszystko to jednakże bez żadnego śladu poprzepadało. Czy nawet z druku kiedy wyszło? nikt nie wie, i jeśli nigdy, może nie tak wielka szkoda. Zostały tylko Figliki, a i te mało kto szczęśliwy na własne oczy oglądał. Rzecz to z przyczyn wszelakiego warcholstwa niezmiernie rzadka, przez duchowieństwo pilnie wytracana, palona, niszczone, dziś zaś jedynie tylko bibliomanom cenna.

Bo i naprawdę, czytając te grube wytwory, widzisz zaraz jak na dłoni, że taki Kochanowski nietylko nic tam do naśladowania mieć nie mógł, ale nawet na nich się chyba uczył, jak to właśnie rzeczy podobnych pisać nie należy.

Następny jest téj książki tytuł: „Figliki, abo rozlicznych ludzi przypadki dworskie, które sobie po zatrudnionych myślach, dla krotofile, wolny będąc, czytać możesz.“ Przypisane są one Piotrowi Royzyszowi, Hiszpanowi, pod datą roku 1570, z Lublina. Rozpatrzmy je pokrótce, gdyż długo się z nimi bawić wyszłoby na jedno, co przebywać z upodobaniem w bardzo lichém towarzystwie.

Są to sobie anegdoty, ściśle w ośmiu zamkniętych wierszach, rzeczy niezgrabne, ciężkie, ttuste, nieskrobane. Czasami i nie zbywa im na dowcipnym pomysle; cóż z tego, kiedy w wykonaniu wychodzi zwykle koszlawo chęć przypuszczalnie najlepsza! Jeśli gdzieindziej u Reja sztuka w powiawkach wygląda, tu ona podobna raczej do dzieciaka rozkopującego pieluchy, krzykliwa, niechlujna, źle, a raczej nic a nic nie wychowana, łapiąca w ręce byle co błyszczącego, wszystko psująca, słowem niesforna, jak coś, co ani wie nawet o własném istnieniu.

Dla porównania przytoczymy tu wyjątki, mogące dać pojęcie obu rodzajów twórczości Reja. Oto zakończenie księgi drugiej, a oraz początek trzeciej Żywota Człowieka Poczciwego:

Rozum człowieczy,  
Gdy w każdej rzeczy,

---

I dalej znowu:

Szlachcic, jako powiadasz, niechaj nie prowadzi  
Handlów?—A miły bracie! cóż mu to zawadzi?

A wszystko to nie cudzoziemiec mówi, ale właśnie szlachcic polski.  
Rozmowa pomieniona pod sam koniec.



Ma się na pieczy,  
 Tem wszystko zleczy...  
 Kto się wczas w drogę gotuje,  
 Ten nabezpiecniej wędruje.

W miejscu tém do człowieka dojrzałego się zwracając:

Panie stary!  
 Porzuć czary,  
 Im się wiary,  
 Gotuj miary,  
 By bez wiary,  
 Dyabeł szary,  
 Do swój Fary,  
 Za swe dary,  
 W swe browary,  
 Na przewary,  
 Nie wziął cię na święta.

A teraz jeden z najskromniejszych Figlików:

Chłop z miasta jechał drogą, drugi za nim siedział,  
 A więc go trzeci potkał, służbę im powiedział (powitał ich),  
 Spytał:—Wiele bił zegar, panowie sąsiedzi?  
 Ten rzekł:—Tego tam pytaj, co sam za mną siedzi—  
 Bom ja naprzód wyjechał, a ten po mnie potém—  
 Podobno lepiej, niż ja, tam ci powie o tém.  
 — A dalekoś, niecnoto, odjechał od niego?  
 Mniemasz, by grzbietu było pół mile szkapiego!

Dwa ostatnie wiersze są tu, jak widzimy, całkiem zbyteczną kropką nad jotami. Ale tak to już w każdym Figliku. Objaśnienie, którego wcale nikt nie żądał, bywa tu koniecznie dołożone łopata. Przypomina to ciężki z natury dowcip niemiecki, który, o zakład, co najmniej zawsze dwa razy bywa zadługi.

Jak powiedzieliśmy wyżej, w Figlikach, na upartego, znajduje się niejeden niezły pomysł, mizernie zmarnowany. Do takich zaliczyć można przypowiestkę o owym królu, któremu gdy jakiś niepoń (zręczny zresztą dworak) o nadanie szlachectwa się przymawiał, ten mu powiedział: „Cóż z tego, że ci dam herb, kiedy cnoty dać nie mogę?” Albo tę drugą, w której Kupido z Śmiercią przypadkiem pomieniali pociski. Wtedy miłość na miejscu zabijać poczęła, ludzie zaś nad grobem stojący jęli się miłować nader zawzięcie. Kochanowski, w pierwszym razie, niewątpliwie byłby się dobrał do samego dna moralnej korzyści, w drugim, przyczepiłby formie skrzydełka motyle; co zaś do Reja, ten rzeczy te obie wybajał w sposób rozwlekły, pospolity i ostatecznie kliwy, tak, że najmniejszego nie robią wrażenia. Owo zgoła, Figliki zyskałyby może, gdyby były krótsze; ale jeszcze pewniej, gdyby ich wcale nie było.

Takie to są pierwsze, w przedmiocie Fraszek, niezdarnej muzy

Reja utykające kroki; widzimy z tego dowodnie, że więc zaledwie usiłowań nazwa im przystała, że Kochanowski na tém polu niemal wszystko jeszcze do zrobienia zastał, ba, toćże wreszcie to, co wytworzył, odrazu już niedościgłóm się okazało.

Jak dalece to jest prawdą, przekonamy się jeszcze, zawczasu przy téj zręczności i Pudłowskiemu dając odprawę, który już całkiem naszemu Janowi współczesny, nawet, rzec można, jego jest naśladowcą. Utwory swoje wydał ten autor pod następnym tytułem: „Malchera Pudłowskiego Fraszek Księga pierwsza; przy tym Sen i Elegia Polska.” W Krakowie, w drukarni Łazarzowej. 1586 <sup>1)</sup>. Tu przedewszystkiém, o co Rej nie dbał, a czego wcale nie potrzebował Kochanowski, ten zaraz z góry, snadź niezbyt pewny siebie, Zoilowi się opędza, Ozuwca go sobie zowiąc i oświadczając, że znalazłby téż i u niego co do zganienia, ale że ani myśli się z nim zadawać. W ogóle, ani tu szukać owéj lekkiej, nieprzymuszonej, serdecznej wesołości, jaką niebawem u Kochanowskiego powitamy; cóż dopiéro wytwornego jego artyzmu, choć język widocznie już od mistrza ile możliwości przejęty. Zresztą Pudłowski, równie jak Rej, poetą wcale nie jest, i to mu téż za okoliczność łagodzącą stanowczo posłużyć powinno. Przecież, co prawda, Fraszki jego nie takie już grube, jak u Reja, ale formy jeszcze bardzo pierwotnej, a prawie nic nie dowcipne. Dla dania pojęcia o nich, przytaczamy jedną z najlepszych:

*Pochleba do Satyra.*

Satyrze słuchaj: już list padnie (liśc pada) z drzewa,  
A wa (my dwaj) na zimę gdzie mieszkać będziewa?  
Mnieć się dostanie w izbie przy kominie  
Siedziéc, aż ten mróz i to zimno minie;  
Przyjmą mię bych (bym) chciał do onego gmachu,  
Gdzie się miedź pięknie lśni na jego dachu;  
Chcę-li téż owdzie, gdzie na wierzchu słoma—  
Owa gdzie przyjdę, tu mnie jako doma,  
Bo się ja z ludźmi umiem zgadzać bracie,  
Ale jedną rzecz, chcesz-li, powiem na cię:

<sup>1)</sup> Zdaje mi się, że nie wyszło więcej. Na końcu téj broszurki znajduje się jeszcze: „Testament Kumelskiego, uczyniony w Rzymie dnia sto i oko R. P. 1576, przy którym miał egzekutory Kokoszkę ślepego dziada i jego drugiego towarzysza.“ Jestto satyra wartości zaledwie archeologicznej, mianowicie ze względu szczegółowego wyliczenia rozlicznych ubiorów. Nie braknie tam jednak i złośliwych przytyków niektórym współczesnym osobom. Między innemi koc stary, polatany, na którym ów Kumelski leżał, zapisuje:

...Granwellanowi,

Kardynałowi ktemu i Wicerechowi  
Królestwa w Neapolim—niech się w nim wyleży,  
Kiedy leżeć rozkosznie wola mn nadbieży.

Jąłeś się nazbyt prawdą ty szermować,  
 Więc ci téż przyjdzie tam w lesie zimować;  
 Bo teraz prawdę zrzadka kto rad widzi,  
 Więc się Satyrem także każdy brzydzi.

Jak z téj próby widzieć można, błąka się tu już wyraźnie wpływ Kochanowskiego. Wiersz tu nie tyle już, co u Reja, chropawy, i przy całej naiwności pomysłu, znaczne w jego wypowiedzeniu pomiarkowane słowa.

W ogóle jednak Pudłowski, skarbcza niczém, rzec można, tak dalece nie wzbogacił, i jeśliśmy go z umysłu przed Kochanowskim puścili, to tylko dla wykazania: jak dalece ten ostatni, równie z miejsca ruszając, jak już i wtedy kiedy wzory powytwarzał, równie w tym, jak i w każdym innym kierunku, sam jest jeden—nietylko bez mistrza, ale i bez godnego siebie naśladowcy.

Tu już stanowczo się ku niemu zwrócimy.

## VII.

Epigramata Klemensa Janickiego.—Jana Kochanowskiego „Foricoenia.”—Tegoż Fraszki i ogólne z ich powodu uwagi.—We Fraszkach pozostawił nam Kochanowski bogaty pamiętnikowy materyał.

Zbiór Fraszek naszego Jana poprzedzają jeszcze wzmiankowane powyżej „Foricoenia.” Znaczy to niby „Biesiadowania poza domem,” jak się zdaje, od wyrazu napotykanego u Plauta: *foris* <sup>1)</sup> *coenare*. Są to drobne ucinki łacińskie i w tych idzie śladem Klemensa Janickiego. Jednak wyznać to trzeba: uczeń nie dościga tu mistrza; ale téż i mniejsza o to.

Wprawdzie, to co się tu mówi, Janickiemu w niczém uwłaczać niéma. Poeta to jest bardzo wdzięczny, szczerze nawet Polski; ale cóż z tego, kiedy zamiast, jak drudzy już naonczas, dar swój niepospolity rodzinnej mowie na usługi oddać, europejskiego raczej wolał szukać rozgłosu. Janickiego „Fraszki“ noszą téż jeszcze klasyczne epigramatów miano. Jednak, jak wiemy, godną uznania właściwością tego poety jest wielka w obrazowaniu prostota i prawie zupełny brak mitologicznej erudycyi, w czém nawet Kochanowski (jako łaciński poeta) ustąpić mu powinien. Odznacza go téż nastrój w ogóle tkliwy, a nadzwyczaj sympatyczny, wielka miłość rodzinnej zagrody, głęboka wszędzie pobożność, nadewszystko zaś miejscami tak przedziwne tonu pomiarkowanie: że niektóre jego elegie wydają się być skończonemi harmoniami. Ma on nieco wspólnego z Mikołajem Sępem Szarzyńskim, i rzecz dziwna, oba ci smutni poeci nader młodo pomarli.

Epigramata Janickiego, odznaczają się temiz samemi co i inne jego utwory właściwościami. Tylko że przeciwia je niekiedy wesołość

<sup>1)</sup> Po włosku do dziś dnia *fuori*, znaczy zewnątrz.



lekka, niby uśmiech znikomy; przeważnie jednak, rzecz można, panuje tu słodka zaduma. Zdaje się, że je niemal wszystkie w kraju wytworzył; przynajmniej obcuje w nich prawie wyłącznie ze swojemi: z Rafałem Wargawskim, tym samym, któremu na odjezdnym jego do ojczyzny poświęca jedną z najtęskniejszych swoich elegii (10, ks. I), z dobroczyńcami swemi: Krzyckim i Piotrem Kmitą; z przyjaciółmi, jak: Kromer historyk i naturalista Hieronim Spiczyński. Wśród tego wszystkiego modli się, дума pobożnie, tęskni, myśli o swojej Elzusi, swym laurem się chlubi, Antoninowi, lekarzowi, dziękczynienia składa. Jednocześnie stratę brata opłakuje, Krzyckiego, żony Kmity, zmarłego w Padwie Jędrzeja Falczewskiego, Aleksandra Orzechowskiego, słynnego jak się zdaje podróżnika, dalej sławnego w owym czasie drukarza Floryana Unglera; i wreszcie, na zakończenie, sobie samemu kładzie napis grobowy, który tu, dla dania o nim pojęcia, w prześlicznym Syrokmi przekładzie przytoczę:

Obcy nadziei, strachom, zgryzocie,  
 Tu, pod trumienném leżę przykryciem;  
 Tu jeno żyję prawdziwém życiem...  
 I Bóg cię żegnaj ziemski żywocie!

Z temi tedy, jak widzimy, tyle miłemi liry Janickiego wytworami, zestawione Foricoenia naszego Jana, mocno, przyznać to należy, szwankują.

Przedewszystkiém niema tu swobody. Owszem, wymuszony jakiś Anakreontyzm bachiczny, niby coś obowiązkowego, od czasu do czasu zdaje się podrzucać poetę; ale czujesz wyraźnie: że mu ani Cekuby przyszło spełniać, ani Falerny, jeno chyba „dzbana pisanego“ nachylać, przy którym później pod lipą starą, kiedy się nawet Anakreonta jał przekładać, to jeszcze i ten grecki śpiewak dziwnie mu się w ustach polaczył. Tu przeciwnie, ten Kochanowski nasz, wygląda, rzecby można, więcej łaciński od samej łaciny. Nuże wy, którzy mu antologie wypominacie! macie go tu jak swego. Bo patrzmy tylko na to społeczeństwo tutejsze: Neera, Korynna, Galla i Kallistrat, Ibycus, Aulus, Torkwatus, Heliodor, Nicetas. Nie myślcie: że to sobie tylko zapustne przebrania, wcale nie, pod tym zapożyczonym strojem, istotnie też niema nic swojskiego.

Choć znowu znajdziesz tu trochę i bliższych znajomych, niewiele ich to prawda, ale od biedy poznać ich można. Rozyna, której uciészny pomnik we „Fraszkach“ napotykamy, tu się sobie z grecka Maronidą zowie, jest też i białogrzywy Glinka i sławny swego czasu Most Warszawski. Zato przeciwnie, w nich przyszłego twórcę „Fraszek“ poznać nie jest łatwo. W ogóle, wygląda on tu wymuskany jakiś, wysztywniony, nie swój. Kilka też i rzeczywistych postaci płacze się tu, jakby z serca potrzeby; z temi jednak poeta nader dwornie obcuje, widocznie myśląc o tém, żeć te rzeczy w klasycznej Europie głośne być mogą. Więc dopióro najzażyłszym przyjaciółom grzeczności prawi

przesadne. Z powrotu Mikołaja Firleja razem z całą przyrodą się cieszy. Patrycego z poezyi wielce wielbi, i jako lekarza serca z upragnieniem do siebie wzywa; Górnickiemu oświadcza: że na sam jego widok, struny wiszącej na kołku liry zadrżały rozkosznie; Royziusza <sup>1)</sup> pod obłoki wynosi, twierdzi: że dzieła jego, na podobieństwo najszlachetniejszego wina, uderzyły mu do głowy; wreszcie rymy na swoje, niby bóstwu święci. W tym osobliwym ferworze, do Padniewskiego znowu, spokojnego biskupa, ni ztąd, ni z owąd wypala anakreontyk jakiś bojowy. Więc w końcu cóż się dziwić: że i kusego króla Henryka, wjeżdżającego do Krakowa, szumnym wierszem wita; choć nie dalej, jak w tym samym roku, zmuszony będzie wystać w pogoń za nim bardzo zjadłą satyrę <sup>2)</sup>.

Z tém wszystkiém, bądźcobądź, dłużej podobno Kochanowskiego naszego, niż tej całej łaciny. Jakoż, oto napotykam tu z nagła Petrarce grobowiec tkliwy. Czy może jako „Afryki“ klasycznemu twórcy? Bynajmniej; o Laurze tu tylko mowa. Jesttu jeszcze i drugi wiersz podobny, czci Laury wyłącznie poświęcony, dziwnie już romantyczny. A dalej, tak zwana „Spowiedź“, dumanie, najzupełniej już pokrewne owęj dostojnej pieśni „Czego chcesz od nas, Panie“, która, jak wiemy, przeznaczemu Rejowi, czoło sędziwe, w pokorze uznania nowego mistrza, pochyliła ku ziemi <sup>3)</sup>.

Ha! więc go nareszcie mamy takim, jakim jedynie być był góźdź, to jest samym sobą.

Chwałaż tedy wieczna owęj elegii (13, ks. III), w której, acz po łacinie jeszcze, łacińskiej już nazawsze wyrzeka się mowy. Bo i z mową, myślenia się też łacińskiego wyrzekł, to jest zarazem kosmopolitycznych pojęć o życiu i też konwencyonalnej owęj poezyi, której już zdawna w ulubionych mu Włoszech żaden wielki twórca (a była ich tam cała plejada) hołdować nie chciał, i dobrze było. Przeto odtąd dopiero, rzecz można, samego siebie począł szczerze dawać. I to nie tylko w poważniejszym, jak już dawno umiał rymie, ale i w tej sobie potocznej, luźnej, z pozoru mało dbałej formie, opatrzywszy się pewnie: że kiedyś Rej tak głośno lirę mu swoją w całości zdał, wypadało i ponad jego nieudatne figliki nierównie kunsztowniejszego coś powytwarzać. Takać to a nie inna, śmiem twierdzić, „Fraszek“ być musiała geneza.

Jakoż, ktoby Kochanowskiego, jakim istotnie był, poznać sobie życzył, tu go dopiero niech opatruje; bo on gdzieindziej publicznym

<sup>1)</sup> Jestto ten sam, któremu Rej przypisał „Figliki.“ Właściwie nazywał się on Ruis de Moros. Z Bononii, gdzie prawa się uczył, powołany przez Gamrata, wykładał tę naukę w Krakowie.

<sup>2)</sup> Gallo crocitanti.

<sup>3)</sup> Opowiada ten szczegół powołany wyżej Szczęsny Herburt według Lelewela. Relację tego zdarzenia miał z ust Jana Zamoyskiego, obecnego właśnie na zjeździe w ziemi Sandomierskiej, kędy się to stało.

bywa mężem, i jeśli jak zawsze mistrzem, to z myślą o sztuce; we „Fraszkach“ zaś, acz ani na włos mniej wielkim nie jest, ale że się niejako w domu własnym czuje, takbyś powiedział i tak było pewnie: że on tam ani dba nawet, czy na niego patrzą. Takto i prawdziwego Cicerona, w listowaniu jego poufném szukać, nie zaś w opracowanych traktatach. Więc czy tu Kochanowskiego u dworu oglądamy, czy pod lipą, wśród gwaru czy w samotności, wesołego czy pogrążonego w zadumie, czy on się tu modli, kocha, pustuje lub tęskni, czy się dobrym towarzyszom swawolnie kusić daje lub się skupieniem w sobie opamiętywa; wszystko to, wrywkami nie zawsze pasującemi, boć przerwy znajdziesz w nich rozliczne, bez najmniejszej przecieź wątpliwości, w rodzaj niby pamiętnika skleić można, w którym on, różnemi czasy, wrażenia swoje na uczynku pochwytał, spisał i uwiecznił. „Jestto coś od niechcenia, a jednakże chciane,“ jak wybornie powiedział gdzieś Krasicki. Jest téż wszystko to, przy całej swój prostocie, bardzo a bardzo misterne, podobne do tych srebrnych nici, tęczowanych w słońcu, na które patrząc niegdyś najmędrzy z królów, zapisał sobie w Przypowieści księdze: Pająk rękoma robi, a przedsię na pałacach królewskich bywa <sup>1)</sup>.

Powiedzieliśmy to przed chwilą: że we „Fraszkach“ z różnych czasów pochodzące znajdują się zapiski. I w istocie, nietylko wszelakich nastrojów i usposobień stan duszy poety wyczytać tam zdołasz, ale oraz objawy rozwijania się jego pojęć o życiu, z których, jako żywo, wiek jego raz młodzieńczy, raz dojrzały, aż i grobu już bliżki, bez pochyby odgadnąć można. Więc uśmiechy jego, więc upojenia, przelotne miłostki, gorycze po nich, pocieszenia, powszednie troski, niedbanie o jutro; więc spojrzenia poza siebie, niepowrotne żale, wspomnienia, zniechęcenia i otuchy; więc zasmucenia, dojrzałe zadumy, serdeczne tęsknice, doświadczeń cierpkie owoce; aż wreszcie szybowanie orle, głębokie w duszę poglądy, nadziemskie zachwyty, zdania się na Opatrzność, łyż i dziękczynienia. Bo nie wyobrażajcie sobie: żeby on tu, w największym nawet rozgardyasie, z sobą sam na sam nie bywał; owszem, tam nawet, gdzie się wydaje być całkiem uciechom życia oddany, mniejsza go tylko znajduje się połowa, część zaś lepsza lub wymownie przemilczana, lub jeśli wypowiedziana, to w sposób smutno-ironiczny. Oto przykład jednego i drugiego:

Iż tedy na mém zdaniu ty przestać nie raczysz,  
Przestanę ja na twojém...

tak on powiada do przyjaciela, o którym snadź nabył przekonania: że się mu tylko kochać dawał, sam od siebie do żadnej względem niego nie poczuwając się powinności...

Indziej znowu, widocznie już towarzyszków dobrych sobie przykrząc i niejako zyski płochych uciech obrachowawszy:

<sup>1)</sup> XXX, 28.



A cóż czynić? Pijaństwo zbytnie zdrowiu szkodzi,  
 Gra też częściej z utratą niż z zyskiem przychodzi,  
 A nadzieje zaś nie masz wzajemnej miłości,  
 A owa na swą szkodę suszy bardzo kości...  
 Wy tedy, co kto lubi, moi towarzysze:  
 Pijcie, grajcie, miłujcie. Jan fraszki niech pisze <sup>1)</sup>!

Podobnaż delikatniej po sardonicznemu się uśmiechnąć? Kochanowski przeważnie uczuciowym jest poetą. Wykazałem to już obszerniej kiedyś o liryzmie jego mówiąc, a cóż dopiero o tych trenach niezrównanych, w których on wybuchnął całą swoją piersią wezbraną, na podobieństwo owego wykrzyku przedśmiertnego, w który, jak lud sobie baje, życie swoje całe włożył słowik po stracie towarzyski, mając odlecieć gdzie go wiatry poniosą... Zresztą i tu on na niejednym miejscu samego siebie streszcza nader wymownie, podobnażby go poufniej wypowiedzieć, jak jego własnymi słowy? To, co poniżej przywiedziemy, aż nadto wyraźnie stwierdza słowa, któreśmy tylko co o wielkiej pamiętnikowej „Fraszek“ wartości powiedzieli <sup>2)</sup>:

Fraszki nieprzeplacone! wdzięczne fraszki moje!  
 W które ja wszystkie kładę tajemnice swoje,  
 Bądź łaskawie fortuna ze mną postępuje,  
 Bądź inaczej, czego snadź więcej się najduje —  
 Obrałiby się (gdyby się zdarzył) kiedy kto tak pracowity,  
 Żeby z was chciał wyczerpać umysł swój zakryty,  
 Powiedźcie mu: niech próżno nie frasuje głowy,  
 Bo się w dziwny Labyrinth i błąd wda takowy,  
 Zkąd żadna Aryadna...  
 Wywieść go mózdz nie będzie...

W dalszym ciągu, Dedalem się niby czyniąc, dodaje: że nawet on sam, acz labiryntu tego budownik, gdyby mu się ztąd wydostać przyszło, skrzydłaby sobie chyba przyprawić musiał, ale też wtedy wierzchemby tylko wyleciał. Snadź przez to radby wyrazić: że tu są rzeczy, jemu samemu już niezupełnie jasne, ile że w okolicznościach najróżnorodniejszych spisywane, i to jeszcze przez człowieka, jakiego dziś już w sobie samym ani mu nawet poznać podobna. Toż i na innym miejscu, niby na księgi swojej zamknięcie, w te się słowa do gościa odzywa <sup>3)</sup>:

Gościu! tak jakoś począł, już do końca czytaj,  
 A jeśli nie rozumiesz i mnie się nie pytaj.  
 Onać to część kazania, część niepospolita,  
 Słuchaczom niepojęta, kaznodziei skryta.

1) Na „Fraszki“, II, 39.

2) Do „Fraszek“, III, 29.

3) Do „Gościa“, III, 50.

Że „Fraszki“ istotnie, jak się rzekło, wieloletnich poety naszego wrażeń są niejako dziennikiem, na to przedstawić się jeszcze dadzą całkiem dotykalne dowody. W tym względzie jednak, nie można w zupełności polegać na tém, co on sam w jednym miejscu następnie powiada <sup>1)</sup>:

Próżno mię do dziewięci lat swe „Fraszki“ ohować,  
 Jako ksiąg mądry ludzie zwykli poprawować;  
 Bo tą moją pilnością już nic nie przybędzie—  
 Bych kreślił i nadkreślił, fraszka fraszką będzie.

Zdaje się bowiem, że on tu ogólnikowo tylko (mianowicie od Horacyusza się zapożyczając), czas nieograniczony raczej wyrazić pragnie, i to wygląda najprawdopodobniejsze. Inaczej w jakichżeby okolicznościach i kiedy liczyć mógł sobie owo dziewięciolecie; skoro rzeczą jest niezawodną: że „Fraszkom“ naznaczyć można okres lat co najmniej dwudziestu kilku, i to cofając go w tył, poza rok 1580, w którym, jak się zdaje, Urszulkę stracił; a odtąd, jak wiadomo, oprócz „Wtargnienia i Epinicionu“, nic już więcej nie wytworzył? Choć i tu jeszcze—Bóg to raczy wiedzieć. Jest też we „Fraszkach“ i kilka rzeczy, cechujących przebyte już jak najdotkliwsze cierpienia. Do takich zaliczyć można dwa czyjemuś „Dziecięciu nadgrobki“ <sup>2)</sup>, „Człowiek Boże igrzysko“, „Napis na słupie kamiennym“,—dopieroż różne gorzkie filozofowania, które przywiedziemy poniżej, gdy kolej przyjdzie.

Bądź co bądź, dość tedy oto, że w „Dworzaniu“ Górnickiego czytamy anegdotkę „O koźle“, a na jej końcu następny autora dopisek: „Ale tę rzecz pan Kochanowski w swoich „Fraszkach“ barzo trefnie wierszem powiedział.“ „Dworzanin“ zaś, jak przecie wiemy, w roku jeszcze 1565 napisany został, podczas gdy pierwsze „Fraszki“ wydanie nosi datę roku 1584 <sup>3)</sup>. Zaczém i tak spełna tu już mamy istnienia „Fraszki“ lat dziewiętnaście; na uwagę zaś wzięwszy: że już w owym czasie jak widać powszechnie znane były, wypadnie im koniecznie jeszcze kilka lat pobytu Kochanowskiego na dworze przyczynić, a tak zawsze wyjdzie na to: że je w młodości spisywać począł.

*(Dokończenie nastąpi).*

<sup>1)</sup> „O Fraszkach“, II, str. 85.

<sup>2)</sup> W jednym z nich powiada jakby za siebie samego:  
 Byłem ojcem niedawno, dziś nié mam nikogo  
 Coby mię tak zwał... takem w dzieci zniszczał srogo.

<sup>3)</sup> Nie wiem, na jakiej zasadzie twierdzi profesor Przyborowski, że „Fraszki“ są ostatniém dziełem, wyszłém za życia poety. Wyszły one istotnie w roku jego śmierci, ale zkąd dowód, że przed 22 sierpnia, w którym to dniu zmarł Kochanowski? Domysł tu na obie strony równéj byłby wagi.

DZIEJE  
SZLACHTY OKOLICZNEJ  
W OWRUCKIM POWIECIE \*).

PRZEZ

*D-ra Antoniego J. ....*

IV.

**Udział szlachty okolicznej w wojnach Chmielnickiego i w służbie krajowej.—Stan owruckiego powiatu po inkursyi kozackiej.**

Zamiłowanie szlachty w kozakowaniu było wynikiem konieczności, a może i schłopienia niektórych rodów. Jedni może Wyhowscy mieli więcej od innych pociągu do „wolnicy,“ dla téj prostéj przyczyny, że Jan, późniejszy hetman i wojewoda, z jeńca tatarskiego najniespodzianie został podniesiony do godności pisarza „wojska kozackiego... szlachcic niechęący wyszedł na dygnitarza u powstania“<sup>1)</sup>. Ale i on rozpoczął karierę od walki z kozakami i w jednéj z takich utarczek dostał się w łyka, z których go Chmielnicki wyzwolił. Krewni więc i jednoimiennicy Wyhowskiego pozostali na Polesiu, złudzeni wziętością człowieka swojego rodu, przerzucili się na stronę kozaczyzny, w nadziei zdobycia stanowiska, a choćby dostatków...

Inni ziemianie w obec ruchów z r. 1648 byli w przykrém, wyjątkowém położeniu: wypadało albo wynosić się „w obce kraje,“ na Wołyń, Litwę, czy w głąb Rzeczypospolitéj. Tak téż wielu dostojniejszych uczyniło, na co dowody znajdujemy w aktach. Oto np. jeden z Zakusiów, tak opowiada swego pokrewnego dzieje: „gdy w 1648 r. wystąpiła rebelia kozacka i swawola chłopska, p. Aleksander Zakusiło z synem, z domu i z dóbr swoich, ze wsi Zahusiów, zdrowie unosząc, ujechał i w wojsku koronném czas nie mały zostawał“<sup>2)</sup>. Inny Zakusiło, Semen, także w owéj epoce podążył „w kraje wołyńskie,“ z kąd się do-

\*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za kwiecień r. b.

1) Bartoszewicz, Encyklopedia powszechna, t. XXVIII, str. 21.

2) Prois. szl. r. 140.



stał do niewoli tatarskiej i w niej żywot zakończył <sup>1)</sup>. Michajło Kuźmenko Didkowski opierał się długo emigracyi, ale się nie mógł osiedzić pod strzechą własną, więc po wojnie beresteckiej uszedł „przed insolentią hultajską,“ zostawując i żonę i córkę, zaciągnął się on do wojska koronnego, w którym przez lat wiele bojował <sup>2)</sup>. Historya Aleksandra Becha rozrzewnia swoją prostotą: w 1648 wstąpił on do szeregów Rzeczypospolitej, by walczyć „przeciw zbuntowanemu chłopstwu,“ walczył też lat wiele, w końcu dostał się do niewoli tatarskiej, z której uszedłszy szczęśliwie, po trzydziestu latach tułaczki wrócił do swoich, a ci zagarnąwszy jego mienie, przyjęli brata nie arcygościnnie; musiał się aż biedak udawać pod opiekę prawa funkcjonującego tak słabo w owruckim powiecie, narażonym na ciągłe przechody kozaków <sup>3)</sup>. Jednocześnie wynieśli się z siół rodzinnych za granice województwa niektórzy z Meleniewskich, Hajewskich, Baranowskich, Redczyców, Wołkowskich i Kobylińskich <sup>4)</sup>.

Ale umknęli nie wszyscy, na miejscu została połowa osadców zaściankowych... dla nich ojczyzna zamknięta była w ciasne ramy Polesia, kochali ją oni w granicach swoich gruntów, owych zapadłych pośród błot i trzęsawisk okolic, a co najwięcej w granicach swojego powiatu...

Zostali więc przykuci nierozzerwaném ogniwem przywiązania... A zostawszy co mieli robić? Czy wypowiedzieć wojnę rozhultajonemu chłopstwu, żadnemu swobody i użycia, czy protestować przeciw kozactwu, za którego spisami stały całe szeregi pohańców, żądnych nie tylko krwi, nie tylko dobytku, ale i żywego mięsa ludzkiego; przedewszystkiém tego ostatniego, bo je odprzedać mogli na rynkach barbarzyńskiego Wschodu, bo mięso to właśnie wówczas znajdowało popyt, płaciło się lepiej od wszystkich produkcji. Sami się zgodzicie, że sytuacja nie do zażdrości. A buntownicze aspiracye kmieci owruckich rosły w stosunku do przestרחu, jaki opanował rzesze szlacheckie, osiadłe w tym kącie zapadłym. Zestawiając daty, spostrzegamy z pewném podziwieniem szybkość rozlewających się buntów: w końcu maja Chmielnicki otrzymał nad hetmanami zwycięstwo, a w końcu lipca, w powiecie owruckim nie było ani jednego szlachcica posiadacza, ani jednego księdza katolickiego, ani jednego żołnierza Rzeczypospolitej. Zostało dwóch herbownych odważniejszych czy schorowanych: p. Aleksander Niemierycz w Olewsku, okolony błotami i drużyną wiernych mu ofycjalistów i p. Teodor Jelec, chorąży kijowski, sparaliżowany, „więc nie mogący uciekać z domu“ <sup>5)</sup>, obydwu padli pod toporem chłopskim, nie bacząc na to, że obydwu wyznawali wschodni niezjednoczony obrządek, nie bacząc na to, że pierwszego z nich prześladowali synowcowie za to, że nie

1) loc. cit. 231.

2) loc. cit. 145.

3) loc. cit. 248.

4) loc. cit. 235, 269, 202, 251, 262.

5) Jerlicz, Latopisiec, t. I, str. 69.

chciał zostać arianinem, drugiego prześladował krewniak za to, że nie chciał zostać łacinnikiem. W końcu lipca pułki Chmielnickiego już Polesie załazy; autor „Latopisca,“ „człowiek narodu ruskiego i zakonu ruskiego,“ tak opowiada swoje przygody z téj doby: pułki te „mnie Joachima Jerlicza w Koczorowie zaskoczyły, przed którymi chroniąc życia do lasu uciekać musiałem... o dalszych postępkach téj bezbożnej wojny chłopskiej, czyli rozboju domowego, do końca nie mogę wiedzieć, bo w monasterze peczorskim (w Kijowie), przyszedłszy piechotą dnia 16 augusti, siedziałem aż do zmiłowania Bożego“ <sup>1)</sup>. Wojną chłopską nazwał ją rusin, do prawosławia gorąco przywiązany i nazwał bardzo słusznie, bo nie była to walka dwóch narodowości, dwóch obrządków, ale walka nędzy z kapitałem, walka żywołów nieposiadających praw obywatelstwa z uprzywilejowanym stanem... zasady komuny dzisiejszej, może bezwiednie, ale zastosowane *larga manu*... Tak tylko trzeźwo zapatrując się na te rozruchy, można je należycie zrozumieć.

A jak wielkie były straty po pierwszej inkursyi, dość tu przytoczyć skargi, wpisane do ksiąg grodzkich, ziemskich i potocznych, żytomirskiego powiatu w ciągu 1650 r. Skargi owe wnosili nie wszyscy poszkodowani, bo nie wszyscy wrócili do kraju, nie bacząc na solenne zapewnienie Chmielnickiego, że bezpiecznie mogą znowu osiadać na kresach i oddawać się pracom dawniejszym <sup>2)</sup>. Otóż z tego suchego sprawozdania, z tego sumaryusza dowiedzieć się łatwo, że województwo stało pustką, podymne spadło do minimum, bo z 4781 złotych na 659 i to z trudnością niemałą ściągniętych przez Woronicza, skarbnika kijowskiego, delegowanego do egzekwowania podatków <sup>3)</sup>. Poddani ciągle składali w aktach zeznania, poparte przysięgą, jako we włościach pańskich, których oni są nielicznymi reprezentantami, nie ma prawie osadników, bo ludność z nich rozbiegła się po szerokim świecie, a na chat sto, ledwie 2—4 były zamieszkałe, reszta rozpadała się w gruzy. Znaleźli się ludzie niepocziwi, korzystający z zawieruchy, którzy niecnym rabunkiem, na kmieciach dokonywanym, przysparzali sobie grosza. Do takich np. należał szlachcic Bielecki, rządca Wilska z przyległościami, będącego własnością p. Cichlińskiego. Otóż szlachcic ten w połowie 1649 r. włóczył się od wsi do wsi, przekroczył granicę województwa i w dobrach Aloizy z ks. Ostrogskich Chodkiewiczowej, mianowicie w kluczu Zwiahelskim, namawiał kmieci, by opuszczali „dworzyszczę“ rodzinne, udawali się do Wilska na osadnictwo, zaco im złote obiecywał góry; w taki sposób potrafił ściągnąć z 12 wiosek, przeszło 500 rodzin; ale jakże się przybysze odczarowali: Bielecki bowiem odzierał ich ze wszystkiego, co ze sobą przynieśli i napędzał. Uchodziło mu to wszystko bezkarnie; używał opieki u kozaków, służył u nich jako pisarz. Więc na skargi gminu nowo nawiązane władze wysłały w stycz-

<sup>1)</sup> Latopisiec, t. I, str. 69.

<sup>2)</sup> Opis akt, knihi nr. 19, Kijów 1878, str. 12.

<sup>3)</sup> loc. cit. nr. 19, str. 35.

niu 1650 r. woźnego, dla skonstatowania faktu, a po przekonaniu oddały Bieleckiego na porękę Cichlińskiego <sup>1)</sup>, z której naturalnie, że obwiniony nie korzystał; wyniósł się on w świat daleki, może na Zaporozie, ale przed ucieczką nadokazywał niemało, stojąc na czele wilskich kozaków, choć ich w końcu ukrzywdził, zagarnawszy żołąd im należny <sup>2)</sup>. A podobnych Bieleckich w owęj epoce było pełno we wszystkich prowincjach objętych ogniem kozackiej swawoli.

Szlachta jednak najwięcej ucierpiała w pogromie: traciła życie, majątek, a jeżeli z życiem uszła, to potem w owym 1650 roku wracała na zgłiszcza; rebelizanci bowiem nie zostawili jój nawet papierów rodowych, dokumentów świadczących o prawach własności, słowem nic... nic. To téż herbowni, rozglądawszy się po swoich zrujnowanych siołach, zaczęli od tego, że do akt wnosili rodzaj protestu, jako odarci zostali ze wszystkiego. Długi spis, może zbyt drobnostkowy, ale dosadnie malujący położenie kraju, podajemy tutaj, zastrzegając się raz jeszcze, że obejmuje on wyciąg z księgi aktowej jednego 1650 r. i to tylko jednego powiatu żytomirskiego.

Tak więc w styczniu manifestuje się Krassowski, że stracił dokumenta na prawo posiadania werkowszczyzny, miasteczka Michałowa i pół woszczenińskich. Aleksander Serebryski (?) podczas napadu ordy i kozaków w r. 1648, podążył za wojskiem polskim do Meżynówki, uczestniczył w bitwie pod Pilawcami, gdzie, uciekając z pogromu, zgubił skrypta i zapis na dożywocie nadane mu przez wojewodźca brzeskiego, Antoniego Tyszkiewicza <sup>3)</sup>. W lutym skarży Aleksander Żaszkowski, że mu kozacy spalili prawo na zastawną dzierżawę połowy Sobolówki; Aleksandrowi Dubińskiemu w tenże sposób przepadły dokumenta rodowe; toż i Pawłowi Butowiczowi pod Pilawcami. Jan Kiewlicz także tam się znajdował: odarty, zbity dostał się do niewoli tatarskiej, z której powrócił dopiero w końcu 1649 r. <sup>4)</sup>.

W marcu donosi Tomasz Kazimierski o stratach, jakie go spotkały z powodu rebelii kozackiej. Panią Wilemowską pozbawili oni praw na posiadanie Sosnówki; Andruszewicz zostawił dokumenta w obozie nad Żółtymi wodami, a był posiadaczem wsi Nedbajówki. Kołodyński i Zaleski zrabowani w domu przez kozaków. Skawińscy napadnięci w Lubarze: on sam zamordowany przez rabusiów, wdowa po nim ratowała się ucieczką. Maryan Omieciński, w Starym Konstantynowie zrabowany do koszuli. Żubrowie napadnięci w Zakryniczach, stracili ojca uduszonego przez kozaków. Nadto zrabowani: Anastazyja Wercszakowa, Martyna Brahińska, Teodor Fontani (do ostatniego należała wieś Białokrynica), Styczyńska w Iwnicy, Aleksander Iliński w Srebnicy, Iwan Chaleński w nowych Filipowiczach <sup>5)</sup>.

<sup>1)</sup> Opis akt, kn. nr. 19, str. 4.

<sup>2)</sup> loc. cit. nr. 19, 12.

<sup>3)</sup> loc. cit. nr. 19, str. 5.

<sup>4)</sup> loc. cit. nr. 19, str. 6 i 7.

<sup>5)</sup> loc. cit. nr. 19, str. 8, 9 i 10.



W kwietniu spotykamy podobne skargi Mikołaja Janczyńskiego z Iwankowiec, Strybyła i Szczeniowskiego <sup>1)</sup>.

W maju:—Skołyby, Ochryńskiego, Wyleżyńskiego z Krasnopola, Tyszkiewicza, Korczewskiego, Cieklińskiego i Tuszewskiego. Jednocześnie skarży się ks. Onoszkiewicz, ihumeń Tryhorskiego monasteru, że kozacy zrabowali klasztor do szczętu <sup>2)</sup>.

W czerwcu:—cześniak kijowski Proskura z Korycy i Marcinowicz, Dominikanie z Sokołowa, Wyszpolski, który w obozie pod Pilawcami utracił wszystko, jak również Aslanowicz, Karwowski, Paszyński i Skirmunt <sup>3)</sup>.

W drugiej połowie 1650 r. zanieśli protest do grodu, opisując dozolaczą w ich majątnościach, przez kozaków spowodowaną: Prokop Kiernozicki, Moszkowski, Sławieńscy, Meleniewski, Radliński, Nekraszewicz, Morozowa, Kułaczkowska, Serchowiecka, Owsiejewscy, Padarewska, Woronicz, Jabłonowski, Orypina (?), Wilamowski, Abraham i Michał Strybyle, Andrzej Służewski, Aleksander Rupniewski, Jerzy Żdzarski, Jan Dubrowski, Aleksandra Karkazanowa i Ohyja Tyszkiewiczowa <sup>4)</sup>.

W ciągu więc jednego roku odszukaliśmy około 70 wzmianek o rabunku majątku, zniszczeniu dobytku i popaleniu dokumentów, mających wielkie dla poszkodowanych znaczenie.

Ale spis ten i pod innym względem jest dla nas pouczającym. Rozpatrując się w nim pilnie, widzimy, że ziemianie, rozpędzeni burzą chłopską, walczyli nad Żółtymi wodami i pod Pilawcami, że dziewięć dziesiątych tych ziemian byli Rusinami. Że większość ich wyznawała wschodni niezjednoczony obrządek... łatwoby tego nam dowieść, cytując pojedyncze rody, ale i ten dowód niepotrzebny, spotykamy się bowiem z nazwiskami tu zacytowanymi na sejmiku, odbytym w Żytomierzu, na początku listopada 1650 roku, a sejmik ten postanowił, między innymi, aby religia grecka nie była naruszana w tych krajach, majątki cerkiewne powrócone, kościoły przerobione na świątynie wschodniego obrządku, gdyż i tak pustką stoją oddawna <sup>5)</sup>. A czyż trzeba większego dowodu, że reprezentanci, układający podobne instrukcje swoim delegatom na sejm wysyłanym, nie byli łacinnikami?

Ale doprowadźmy już do końca opowieść naszą o skutkach kozackiego powstania.

Szlachta, jak to z przytoczonego sumaryusza łatwo zawnioskować, wracała do pustek, kmiecie rozbiegli się w różne strony świata, energiczniejsi, do swawoli pochopni, utonęli w szeregach rebellizantów, spokojnych zagarnęły czambuły tatarskie. Nieliczne mieszczaństwo,

1) Opis akt. kn., nr. 19, str. 11 i 13.

2) loc. cit. nr. 19, str. 15, 16, 17.

3) loc. cit. nr. 19, str. 18, 19, 20 i 23.

4) loc. cit. nr. 19, str. 25, 28, 29, 30, 33, 34, 35, 37, 40, 42 i 43.

5) loc. cit. nr. 19, str. 39

tułące się po miasteczkach, naprędce do stanu obronności doprowadzonych, podnosić także głowę zaczęło. Tak, w lutym 1650 r. bojarowie owruccy, pod dowództwem Nuzypora Żuka, nieustannie napadali na włości, należące do Trypolskiego, zniszczyli Bohdanówkę, Kocówkę, Kłaczki i Mamiecz. W oddziale Żuka starszyzną stanowili ziemianie: Iwan Brujak i Fedor Hejewski, a także pop Bartłomiej Juszkiewicz <sup>1)</sup>. Złączyli się z nimi potem włościanie Staweckiego z Czernihowicz i spalili dwór tegoż Trypolskiego w Łukiszkach <sup>2)</sup>. W marcu, podczas jednej z takich wycieczek, zamordowali oni szlachcica Jana Sensnowicza-Siackiego <sup>3)</sup>. Jużto do końca nieledwie XVII stulecia, mieszczaństwo owruccy odznaczało się niesfornością: użytkując z ziemi, należącćj niegdys do wystraszonych a uprzywilejowanych zbiegów, może w obawie ich powrotu, odgrazali się na nich publicznie, a burmistrz miejscowy, sławetny Haraśko Mitiuchno, nawet wyszedł ze swęj skromnej roli i w święto Bożego Narodzenia, roku Pańskiego 1684, odzywał się w ten sposób: „Jam tu jest król, wojewoda i starosta owrucki, nie nowina mnie i pomocnikom moim lachów zabijać i topić, jako też wszystko wkrótce z moimi pomocnikami, czas upatrzywszy, nad mieszkającymi pany około Owrucza dokażę” <sup>4)</sup>. I dokazywał, ale nie na lachach, a na zaściankach, około miasta położonych: Redczyce nieledwie musieli wojnę z nim prowadzić, o każdą piędź ziemi, o każdą żyzniejszą polankę, o każde drzewo bartne, o ladajaką rudnicę, o ladajaką budę potażową <sup>5)</sup>.

Idąc za przykładem owruckich, kotelniańscy mieszczaństwo rabują sąsiednie Iwankowo, należące do Strybyla, a w grudniu 1650 r. pałą włości Bońkowskiego <sup>6)</sup>. W lipcu tegoż roku Horoszkowscy mieszczaństwo rabują zamek miejscowy, należący do groźnego Jerzego Niemiryicza <sup>7)</sup>. W sierpniu w Narodyczach, pod Owruzczem, pada dwóch przejeżdżających ziemian pod toporem sławetnych <sup>8)</sup>. Jednocześnie skarży Tysza Bykowski wójta kijowskiego, Andrzeja Chodykę, że pozwolił zrabować jego dwór w Kijowie, a w kilka tygodni potem, tenże Chodyka, protestuje przeciw mieszczanom, którzy go zrzucili z urzędu, za to, że chciał ich drapieżność poskromić <sup>9)</sup>. Słowem, drogi stawały się do nieprzebycia: tylko pod opieką siły zbrojnej i to dość znacznej, można było przedostać się z jednego na drugi koniec Polesia. Rzeczpospolita starała się tu zaprowadzić jakitaki ład i porządek, ale nadaremno.

<sup>1)</sup> loc. cit. 19, 16.

<sup>2)</sup> loc. cit. 19, 7.

<sup>3)</sup> loc. cit. 19, 8.

<sup>4)</sup> „Akty o kozakach,” str. 45.

<sup>5)</sup> Tamże, str. 177.

<sup>6)</sup> „Opis akt. kn.” nr. 19, str. 33, 44.

<sup>7)</sup> loc. cit. 19, 28.

<sup>8)</sup> loc. cit. 19, 39.

<sup>9)</sup> loc. cit. 19, 32, 36.

Sejmiki, zbierające się na rozmaitych uroczyskach, a wreszcie, na mocy konstytucyi przeniesione do Włodzimierza, uchwałyły podatki na utrzymanie milicyi, wybierały z pośród ziemian „pułkowników,“ dowódców owych milicyi; ale nowa organizacya, snać wadliwa, w swoim zawiązku rwała się i rozpadała.

Kraj więc cały wystawiony był na łaskę zwycięzcy i to nieprzebaczającego zwycięzcy. Potém nastąpiły uciążliwe przechody wojskowe, dotkliwie czuć się dające biédnym mieszkańcom: Tatarzy, zrabowawszy, uchodzili z powrotem, jakby się bojąc pogoni, kozacy plądrowali dłużej, najdłużej jednak dokazywały zastępy litewskie Radziwiłła z Gąsiewskim, posiadającym dyktatorylną władzę na Polesiu kijowskiém; prawda, wypierał on przeciwników, bronił od czambułu, ale za to sam rozporządzał się jak w kraju zawojowanym. Ale i Gąsiewski usunął się z Litwinami, kiedy powstały chorągwie z miejscowego zaciągu, dowodzili niemi dwaj bracia Niemiryce. Dały się one we znaki nietylko mieszkańcom okolic szlacheckich, ale i to przeważnie właścicielom większych posiadłości... Dziwny ho zamęt w tych szlacheckich przekonaniach panował, herbowni stali do króla nieustannie próby o pomoc, a kiedy ta pomoc uorganizowała się jakotako, modlili się o jój usunięcie, bo ich ona narażała na wydatki; to téż zastępy te zbrojne, niepłatne, traktowane przez swoich po nieprzyjacielsku, musiały sobie w końcu przebojem zdobywać prowiant, ciepły kąt dla wypoczynku, wreszcie grosz potrzebny na rynsztunek, bo już nie mówimy o odzieży. Co chwila téż skargi na owych rycerzy w aktach znajdujemy, że już tu tylko zsunujemy ważniejsze.

W kwietniu 1650 r. chorągiew Jerzego Niemiryca zrujnowała dwie okolice szlacheckie: Hoszów i Wańkowiec <sup>1)</sup>; jednocześnie regiment, należący do wojewody kijowskiego (Kisiela), pustoszył włości, należące do Kazimirskiego <sup>2)</sup>; w maju i jedna i druga przeniosły się na konsystencyą do dóbr chorążego kijowskiego, p. Jelca, 24 wioski, stanowiące jego dziedzictwo, odarte zostały po tatarsku ze wszystkiego <sup>3)</sup>.

Zbrojny oddział drugiego Niemiryca, Władysława, starosty owruckiego, gospodarował w tymże czasie w Klińcach, włości należącój do klasztoru czernic Koreckich <sup>4)</sup>. Dodamy nawiasem, że złożony on był przeważnie z ziemian bojarów w powiecie owruckim osiadłych. W następnym 1651 r. pustoszył p. starosta majątki Potockich, leżące niedaleko jego rezydencyi urzędowój: Narodycze i siedm nanowo osadzonych wiosek, zniszczył i zrujnował ostatecznie, a kiedy mieszczanie Narodyczcy zbrojno się oparli żołnierzom, ci wówczas bój z nimi stoczyli, w którym liczono poległych 50 sławetnych. A jednak wojsko nieprawnie zajęło tu stacye żołnierskie, gdyż p. Potocka opłaciła je

<sup>1)</sup> Opis akt. kni. nr. 19, str. 12.

<sup>2)</sup> loc. cit. 19, str. 13.

<sup>3)</sup> loc. cit. 19, str. 14 i 16.

<sup>4)</sup> loc. cit. nr. 19, 34.



z góry, na co otrzymała pokwitowanie <sup>1)</sup>). Miał ten Niemirycz dwóch nieubłaganych pomocników w Baczyńskim i Janie Ostrowskim: pierwszy zgnęał się nad kmięciami szczególnie i opornych po prostu odzierał ze skóry <sup>2)</sup>).

Ale obok chorągwi miejscowych, i wojska królewskie często się gwałtów dopuszczały; t. np. Wrangel, generał od armaty polskiej, wracając w 1665 r. z wyprawy z za Dniepru, zatrzymał się w Korczeszowie, należącym do Olizara Wołczkiewicza i nietylko że zniszczył miasteczko kontrybucyami, ale w końcu dwaj jego rotmistrze, Orzeł i Burczak, wychodząc stąd, zabrali ze sobą wszystek żywy remanent dworski i kmięcy <sup>3)</sup>).

W podobny sposób radziło sobie wojsko na kresach... i czy tylko na kresach? Jużto system prowiantowania był w onej epoce wadliwy w całej Europie, u nas może wadliwszy, niżli gdzieindziej...

To też ziemianie w okolicach szlacheckich osiadli, musieli kolejno schlebiać potężniejszym przybyszom, a że najpotężniejszymi byli wówczas kozacy, więc na wzór ich wiązali się w oddziały, sukursowali „czaty chłopskie,“ a w końcu rozmiłowawszy się w tém życiu bez jutra i sami skozaczeli na dobre.

I nie mogło być inaczej, każdy bezstronnie zapatrujący się na dzieje, zgodzi się na to bezwarunkowo. A teraz zreasumujmy udział ziemian-bojarów owruckich w owych Chmielnickiego, „sprawcy zaporożkiego“ rozruchach.

Pierwsze tu miejsce należy się Wyhowskim. Wysztyftowali oni oddział, dokazujący na Polesiu; wystąpił on na widownię w 1651 r., dowodził zaś nim Samuel Łazarowicz Nahornenko Wyhowski, w oddziale oprócz Waškowskiego i Iwaszkowskiego, wszyscy szeregowcy należeli do rodu dowódcy. Zaimprovizowany ten regiment, niszczył i palił niedoniszczone i niedopalone dwory szlacheckie, wymordował resztki herbownego drobiazgu, pozostałego w Owruckim powiecie, wreszcie rozpląnął się i stopniał około 1658 roku, kiedy Jan Wyhowski przechylił się jawnie na stronę Rzeczypospolitej <sup>4)</sup>). Wcześniej jeszcze, bo w 1648 r., p. Krzysztof Wyhowski zamanifestował się więcej romansowo niżli buntowniczo, choć i romansowość ta była istic kozacka; kochał się on dawniej zapamiętałe w p. Maryannie Łaskównie, córce Fedora, wojskiego bractawskiego: czy go panna upodobała sobie, tego powiedzieć nie potrafimy, to tylko pewna, że jej rodzic przeciwny był związkowi. Krzysztof więc nie dał za wygranę, czekał cierpliwie, aż oto naraz wybucha wojna kozacka, przyjmuje w niej udział, zostaje setnikiem małego oddziału i hula swobodnie. Naraz dowiaduje się, że jego wybrana schroniła się do Owruca i mieszka tam przy pokrewnej,

<sup>1)</sup> loc. cit. nr. 20, str. 10.

<sup>2)</sup> loc. cit. nr. 20, str. 9 i 19.

<sup>3)</sup> loc. cit. nr. 21, str. 10.

<sup>4)</sup> Proisch. szl. V. str. 104 i 106.

p. Bogumile Trypolskiej, wpada więc i porywa pannę. Brat porwanój, Stefan Łasko i jój opiekun, bo ojciec już nie żył, w lat trzy potém, zapisał protest w księgach zytomirskich, żaląc się w nim, że Krzysztof Wyhowski odważył się dziewczynę, „gwałtownie najechawszy porwać i rapt, natenczas onój biędzy, gdy bardziej o całości zdrowia swego, aniżeli o małżeństwie myślała, popełnić; jakoż zbraniającą się i na żadne małżeństwo naten czas niezezwalającą, gwałtownie na małżonkę sobie wziął i kozackim prawem porwał“<sup>1)</sup>... No, to jeszcze nie rebelia, może niejedna z czytelniczek, naten czas nie zgodziłaby się oddać zuchwalcowi ręki, ale potém, po skończonej wojnie... kto odgadnie?

Lewkowscy także związali się w oddział zbrojny, płądrowali oni dobra szlacheckie, znęcali się nad spornymi, pokorniejszych odzierali do koszuli; szczególnie jednak niszczyli wszystko, co do starostwa owruckiego należało, więc pola, barcie, gony bobrowe... Oddział ten przetrwał do 1678 r. i dopiero p. Franciszek Potocki rozgromił go i rozpedził<sup>2)</sup>.

Uszczapowscy przez wszystek czas niepokojóv pozostali w Uszczapach, a korzystając z przewagi, jaką im dawały dobre z kozakami stosunki, zagartywali grunta sąsiadów, a po powrocie tych ostatnich, opierali się ich oddaniu, i to zbrojnie, po kozacku<sup>3)</sup>.

Oskarżano także o udział w wojnach Chmielnickiego innych mieszkańców okolic szlacheckich, jak Kobylińskich i Biełockich<sup>4)</sup>.

I tylko tyle znaleźliśmy w aktach, skromna bardzo liczba, a i ta może przesadzona, bośmy ją czerpali ze skarg rozmaitych, a w skargach ojcowie nasi nie szczędzili barw ciemnych; była to już wada obyczaju, malować jaskrawo, by sędziów rozczulić...

Żaden z ziemian w tój epoce nie urosł na bohatera watażkę, wiązali się oni w drobne „drużyny,“ tak obronę zaścianków mające na względzie, jak równie i rabunki, które się stały niejako rzemiosłem w tym wszelkiej opieki pozbawionym zakęcie.

## V.

### Stosunek okolic szlacheckich do kozaków Dymirskich. Warchoły ziemian z wojskami Rzeczypospolitej. Kultura, wybitniejsze postacie.

Po wstąpieniu na tron Sobieskiego, kawał ziemi, noszącej nazwę geograficzną Owruckiego powiatu, stanowił w całym znaczeniu tego wyrazu „bezpąską krainę.“ Kozactwo bowiem, wyparte z południowej części województwa Kijowskiego, przerzuciło się albo za Dniepr,

1) Froisch. szl. V. 108.

2) loc. cit. str. 128.

3) loc. cit. str. 120.

4) loc. cit. str. 124 i 126.

albo utonęło w objęciach Tureczczyzny, panującej de facto w Kamieńcu, a roszczącej pretensje do całego obszaru wzdłuż Borystenu rozpostartego. Rozgraniczenie, dokonane w 1680 r. między Rzeczpospolitą a Portą, sięgało po Czarny szlak „między gruntami Chmielnickimi do Podola należącymi, krasnopolskimi, januszpolskimi, aż do samej granicy ukraińskiej. Na Ukrainie kwestya szła o miast siedm, o które się Turcy upominali, jako do Kijowa, do Pawołoczy i do Białocerkwi nie należące“<sup>1)</sup>. Polesie więc, tak zwane kijowskie, choć wchodziło w skład Rzeczypospolitej, ale z jednej strony przytykało do owej rubieży paszatykatu podolskiego, z drugiej, do pustek spornych ponad Dnieprem, gdzie się wagały reszty wolnicy; że jednak w stepie życie ciężkie, że koło roli nikt tam nie chodził, spichlerzem więc tego stepu mieszkańców była uboga i ogołocoła z ludu, chętnego do pracy, dawna ziemia Owrucka.

Ale tu jeszcze nie koniec złego; jednocześnie prawie zawiązki kozaczyzny polskiej zakwaterowały na Polesiu, jednocześnie mówimy, bo w 1678 r., Hohol, wyparty z Braclawszczyzny, przeniósł się z rozkazu Jana III do Dymiru, stolicy starostwa, położonego między Kijowem i Czarnobyłem.

Dymirskie owe starostwo, rzucone między błota i bory, pustką podówczas świeciło okrutną, składało się z miasteczka, 10 domów żydowskich i kilkanaście dworów chrześcijańskich liczącego; nad Pechówką, błotnistą rzeczułką, wznosił się ladajako opalisedowany zameczek, w którym przed kilku laty został p. Piwo pułkownik zamordowany—i oto wszystko... Dokoła puszcze, przecięte leniwemi ruczajami, kilkadziesiąt uroczysk, kilkanaście futorów, na zachód od miasteczka Rudnia Dymirska, a niżej od niej wieś Kotiużanka, do starostwa należąca, a z kilku ledwie dworzyszcz złożona, tuż obok Huta Kotiużańska, w której kiedyś, przed inkursją, szkło wyrabiano, teraz pustką stała... Obszar wielki, ale dochodu nic. Wprawdzie w 100 lat później, Potoccy (Eustachy i syn jego Kajetan), starostowie dymirscy miewali ztąd od 8,500 do 14,700 złotych<sup>2)</sup>, ale oni gospodarować umieli, kiedy kozacy najmniejszego pociągu do gospodarowania nie posiadali. Hohol rozglądnął się dokoła, do rabunku nie miał ochoty, a wyżyć nie ma z czego, więc, nie bacząc na to, że go król tytułem hetmańskim udarował, wycofał się z Dniepr, w rychle też potem (styczeń 1679 r.) umarł w Możyhorskim monasterze pod Kijowem<sup>3)</sup>.

Ale wolnica przez niego sprowadzona została na miejscu: wynosiła ona najwięcej tysiąc ludzi, z tego jednak tysiąca urosło potem kilka tysięcy rabusiów. Jakie miał król zamiary, ściągając na Polesie kozaków? Zapewne, że najlepsze, bo obronę kresów, bo obronę najsłabiej pilnowanej, a jednak na największe niebezpieczeństwo narażonej

1) „Materyały do dziejów polskich,“ Poznań 1847 r., str. 165.

2) Baliński i Lipiński „Starożytna Polska,“ t. II, str. 527.

3) „Skazania o Możyhorskom monastyrze,“ Maksimowicza, str. 30.



granicy... obrona ta wszakże, zamiast pomódz, zapewnić spokój prowincyi, narażała ją na nieustanne kłeski.

Był jeszcze i inny powód: król z sędziwym hetmanem obaj nosili się z myślą przejednania kozactwa; to nam tłómaczy ową, w inny sposób nie dającą się wytłómaczyć, pobłażliwość i jednego i drugiego, dla swawolnych i krnąbrnych watażków, wyrastających co chwila na prawym brzegu Dnieprowym. Ale zażegnać urazy nie było im sądzono; przebaczyć wszakże należy ludziom dobrej wiary ten błąd polityczny... wierzyli w możność zgody, a przekonania ich podzielała większość, świadoma tego, że nikt lepiej od nich nie znał i ducha i usposobień kozackich i jeden i drugi bowiem liczyli pośród kozaków niemało osobistych przyjaciół.

Zaraz więc po zgonie Hohola, z rozkazu Sobieskiego przybyli na Polesie dwaj zdolni oficerowie: Bułycha i Drużkiewicz; pierwszy z pułkownika mianowany „nakaźnym atamanem,” ostatni regimentarzem owych formujących się drużyn. Wrychle otrzymali oni tak zwane „zapowiedne listy,” upominające ich do organizowania wolnicy; gotowano się do wyprawy wiedeńskiej, organizacya jednak tak szła leniwo, że nim Bułycha podniósł się z pochodem, Jan III już wracał z pod Wiednia. Sporo zginęło kozaków w górach Karpackich, reszta przywleka się do Dymiru ze swoim dowódcą. Dobremu zwycięzcy przypadł do serca kozacki watażka, obdarował go hojnie i zapragnął, żeby z tej pepiniery, pod jego dowództwem zostającej, rozrósł się zastęp i liczbą i męstwem imponujący.

To też już w następnym 1684 r., nowe „zapowiedne listy” wyszły z kancelaryi królewskiej, brał je kto chciał, byle był szlachcicem, byle umiał zwerbować większą albo mniejszą kupę ludzi, a z nimi przyrzekł gotowość na wszelkie wezwanie. Udzielanie tylko herbowym przywileju z pewnym zamiarem było uczynione; najprzód brat szlachcic będzie brata szlachcica oszczędzać, aż spory poczet ziemian, dawnych bojarów w owruckim powiecie osiadłych, chętniej zaciągnie się pod chorągiew człowieka rodu uprzywilejowanego. I tu miał spotkać zawód dobrego króla; bo choć do takich pułków werbowano niemało mieszkańców okolic szlacheckich, ale jednocześnie zwerbowano niemało kmieci i mieszczan polskich... wsiakali do nich jak ludzie z głębin kraju, tak i z za Dniepru przybyli, najczęściej z prawem zostający w rozterce... słowem w ubogiej w zasoby materialne Owrucczyźnie formował się rodzaj Zaporoża, utrzymywanego kosztem rabowanych i odzieranych mieszkańców.

Pułki rosły, jak grzyby po deszczu; stanęli na ich czele dwaj Koltarscy: Jan, cześnik czernichowski i jego syn Jakób, Wawrzyniec Łowicki, Daniel Fedorowicz, Krzysztof Łączyński, Karol Tyszkiewicz i wielu innych. Były to atoli nie drużyny zbrojne, ale kupy zbojeckie. Toż takiego Fedorowicza, takiego Tyszkiewiczza, takiego Łączyńskiego napady, nadają się do opowieści pełnej dramatu, a jednak dwaj pierwsi spokojnie dokonali żywota: tamten na Iwankowickiej swojej dzierzawie,

ten na zamku Byszowskim, kiedy Łączyński tyle dokazywał, aż go w końcu szlachta pojmała, zakutego dostawiła do obozu hetmańskiego pod Jazłowcem, gdzie w 1688 r., za wyrokiem wojennym, został rozstrzelany <sup>1)</sup>). Naturalnie, że w owych oddziałach szlachecko-kozackich ziemianie owrucy zajmowali wydatne stanowisko: pana Krzysztofa schwytano pośród Kobylińskich, w Kobylinie był jak u siebie w domu; porucznikował w jego hufcu Meleniewski, chorążym był Wołkowski, a w liczbie szeregowców, obok Kobylińskich, Kończakowscy, Chodakowscy, Paszyńscy, Uhłowscy i Wabiszewscy <sup>2)</sup>). Meleniewski nawet małą głową nie przypłacił swawoli, ale się wyprosił, utrzymując, że do oddziału Łączyńskiego nie należał, że przypadkiem doń się dostał, że przydybał go dowódzca jadącego do hetmana i t. d. A że nie byliśmy skorzy do egzekucyi, więc wypłazowano szlachcica i puszczono go do domu swobodnie.

Ale otóż tworzenie pułków kozackich przez herbownych okazało się niepraktycznym; zanadto już dokazywali, skargom spokojnych mieszkańców nie mógł się król opędzić, więc postanowił w r. 1686, by „listy zapowiedne” tylko doświadczonym wydawano kozakom. Zaraz też na wieść o tém, zbiegli się aspiranci z za Dniepru i z stepów, mianowicie Kilian, apostoł Szczurowski, Jarema Hładkij, Bazyl Iskrzycki, ostatni nawet do uprzywilejowanego stanu należał, posiadał bowiem znaczny majątek w okolicy Kijowa. Rzeczpospolita nie była w stanie płacić żołdu tym nowym kozakom, więc upoważniła ich do wybierania prowiantu („boroszna”) we włościach kijowskiego Polesia... stało się to właśnie źródłem krzyczących nadużyć, rabunek ubierano w formę podatku, a w końcu zaczęli ci nowi rycerze rabować, wcale się nie bawiąc w formalności jakiegokolwiek. Iskrzycki najwięcej dokazywał, ba, nawet może i najdłużej; pomocnicy jego: nakaźny pułkownik Pilaj i asauła Mojsiej, dawniej przywódzca bandy zbójckiej, straszliwie niszczyli Owruczczyznę, skargi szlachty niewiele skutkowały, bo Iskrzycki umiał sobie pozyskać miłość hetmana wielkiego, aż dopióro, kiedy się miarka przebrała, stary wódz obsyłał ją nieposłusznych uniwersałami, a kiedy i to nie pomogło, pchnął chorągwie z Litwy, które na swoją rękę kraj zaczęły odzierać... Ale nie odrazu przyszło do tego; kozacy Dymirscy, bo tak ich nazywano, choć się po całej rozleli prowincyi, dokazywali lat kilka bezkarnie, a w antraktach, za pewne wynagrodzenie, dopomagali szlachcie w uskutecznianiu zajazdów, służyli kolejno to jednemu, to drugiemu sąsiadowi, z równą gotowością niszcząc jak jednego, tak drugiego. Przykład dali majątniejsi ziemianie, z cząsem i okolice podążyły w teź ślady: tak Didkowscy przeciw Didkowskim używali zwykle pułku Fedorowicza, Paszyńscy przeciw Bołsunowskim pułku Kiliana i t. d. <sup>3)</sup>).

<sup>1)</sup> Akty o kozakach, str. 173.

<sup>2)</sup> L. c. 142.

<sup>3)</sup> Akty o kozakach, str. 122, 124 i 274.

Jedni aktorowie schodzili ze sceny, inni na nią wstępowali. Iskrzycki na dobre jeszcze dokazywał na Polesiu (znajdował się tu do r. 1692), kiedy Palej, ze swoim kilkotysięcznym pułkiem, przywędrował do Owruca. Miało to miejsce w 1689 r. Stepowy kozak przybywał z pewnemi planami, stary, doświadczony, przebiegły, marzący o kolonizacji pustek przydnieprowych, uciskał niewymownie kwaterunkiem, a jednocześnie namawiał gmin do wywędrowania w stronę Chwastowa, kędy obrał sobie rezydencyą... Dymirskich kozaków napady były dotkliwe, ale nie ciągłe, chorągwie szlacheckie jak burza przeciągały po kraju, ale po burzach takich zwykle następowała pogoda, kiedy Palejowe inkursye przerażały swoją wytrwałą systematycznością: rozlokowawszy się na kwaterach, zabierał on wszystek dobytek, rozpędzał kmieci, palił zabudowania, dokumenta, wszelkie zakłady przemysłowe, jak gorzelnie, młyny, rudnie, nawet budy potażowe. Szczególnie ciekawa pod tym względem relacya Teodora Niemiryca: posiadał on na Polesiu dwa miasteczka (Horoszki i Uszomierz), nadto siedm wiosek; otóż całych lat 15 kwaterowały w nich stepowe drużyny Paleja i Iskry, po ich wyjściu zostało „w Horoszkach chałup cztery, w Isajkach wsi chałup dwie,” w innych wszystkie kmiecie dworzyszczą stały pustką <sup>1)</sup>.

Watażka powoli urastał w siłę, pragnął wkoło siebie skupić wszystkie pułki kozackie, stepowe uznawali w nim przełożonego, ale Dymirskie opierały się, nawet połączyły się z chorągwiemi królewskimi, w celu wykurzenia z Polesia wszystko niszczącej „palejowszczyzny.” Zadania tego podjął się pan Wilga, ówczesny regimentarz i nie potrafił go dokonać, zato też zemsta stepowców była okrutna: Iskrzycki uciekł przed nią do Polski i nie powrócił już więcej; Apostoł Szczurowski dostał się do niewoli i ledwie upokorzeniem wymodlił sobie przebaczenie, a Jarema Hładkij powieszony został w 1696 r. przez kolegę w Chwastowie <sup>2)</sup>.

Hetman jednak koronny zawsze oszczędzał Paleja, zadowolnił się jego submisją i pozwolił mu nadal stacye wybierać na Polesiu kijowskiem.

Trwało to do 1699 r. Dopiero sejm pacificationis uchwalił rozpuszczenie wojsk najemnych i pozbawił króla prawa nadawania „zapowiednych listów” <sup>3)</sup>. W sierpniu tegoż roku, wystosował Jabłonowski groźny uniwersał do kozaków, w którym między innymi było powiedziano: „daję mój ordynans waszmościom, stosując się do świeżo napisanego prawa, abyście wszyscy, którzykolwiek w tój służbie wojska zaporoskiego zostawaliście dotąd, zaraz a zaraz cale a zupełnie zwinęli się, służby już żadnej w Rzeczypospolitéj nie mając i stanowiska żadnego sobie w żadnych dobrach, czyto jego królewskiej mości, czy duchownych i szlacheckich, nie pretendując” <sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> L. c., 574.

<sup>2)</sup> Akty o kozakach, str. 272 i 371.

<sup>3)</sup> Vol. Leg., t. IV, str. 42, § 2.

<sup>4)</sup> Akty o kozakach, str. 368.



Palej ustąpił, owrucka ziemia odetchnęła swobodniej, choć napałów kozacy niezaprzestali i później... Możliwość przypuszczać, że zaścianki rozzuchwalone powodzeniem, zepsute ćwierćwiekowem używaniem swobody, wreszcie pamiętając dawne urazy i dawne dociski, nękanie przez ówczesnego starostę Potockiego, same się zwiążą w krnąbrne drużyny i zaczną kraj niszczyć po kozaczemu... A jednak stało się zupełnie inaczej; ledwie jakaś garstka dała się unieść prądem powodzei Palejowych, ci opuścili kraj na zawsze, większość została po stronie porządku, po stronie władzy, która pracowała nad wprowadzeniem pokoju i bezpieczeństwa w północnej części kijowskiego województwa. Najdosadniej to się uwidatniło na początku zeszłego wieku.

Oto w 1702 r., stany uchwałyły popolite przeciw Szwedom ruszenie, okolice stały się bez szemrania do apelu, wszystkie rody miały w formującym się obozie swoich reprezentantów... Aż tu naraz rozpoczyna się warchoła między starszyzną: kto ma dowodzić ową zbieraniną szlachecką? Z prawa należało się dowództwo Józefowi Korczewskiemu, staroście żytomirskiemu, ale Franciszek Potocki, starosta owrucki, zapragnął naczelnictwo przy sobie zostawić. Szlachta się na dwie partie podzieliła, przy ostatnim zostali właściciele większych posiadłości, jak: Żabokrzycki, Pruszyński, Trzeciak, Trypolscy, Jakubowscy, Skoporowie i inni, a z okolicznej szlachty tylko dwóch Redczyców, Zakusiło, Kościuszkowski, Stempkowski i Korkoszko <sup>1)</sup>. Zato Korczewski miał ze sobą, obok Steckiego, Kniehinińskiego i Niemiryca, cały regiment z mieszkańców okolic złożony; oto bowiem na akcie podpisanych nalicyliśmy: 12 Wyhowskich, 6 Czopowskich, po 4 Bołsunowskich i Chodakowskich, po 3 Uszczapowskich, Czarnohubowskich i Synhajewskich, po 2 Szkuratowskich, Meleniewskich, Moszkowskich i Zakusiłów; nadto pojedynczo wystąpili: Zbikowski, Liplański, Biełocki, Hejewski, Paszyński, Wołkowski, Przygarnicki i Kostiuszko. Zato Kaleńscy, Lewkowscy, Niewmierzyccy, Bechowie i Werpowscy, podpisali „swém i braci swych imieniem,” albo „imieniem innych,” albo wreszcie „imieniem wszystkich,” to jest całego rodu <sup>2)</sup>. Przytaczamy te drobnostki, by wykazać, jaki materyał mieliśmy pod ręką, jaką gotowością odznaczała się ruska szlachta kresowa, wszystka prawosławna, wszystka bojarskiego pochodzenia...

Obok zaścianków owruckich stanęli gromadnie chodaczkowi spółbracia powiatu żytomirskiego. Na uroczysku w Stepanówce, według regulaminu przyjętego w podobnych wypadkach, wybrali urzędników, a między nimi strażnikostwo dostało się Stefanowi Meleniewskiemu; obożnym zaś został jeden z Wyhowskich. Ziemianie nadto postanowili zaskarżyć przed królem starostę owruckiego za to, że formuje osobne popolite ruszenie i już „na pustém siedlisku, Pełczy nazwaném, chorągwie porozwijał” <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Akty o kozakach, str. 499.

<sup>2)</sup> L. o., 549.

<sup>3)</sup> Akty o kozakach, str. 437.

Ale nim owe zastępy przeciw Szwedom pomknęły, wieść się rozbiegła, że Samuś i Iskra ze sporym oddziałem ciągną w Kijowskie. Zebrań chodaczkowi współbracia pośpieszyli w stronę zagrożonego Berdyczowa, nie wszyscy jednak, bo Potocki ze swoimi stronnikami w domu pozostał. W Berdyczowie nowa między dowódcami poswarka: od poswarki nierychło przyszło do zgody, trzeba ją było utrwalić libacyami, więc pić zaczęto, a tymczasem Samuś podsunął cichaczem pod miasto (19 października 1702 r.) i rozgromił pojednanych niedawno, a rozgrzanych trunkiem wojowników... Straty były ogromne: okolicznej szlachty zginęło niemało, cały powiat żytomirski dostał się w ręce zwycięzców...

Cóż robił w tym czasie pan starosta owrucki? Zbierał laury daleko wprawdzie łatwiejsze; ale mniej szlachetne... Oto korzystając z nieobecności ziemian bojarów, na wspótkę z Zabokrzyckim rozpoczął na czele 200 ludzi wędrowkę po zaściankach, a z wędrowką rabunek. Najwięcej ucierpeli podówczas Moszkowscy, Bołsunowscy, Waśkowscy i Paszyńscy; straty swoje obliczali oni na 20,000 złotych, nadto pokaleczonych i pobitych „srodze” mieli niemało. I powiedźcie, czy nie słusznie nazywamy ich wydziedziczonymi, czy nie z macoszyną niechęcią postępowała starszyzna z tymi, bądź cobądź spokojnymi i uczciwymi ludźmi; czy nie mieli oni prawa, oni „obywatele, którzy za wiciami jego królewskiej mości, równo z drugimi ichmość panami, województwa kijowskiego obywatelami, na pomoc zagrożonej ojczyźnie, w pole pospolitém ruszeniem wyszli”<sup>1)</sup>, skarżyć starosty przed tronem? Czy nie mieli prawa dokuczać mu za tę krzywdę i zniewagę na każdym kroku? Stepowi mieszkańcy, w podobném zdarzeniu, spaliliby wszystko mienie ciemieżcy, wrzuciliby go w ogień, a sami poszliby w świat daleki... ale w tych ziemianach, pośród trzęsawisk osiadłych, przywiązanie do rodzinnego kąta było tak wielkie, że ograniczyli się protestem do akt zaciągniętych, a sami zabrali się do pracy, by zatrzeć ślady zniszczenia, spowodowane przez nieubłaganego królewskiego dzierzawcę.

Piękna to cecha i dlatego ją zaznaczamy.

Ale nim zamknijemy pogląd ogólny, wypada nam zbyć choć kilku słowy kwestyą zatargów okolicznej szlachty owruckiej z chorągwiemi Rzeczypospolitej. Już wyżej, mówiąc o wojnach Chmielnickiego, przekonałiśmy się, że wojska czy to koronne, czy litewskie, zarówno uciskały wszystkich ziemian, wybieraniem stacyi częstokroć z rabunkiem połączone. Ale kiedy obywatele zamożniejsi zwykle poprzestawali na manifestach, wówczas zaścianki widząc, że protesta do niczego nie doprowadzą, same sobie wymierzały sprawiedliwość: poprostu bojowały z żołnierzami. Nie należy w tém upatrywać antagonizmu plemiennego, toż przecie okolice tak samo opędzały się kozakom. Szło tu tylko o uchronienie strzechy od rabunku, a wyznać niestety potrzeba, że rabunku tego często się dopuszczały zastępy rycerskie. Ucisk przez wojska spowodowany, musiał być wielki, kiedy kwestyą tę poruszono

<sup>1)</sup> Akty o kozakach, str. 482.

na sejmie 1685 roku; stany nawet wydelegowały komisją, której zadaniem było zbadanie „pretensyi województwa wołyńskiego i Polesia kijowskiego. Donieśli nam (tak brzmi konstytucya) y stanom Rzeczypospolitėj urodzeni posłowie, że od wojska W. X. Litewskiego, w dobrach swych wieczystych, różne egzekucye chlebów, szkody, najazdy i kryminały cierpią.“ Sejm wyznaczył Łuck na miejsce obrad, wyznaczył spory poczet komisarzy, w których liczbie znajdował się i p. Franciszek Lubicz Potocki, starosta owrucki <sup>1)</sup>. Szlachty zaściankowej nie uspokoiło to wcale; nie wierzyła w dobre chęci dzierżawcy królewsczyzny i miała racją po temu; wówczas pokorniejsi zwiesili głowy, energiczniejsi postanowili się bronić.

I jakaż to obrona? wcale naprzód nie obmyślana, ale doraźna, urządzona naprędce, wedle modły ludowo-kozackiej. Jedną taką bójkę, więcej zaciekle, podają nam akta ówczesne; było ich więcej, podobnych do siebie, tę jednak najjaskrawszą streścimy tutaj dla przykładu. Oto w grudniu 1685 r., więc w kilka miesięcy po ukonstytuowaniu się komisji łuckiej, p. Sienkiewicz, namiestnik chorągwi marszałka starodubowskiego, Krzysztofa Litawy i to chorągwi tatarskiej, więc najdokuczliwszej i odznaczającej się niesubordynacją, wędrował z obozu na zimowe leże. Na trakcie jego leżały Lewkowce i Niewmierzyńce, dwie spore wioski połączone ze sobą i osadzone przez szlachtę owrucką. Porządek wymagał, by taki dowódca, jeżeli gdzie miał zamiar zatrzymać się dla dniowego wypoczynku, wysłał naprzód pisarza wojskowego, a tego już obowiązkiem było wyznaczyć kwatery. Namiestnik tego nie wykonał, ale poprostu, nie zapowiedziawszy się, wjechał do Lewkowiec. Zaszli mu tedy drogę dwaj poważniejsi miejscowi obywatele pp. Piotr i Roman Lewkowscy, przekładając, że kwater w ich osadzie zajmować nie ma prawa, gdyż posiadają uniwersał hetmański, uwalniający ich od stacyi wojskowych; i to mówiąc jeden z nich wyjął z zanadru dokument wspomniany. Namiestnik nie uwzględnił przełożenia ziemian: przeciwnie, uniósł się, papier podany sobie przebił szablą, przyczém ranił szlachcica w ramie, a potem kazał podkomendnym wyszturchać go jeszcze. Nic też dziwnego, że za krzywdę ziemianie postanowili odwetować: zebrani tłumnie, osaczyli wojowników, tak że ci w końcu musieli się rejterować, ze stratą i konfuzyą nie małą <sup>2)</sup>. W 1688 roku powtórzyła się podobna historia <sup>3)</sup>. W 1691 roku Moszkowscy po dwakroć wypierali ze swjej okolicy chorągwie przybyłe na konsystencyą. W 1694 roku pokilkakroć napaścowali oni żołnierzy kwaterujących w Moszkach, odgrażając się nieustannie <sup>4)</sup>.

Ale to były zwykłe burdy, bardzo, raz jeszcze powtarzamy, powszednie na kresach... i ówczesne władze patrzyły na to nie inaczej: na

<sup>1)</sup> Vol. leg., t. V, str. 347.

<sup>2)</sup> Prois. szl. r., str. 217 i 224.

<sup>3)</sup> l. c., str. 244.

<sup>4)</sup> l. c., str. 305, 308, 312 i 328.



skargi wojska następował protest okolic, obie strony wpisywały krzywdy swoje do akt i na tém się rzecz kończyła... Nie były więc to bunty; przecie nim do opisanych starć przyszło, szlachta okoliczna na drodze legalnej, w instrukcyach dawanych posłom na sejm wybranym, cytowała szkody i krzywdy, jakich doznaje z powodu swawoli żołnierzy... prosiła z submisyą o uwolnienie ziemi owruckiej, jak od kozaków, tak i od owych zbrojnych zastępów, bawiących się rabunkiem tak dobrze jak i watażkowie chłopskim przywódzacy gromadom...

Oto w kilku słowach podaliśmy wierne sprawozdanie z nieporozumień między wojskiem a zaściankami, i przypuszczamy, że kto się inaczej zapatruje na nie, ten nie zna przeszłości naszej, albo chce ją nałamać gwoli naprzód ułożonej teorii, pod wpływem złej woli, a co najmniej uprzedzeń pewnych sformułowanych...

Ogólnym poglądem na umysłową kulturę zaścianków owruckich zamkniemy to nasze o nich opowiadanie. Pod względem wykształcenia szlachta stała bardzo nisko, ciemnota i przesąd panowały pośród niej wszechpotężnie. Szkół nie mieliśmy wcale na kresach: duchowieństwo wschodniego obrządku schłopiałe, ledwie czytać umiejące, księża zaś łacińscy po nielicznych parafiach zainstalowani, nic wspólnego z zaściankami nie mieli, a i oni nie bardzo o naukę dbali. W Kijowie koncentrowało się wszystko życie umysłowe wschodniego kościoła, rzymski zaś w epoce, nad którą pracujemy, wkraczał dopiero na pogranicze wschodnie z aspiracyami krzewienia oświaty. Na całym obszarze ziemi owruckiej i w sąsiadujących z nią powiatach, obokskromnych kilku monasterów, jak Pustynny, Preczysteński i Meżyhorski, gdzie się bojarowie mogli nauczyć cerkiewnego pisma i czytania, nie było ani jednego zakładu naukowego; w łacińskich, przyklasztornych szkołach Dominikanów w Czarnobyłu (założony w r. 1600), Jezuitów w Owruczu (r. 1620) i Karmelitów w Berdyczowie (r. 1626), bardzo zresztą nielicznych, uczono po polsku wyłącznie. Konwikt dla młodzieży szlacheckiej fundowany przez ks. Jelca, powstał jak wiemy w 1634 roku i egzystował bardzo niedługo. Przemieszkiwali wprawdzie w Kijowskiem, przeważnie na pograniczu owruczyczyzny, Aryanie protegowani przez Niemirycza, założyli oni nawet szkołę w Szerszniowcach, ale do niej szlachta zaściankowa nie uczęszczała; jeżeli się uczyła, to uczyła w domu, a nie wiele snać umiała, kiedy większość jej nie była w stanie wydecyfrować swego nazwiska na dokumencie, zadawalniając się albo krzyżem świętym, albo podpisem sąsiada. Trwało to do końca XVII stulecia, w zeszłym bowiem, coraz mniej liczone pośród okolicznych ziemian owych, pióra dzierżyć nieumiejących, prostaczków.

Co do znakomitości, bardzo niewielu da się pośród téj rzeszy naliczyć. W kościele wschodnim zasłynął Grzegorz Hoszowski, episkop przemyski i samborski, w drugiej połowie XVII w.; Teodozy Waśkowski, ihumeń meżyhorskiego monasteru w ciągu lat 34 (1669—1703). Didkowscy, Meleniewscy, Makarowicze i Chodakowscy, mieli reprezentantów rodu pośród kleru prawosławnego.

Na polu popisów militarynych, jeden dom Wyhowskich dosięgnął wydatniejszego stanowiska: Jan był hetmanem i wojewodą kijowskim, więc senatorem; brat jego Daniel, ożeniony z Heleną Chmielnicką, pułkownikiem bychowskim, drugi brat pułkownikiem turowskim. Biełockich potomek, przeniósłszy się w bractwskie, zasłynął pod nazwą pułkownika Szpaka. Zato administracyjnej karyery probowali ziemianie zbyt często, ale i na téj drodze nie dopisywało im szczęście, niewielu zdobyło skromny urząd woźnego, niekiedy namiestnika podstarościego. Inni jeszcze trudnili się interesami, broniąc praw szlachty zaściankowej i eksploatując ją okrutnie. Większość trzymała się roli, w pocie czoła chodząc około zagonu, przez praojców przekazanego.

*(Dokończenie nastąpi).*

# HISTORYCY WSPÓŁCZEŚNI JAKO STATYŚCI,

PRZYSZYNEK DO DZIEJÓW TEORII POLITYCZNYCH WIEKU BIEŻĄCEGO \*).

PRZEZ

*Dr. J. B. Oczapowskiego.*

## II.

Główną pracą zajmujących nas politycznych studyów Freemana jest jego dzieło p. t. „Comparative Politics.“ Są to odczyty, które Freeman wygłosił w styczniu i lutym 1873 roku w „Royal Institution“ <sup>1)</sup>. Do tych późniejszych prelekcji dołączył Freeman dawniejszy swój wykład, mianym w uniwersytecie w Cambridge „O jedności dziejów“ (1872 r.), ponieważ uważał przedmiot ten za łączący się z badaniami polityczno-porównawczymi, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, pochopnych do poglądów historyzoficznych, do wszelakich analogii i homologii.

W pierwszym odczycie zastanawia się autor nad umiejętnościami porównawczymi, które były dla niego podniętą do przedsięwzięcia podobnych badań w dziedzinie politycznej. Rozwodzi się Freeman nad zdobyczami porównawczego językoznawstwa, porównawczej mitologii i objaśnia, na czém polega ta nowa metoda badań, „stanowiąca zaszczyt i zdobycz umiejętną bieżącego stulecia, tak jak prace i odkrycia XV wieku złożyły się na nową dobę w rozwoju umysłu ludzkiego.“ W naszych czasach zachował metodę porównawczą Tylor w poszukiwaniach z dziedziny badań nad pierwotnymi warunkami bytu i rozwoju społecznego, które dotąd jeszcze odrębną nazwą nauko-

\* ) Dalszy ciąg. Patrz zeszyt za kwiecień r. b.

<sup>1)</sup> Uczzone towarzystwo prywatne założone w r. 1660 jeszcze i inkorporowane, t. j. przywilejem korporacji obdarzone; pewien rodzaj akademii nauk ścisłych. W uniwersytetach angielskich obowiązani honorowi czyli nominalni profesorowie lub prelegenci dorocznie kilka tylko mieć takich wykładów, zw. Rode Lectures.



wój nie uzyskały, a które polegają na porównaniu między sobą obyczajów, zwyczajów, obrzędów, podań ludów w różnych czasach i miejscach. Autor nasz pragnie, aby badania jego nad urządzeniami państwowymi uważano niejako za rozgałęzienie lub za odłam umiejętności tak świetnie zagajonej przez Tylor'a i określa porównawczą politykę, jako „badanie politycznych urządzeń i ukształtowań narodów szczepu aryjskiego.“ Autor zna dzieje tych narodów lepiej od innych, a z kądną filologią i mitologią porównawczą porobiły właśnie w obrębie tych plecion główne zdobycze swoje i odkrycia. Wiadomo, że Tylor stał się twórcą teorii o „survivals” w dziele swém „Primitive Culture,” t. j. o zabytkach, pozostałych ze sfery wierzeń, podań i zwyczajów zamierzchłej przeszłości, z doby przedhistorycznej, w drobnych szczegółach zbadanych przez wskazane co tylko porównawcze nauki. Zabytków tych częstokroć trudno zrozumieć i tylko studia porównawcze okazują ich związek z ówczesnymi warunkami społecznymi i usprawiedliwiają istnienie tego, co uchodzi dziś za zabobon lub za utwór dziecięcej wyobraźni. Freeman zamierza tedy spożytkować teorią tych szczątków wyobrażeń społecznych w dziedzinie badań politycznych; politykę zaś uważa zgodnie z Arystotelesem, za naukę badającą głównie układ państwa (forms of government) <sup>1)</sup>.

Drugi odczyt nosi tytuł: „Urządzenia greckie, romańskie i teutońskie.“ Podobnie jak pierwszy odczyt toruje jeszcze i ten drogę późniejszym, tak że dopiero trzeci przenosi czytelnika w granicę zapowiedzianego przedmiotu. Tymczasem usiłuje p. Freeman wykazać plemienne, duchowe i polityczne pokrewieństwo trzech odrośli szczepu aryjskiego, ponieważ pokrewieństwo to stanowi dla niego podstawę następujących poglądów i wniosków, odnoszących się do układu, czyli stanowiących pierwiastki organizującego się państwa. P. Freeman kreśli grubszymi rysami zgodne koleje politycznego ustroju Greków, Rzymian i Germanów, powtarza swą tezę, znaną nam już, że „Anglicy są najwierniejszymi wyobrazicielami aryjskich politycznych poglądów i urządzeń“ i twierdzi słusznie, że dzisiejsza europejska cywilizacja powstała z połączenia żywiołów i pierwiastków germańskich z romańskimi; Sławianom zaś i Celtom naznacza miejsce drugorzędne, chociaż uznaje że Słowian czeka lepsza przyszłość. Freeman domniemywa się, że zanim z łona plemienia aryjskiego wyszły i rozeszły się odmiennymi kolejami narody, o których tu mowa, plemię to posiadało urządzenia i prastary polityczny ustrój, złożony z czynników jedynowład-

<sup>1)</sup> W rozumieniu starożytnych Greków obejmowała polityka wszystkie instytucje państwowe: w czasach nowszych odróżniamy politykę, uważaną za sztukę rządzenia państwem, od samej nauki o państwie. Najwyraźniej przeciwstawia to język niemiecki w pojęciach: „Staatsrecht“ i „Politik.“

nych, można-władnych i gmino-władnych <sup>1)</sup>). Trzy te czynniki: monarchia patryarchalna, starszyzna na rodem i zasługami poczesna, i ludowe zgromadzenie, uzupełniały się i prawdopodobnie współistniały (?), przeszły zaś potem jako spuścizna do narodów wyrosłych samodzielnie z tego szczepu. Po rozdziale i rozejściu się w różne strony świata, każde z plemion „historycznych ukształtowało i wyraziło odmiennie pojęcie, nazwy i podmioty (?) politycznego władztwa. Badacz jednak uważny, posiłkujący się filologią porównawczą, potrafi łącznie dopatrzeć się w pierwiastkach wyrazów odpowiednich pochodzenia odnośnych pojęć od wspólnej macierzy.

W trzecim odczycie zestawia autor powyższe pojęcie o państwie, jako społeczności narodowej, połączonej z sobą organicznie jednokową mową i własnymi urządzeniami z pojęciami <sup>2)</sup> starożytnych, u których, jak wiemy, państwo ogniskowało się w obrębie udzielnego miasta i jego przyległości. Freeman wykazuje, że ani w Grecyi, ani w Rzymie nie było żywiołów dosyć potężnych do wytworzenia narodu w dzisiejszem politycznem pojęciu. „Patria“ skupiała się dla nich w grodzie rodzinnym. Wprawdzie, mówi Freeman, skoncentrowanie to życia politycznego w mieście, świadczy już o wyższym szczeblu, jaki osiągnął ustroj w ogóle społeczny, dozwala ono bowiem, a nawet nakazuje przypuszczać poprzednie istnienie i ukrzepienie się związków rodzinnych, plemiennych i sielskiego współżycia w jednej osadzie. Wsie, połączywszy się ze sobą w przeddziejowej dobie, dały początek grodziskom i grodom. Samo słowo *δημος* oznaczało pierwotnie raczej krainę, obszar pewien, a nie jego mieszkańców. Sielski ustroj napotykaemy w Epirze i Macedonii, gdzie miesjka Rzplita, nie zapuściła korzeni. Obywatelami Rzplitej byli mężowie i głowy rodów, t. j. rozrodzonych rodzin starodawnych; wyjątkowo tylko nadawano obywatelstwo ludziom obcym, zasłużonym lub do innych grodów należącym. Nawet w Achai, późniejszej siedzibie federalizmu greckiego, były miasta początkowo drobnych rozmiarów i nawpół sielskiego urzędzenia. Zawsze też nawet w dogorywającej Helladzie, rzęszce były li politycznemi związkami miast, nigdy zaś całych krajów.

I we Włoszech stanowił gród tylko ogrodzone miejsce przytułku dla włóscian i zrzeszonych wiejskich rodów i plemion, nie zaś ognisko politycznego życia na wzór grecki. Ród i plemię stanowią pierwotny czynnik miejskiej italskiej społeczności. Wszak wzrastająca potęga Rzymu zasadzała się na tém, że najprzód obdarzono prawami politycznemi sprzymierzeńców odwiecznego miasta, od Włoch zaczynając, a 2-re

<sup>1)</sup> Wyrażeń tych używa autor stale, zamiast powszechnych obcych monarchiczny, arystokratyczny, demokracja, demokratyczny i t. p.

*Przyp. Red.*

<sup>2)</sup> Pogląd ten na pierwiastki organiczne dzisiejszej nauki o państwie, nie jest dokładny i wyczerpujący. Żałujemy, że autor go nie uzupełnił w sposób jaśniejszy cokolwiek od powyższej tekstowej relacyi.

*Przyp. Red.*

na polityczno-obywatelskiem przyswajaniu ludów podbitych. Musiał jednak runąć polityczny ten ustrój, gdy milionowa Roma nie była w stanie pomieścić tylu obywateli w obrębie grodu swego. Autor roz-wodzi się następnie nad tém, że w pojęciach germańskich powstało państwo nie z miasta, lecz z rodu i plemienia. Prawda, że i w Rzy-mie gens znaczyła jako składnik polityczny więcej jak fratrya grecka, lubo rodowość ta rzymska posłużyła tylko do zbudowania prze-wagi jednego panującego miasta nad resztą świata cywilizowanego. U Germanów plemię i wspólność użytkowania z marchii, z odłogów gmin-nych złożyły się na Gau, dzielnicę, związek późniejszych polityczno-oddzielnych terytoryów. Gau, dzielnica, posiadała a u t o n o m i ą p l e -mienną, własnych urzędników, autonomią, nieznaną Grekom i Rzymia-nom, ci bowiem nie rozumieli innego samorządu jak miejski. Najlepiej można poznać proces tworzenia się obszarów plemiennych i narodo-wych w Anglii, a nie w dawnój Germanii, bo tam znajduje Freeman gotowe już historyczne dzielnice. Z germańskich dzielnic powstają plemienne księstwa i królestwa, „zbiór plemion był w stanie utworzyć to, na co nie zdobył się zbiór miast“ utworzył też naród. Kilko-ma rysami szkicuje potem Freeman wzrost i polityczne znaczenie średniowiecznych miast, wykazuje różnicę ich od grodów starożyt-nych, mówi o wolnych miastach republikańskich, o tych „oazach“ wol-ności w jedynowładnie rządzonych Niemczech, o włoskich Rzpłitych i kończy na tém, że „genezę zawiązania narodu najłatwiej śledzić w W. Brytanii, gdzie plemiona łączyły się i zrzeszały stopniowo, a ró-wnouprawnienie współplemienników dało gotowy materiał do budowy państwa narodowego, obcego politycznym ustrojom Grecyi i Rzy-mu“<sup>1)</sup>.

Czwarty odczyt traktuje o władzy królewskiej i kró-lewskości. Jako sprawdzian, a zarazem jako tertium comparationis, wysuwa nasz autor naprzód pojęcie nowożytnego króla, t. j. Na-czelnika narodu, pierwszego w dostojństwie i władzy, piastującego stały urząd zwierzchni, i za swe czyny oso-biście nieodpowiedzialnego. Ani starożytność, ani średnie wie-ki nie znały takiego pojęcia. Do pojęcia tego należy włączyć konse-kracją króla przez duchowieństwo, nadające mu w mniemaniu chrześcian znamię prawowitego władcy. Idea ta opiera się jednak na wyobrażeniach pogańskich, uważających królów za potomków gromo-

<sup>1)</sup> Pojęcie państwa jako narodu historycznie urobionego, znajdujące się na dnie nowożytnych teoryi politycznych, cieszy się największem uznaniem od Herdera poczynawszy, który w kosmopolityczném minioném stuleciu ideę tę podniósł. Najwyraźniej występuje to pojęcie francuzkiego statysty Buchez'a. Ale już wprzód pisał Romagnosi („Scienza delle Costituzioni“ p. 227): „Nazione intere indipendene padroni di tutto loro territorio e viventi sotto un so-lo governo temperato, ecco dunque lo stato ultimo voluto dalla natura o dalla ragione,“ 1850 r.



władnego Jowisza! Prawnicze zaś orzeczenia, że „Król nigdy nie umiera“ i że „tron nigdy nie jest opróżnionym,“ uważa Freeman za jedną z przyczyn, które odzierają panujących z religijnego majestatu pomazańców Bożych, tu na ziemi dzieła Boskie po ludzku czynić winnych. Za wymysł i teorią tylko przez legistów ukutą poczytuje Freeman twierdzenie, „jakoby król był pierwotnym nadawcą i poręczycielem wszelkiej wolności, źródłem, z którego wypływa idea nawet Rady narodu, samego zgromadzenia narodowego. Historia, powiada Freeman, zapisuje twierdzenie swoje li tylko jako objaw ewolucyjno-teoretyczny, zdaje sobie sprawę z utworzenia téj teorii; ale odmawia jej żywotności potęgę dziejową i społeczną. W dawnéj Grecyi król był rzeczywistym monarchą, „tytuły jego pochodzenia i władzy zadobowiązywałyby Boskie sądy z czasów Karola I.“ Jest on żywym obrazem nieśmiertelnego Jowisza, dzieckiem jego i wyobrazicielem. Żadne zgromadzenie, mimo domowych rozterek nie było w stanie prawnie wyzuc go z władzy. Chociaż nie mogło być wtedy mowy o konstytucyi, król helleński winien był wszakże „rządzić zgodnie z obyczajem przodków i kraju, i w zgodzie z radą Starszyny w myśl powszechnego dobra.“ Freeman nie wątpi wcale o tém, że legenda wrzekoma Homera opiewała rzeczywiste stosunki i przedstawiała historycznych ludzi. Nie można téż, zdaniem autora, powątpiewać o istnieniu królów w starożytnym Rzymie. Był ich „przedhistoryczny“ potwierdzają takie manekiny, jak Interrex, Rex sacrificulus, „tak samo, jak nazwy konsulów i trybunów, zachowane za cesarstwa, mogłyby już świadczyć o istnieniu i pełnej władzy tych urzędów w dawniejszój epoce.“ Królami téż „niemalowanymi“ byli dwaj królowie spartańskiej oligarchii, chociaż władza ich była ścieśnioną, zato archont *βασιλεύς* w Atenach był tylko dożywotni. W Grecyi królowie byli dziedzicznymi, w Rzymie obieralnymi. Charakterystyczną cechą dawnych królów teutońskich było połączenie obydwóch trybów naznaczania na tron, cechą przechowaną poniekąd i w Słowiańszczyźnie (Piastowie nasi). Konsulowie Rzymu byli właściwie namiestnikami nieobecnej władzy królewskiej, podobnie jak półroczny dyktator republikański i inni dostojnicy Rzplitej. Konsulowie przewodniczyli w obradach Senatu, kiedy nie możemy tego wyrzec o ateńskich archontach. Ateny zniosły „urząd“ króla; w Rzymie „urząd“ ten pozostał, tylko władzę jego podzielono między kilku. Z tém wszystkiém cesarowie, choć nieustannie dążyli do tego i faktycznie władali całym politycznym ustrojem, nie byli nigdy „Reges“ w starorzymjskim rozumieniu. Teutońscy królowie: Chlodwig, Alaryk, Pepin, mogli być tylko wysokimi rzymskimi dostojnikami. Dopiero Karol Wielki stał się, będąc królem tylko Franków, Lombardów, cesarzem Rzymu i Chrześcijaństwa. „Trzeba było poczekać, aż niemieccy władcy, przywłaszczwszy sobie tytuł „Reges Romanorum,“ poczynając od frankońskiego Henryka, a kończąc na cesarzu Józefie II, dokonali połączenia pojęć i potęg politycznych, wrogich republikańskiej puściźnie Rzymu.“ U Germanów królewskość nie była po-

wszeczną. Władza króla germańskiego stanowiła do pewnego stopnia nowość, bo nastąpiła po władzy starszych i wojewodów (Herzog, Ealdorman). Dawni Saksończycy nie znali królów; zkądże więc wzięła się u Niemców i u Anglików królewskość? Ztąd że Kingami, Könige, głową krewieństwa (Cynecyne) stali się dawni plemienni wodzowie Tacyta „ex nobilitate reges sumunt“, osoby pokrewne Wodan'owi, potomkowie germańskich bogów, naczelnicy kin, cynecyne rodu, zkąd następnie brano tych wodzów, jako „pośredników między niebem a ziemią.“ Urok swój wzięli oni przeto nie z urzędu, lecz z dostojnego pochodzenia, a władza i urząd przyłączyły się potem do tego. W oczach nawróconych do chrześcijaństwa ludów germańskich, obrządek namaszczenia i koronacyi przez duchowieństwo uświęcił tylko osobę królewską, osobę plemiennych naczelników, aczkolwiek odjął im przez to znamię rodowej świętości pogańskiej. Konsekracya ułatwiała nawet wybór królów z pośród rodów niekrólewskich, ułatwiała legalne usunięcie z urzędu króla, który okazał się być niegodnym. Feodalizm przedzierzgnął znów tego ludowego dotąd króla i naczelnika na władcę ziemi, w pana ziemskiego, tak, że przezeń stała się królewskość osobistém i rodzinném mieniem. Ścisłe dziedziczne prawo następstwa tronu, nietylko sprzeciwia się wyborowi przez lud, lecz także i teoryi utwierdzenia duchownego we władzy monarszej pomazańców Boga, bo wszak według pojęć średniowiecznych, celem obrzędu konsekracyjnego i koronacyjnego, było nadanie pełnej władzy człowiekowi, który dotąd był elektem świeckim. Łacno możemy tutaj widzieć, że według tego poglądu na teutońską królewskość, Freeman nie bierze bynajmniej za rzeczy jednoznaczne władzy króla i monarchii. Paradoksalne to napozór twierdzenie jego objaśnia się w ten sposób: obok sędziwych earlów i wodzów ludu całego istnieli i istnieć mogli drobni, nieraz młodociani „królikowie“ plemienni (*δημοκράτες*) dopóty, aż zlanie się i asymilacya różnych plemion w jedność narodową nie wyniosły jednego króla najczelniejszego z pomiędzy innych, na naczelnictwo tworzącego się w ten sposób narodu. Ci „królikowie“ przypominają nam żywo homerowych królów małej Itaki. „Historyczną ciągłość teutońskiego poglądu na władzę królewską przedstawia najlepiej król Anglii.“ Nie przestał on być nigdy naczelnikiem narodu, czy w zakątku Hampshire, w Wessex lub w całej Anglii, jako „lord tej wyspy.“ Zabór i najazd Normanów przyczynił się owszem tylko do ukrzepienia pojęcia anglosaskiego, „pospolitego prawa“, tak zwanego dziś „Common Law.“ W imię tego to dawnego prawa krajowego pospolitego, wyciągnął rękę po koronę i przywłaszczył ją sobie Wilhelm zdobywca: „potężnym był król, lecz potężniejszym od niego krajowe prawo.“

Na lądzie zaś stałym Europy przejęli się królowie frankońscy, potem francuzcy rzymską tradycją nieograniczonego wszechwładztwa, bo byli zdobywcami Galii. Dziedzicząc puściznę Teodozjuszów i Konstantynów, musieli się królowie frankońscy zastosować do cywilizacyi

rzymsko-chrześcijańskiej, musieli się poddać wpływowi Kościoła i jego polityce, a nawet osłaniać narodowy kościół przeciw uniwersalnemu majestatowi papieżów. „Prawda, że król Franków został cesarzem, lecz późniejsi rzymsko-niemieccy cesarzowie, acz tytułowali się panami świata, mniejszą przecież sprawowali i dzierżyli władzę, niż bracia ich udzielnicy w pojedynczych krainach niemieckich. We wschodnich dzielnicach monarchii frankońskiej, obieralni cesarze wyzuli się z tradycji królów germańskich; w zachodnich zaś nad Sekwaną, które rozrosły się potem we Francją, zapanowała dziedziczność, a wraz z nią samowładztwo.

Autor upatruje też analogią między rzymskim przekazywaniem królewskiej władzy w ręce konsulów, a nowożytną władzą prezydenta republikańskiego. W jego oczach stanowi to dowód, że w mniemaniu ludowym państwo, jakkolwiek pozbawione królewskiego uroku funkcji wykonawczej władzy zwierzchniej, musi jednak mieć jedną osobistą głowę. Wszak prezydent Stanów Zjednoczonych posiada, jak wiemy, większy wpływ i atrybucje od niejednego króla konstytucyjnego. Właściwie jest on też „czteroletnim królem,“ bez nietykalności i dostojności królewskiej. Jakkolwiek w nowożytnym konstytucjonalizmie zatarty się królewski rząd i urządowanie, poczucie wszakże dostojności królewskiego rodu nie jest wszakże obce u członków rodziny panującego: członkowie ci poczytują się sami za „odrębną klasę towarzyską“<sup>1)</sup>.

Piąty odczyt o Zgromadzeniu narodowym (sejmach) ma udowodnić „że i do organu ustawodawczego stosuje się poznane prawo stopniowego wzrostu doskonalenia się charakterystycznych przymiotów narodowych, które znamy z genezy władzy królewskiej.“ W miejskich rzeczachpospolitych starożytnych nie znajdujemy wprawdzie sejmów reprezentacyjnych, bo te państwa demokratyczne lub arystokratyczne w pojęciu współczesnych, są dla nas oligarchiami, skoro prawa polityczne sprawowali w nich tylko wolni obywatele i mieszczaństwo dziedziczne. Zgromadzenia ludowe tych rzeczypospolitych nie mogły wznieść się ani przetrwać w narodowe sejmy, wyobrażające reprezentację narodową. Co innego tam, gdzie przewodnią polityczną ideę stanowi plemię a nie miasto. Świadkiem, że tak jest a nie inaczej, dzisiejsze sejmy ludowe pierwotnych szwajcarskich kantonów, które wyobrażają obradujący wiec gminny Germanów Tacyta. W Grecji różni się tym możnawładny ustrój od gminowładnego, że w pierwszym tylko ci obywatele sprawują prawa polityczne, którzy posiadają prawa cywilne, kiedy w demokracji sprawują je wszyscy obdarzeni cywilnymi prawami pełnego obywatelstwa. Ustrój polityczny miejskiej Rzpltej pole-

<sup>1)</sup> To samo utrzymuje Bluntschli „Allgem. Staatslehre,“ str. 201 i nast. oraz idący za nim Kasperek „Ogólna nauka o państwie i Prawo polityczne,“ t. I, str. 468. Bluntschli jednak zalicza do tej wrzekomo odrębnej klasy także i urzędników — naturalnie państwowych.



gał zgoła na dziedzicznym mieszczaństwie, a opierał się na pierwiastkach obcych napływowych, nawpół wolnych; tudzież na niewoli wielkiej większości mieszkańców. Zresztą: czy weźmiemy za punkt wyjścia miasto, czy też plemię, najdawniejszym pierwowzorem Rptój nie jest zbiór wszystkich wolnych obywateli w Z g r o m a d z e n i u l u d u. Wykluczenie z niego niewolników, upośledzonych wrzekomo w „ludzkiem” swém jestestwie aż po czasy Stoików (podług myślicieli starożytności), oraz półobywateli (metoików, klientów), protegowanych, którzy wszakże w inném rodzinném mieście musieli posiadać według pojęć starożytnych swe pełne obywatelstwo. Nasze o tém wyobrażenia są płodem dziejowego wyrobienia się królestw i republik terytoryalnych, które nie istniały w starożytności. Należy też pamiętać o tém, że w starożytnych zgromadzeniach każdy obywatel był, a przynajmniej w zasadzie powinien być być żołnierzem i że w zasadzie wojsko było zarazem sejmem. Stan ten kończy się dopiero wtenczas, kiedy powstały polityczne formy więcej wykończonego i urozmaiconego publicznego życia, gdy obywatele walczący za murami lub na kresach przyległych miastu krain o niepodległość lub w sprawie (?) udzielnego i wszechwładnego grodu ojczyźnego, odbierali rozporządzenia współobywateli pozostałych w ognisku państwa. Wszystko nosi tu piękno lokalne: uchwały zgromadzenia utraciłyby swą moc i ważność, gdyby zapadały gdzieindziej jak w starodawnéj świątyni ustawodawczéj. W wyjątkowych tylko razach, kiedy rzplita mieściła się na flocie podczas wojen perskich, podczas konfederacyi, obywatele sprawują sejmowe swe prawo opodal grodu rodzinnego. Na przeszkodzie stała temu odległość stolicy związkowéj, Megalopolis np. w Grecyi.

Jeśli pragniemy zdać sobie dokładnie sprawę z istoty pierwotnych zgromadzeń ludów szczepu aryjskiego, trzeba dla stworzenia pierwowzoru wyobrazić sobie taki układ ciała ustawodawczego, gdzie zgromadzeniu ludowemu przywodzi król lub inny naczelnik, a oświeca je rada starszych, uznana przez resztę ludu, lubo rady jéj nie wstrzymają uchwał zgromadzenia zbiorowego. Trzy te ustrojowe czynniki odnajdziemy z łatwością w sejmach późniejszych organizacyi państwowych. Z pierwowzorem tym spotykamy się w sejmach bogów Olimpu. Król czasów Homera nie może rządzić, nie zasiągnąwszy wprzód głosu podwładnego ludu. Jestto zawiązek późniejszych parlamentów. „Ludzie, do których władcy przemawiają, aczkolwiek oni tylko słuchają, przytwarzają, lub objawiają swą niechęć, pewnego dnia zaczną sami przemawiać i argumentować.” Chociaż dzieje nie przechowały nam trybu obradowania ani nie mówią o władzy sejmów w Epirze i Macedonii, to jednak stwierdzony w tych krajach fakt współistnienia królów i sejmów, stanowi niejako słaby już cień tworzących się organicznie sejmów w wiekach średnich i późniejszych.

W rzeszach, to jest w związkowych państwach Grecyi uprawnieni do głosowania obywatele, z powodu odległości zbyt czynnéj i nieraz

dla majątkowych przeszkód nie brali udziału w związkowym zgromadzeniu, ale poczęli się wyręczać przez zastępców. Przelewają tedy prawa swe na starszyznę. Autor upatruje w tém pierwiastek, nieomal związek, sejmów nowożytnych. Wszakże i w wiecach dawnych Germanów rzadko uczestniczyli wszyscy wolni. W mickie gemots anglosaskich, w rzadkich tylko wypadkach: jak np. przy wyborze króla, przy sądzeniu zdrajców, brali udział wszyscy wolni ludzie. Prawo do udziału osobistego w sejmie poszło w zapomnienie, chociaż nie zaginęło zupełnie. Wiece Franków na polach: „marcowém” i „majowém,” były także zborami wszystkich wolnych, aczkolwiek nie wszyscy z praw swych politycznych korzystali, tak że faktycznie były owe sejmy zgromadzeniem starszyzny. Dobrowolne niekorzystanie z praw obywatelskich, do których należał też wymiar sprawiedliwości w wiekach średnich, nieodłączny od ustawodawstwa, spowodowało i w innych krajach teutońskich wprowadzenie oddzielnych ławników, sądów ławniczych i dało początek stanowi sędziów. Zresztą z prastarego swego aryjskiego wiecu powstały inne polityczne urządzenia nowożytnej Europy i to przez pośrednictwo zgromadzenia plemiennego. Lubo starożytność nie umiała zdobyć się na system reprezentacji sejmowej, to system reprezentacji mógł się być rozwinąć organicznie z pierwiastkowego wiecu, jako nieuchronne i naturalne następstwo, gdyby nie odmienne społeczne warunki dawnych rzplitych. W rzeszy achajskiej i późniejszej licyjskiej miejskie rzplite sfederowane miały jednakowy głos w zgromadzeniu, chociaż nie jednakię były obszary ich krajin i różne zaludnienie związkowych miast. Przez analogią przypominającą ustroj rzeszy nowożytnych, autor ma na myśli przeważnie prawa Prus w radzie związkowej nowszych Niemiec, możniejsze miasta pro tanto liczby uprawnionych swych do głosowania obywateli, posiadały wota kilkakrotne w porównaniu ze współzwiązkowcami o jednym głosie. Można więc było, gdyby zaszła tego potrzeba, urządzić rodzaj reprezentacji w ten sposób, że delegaci faktycznie byli zastępcami obywateli ze zgromadzeń poszczególnych rzeczypospolitych związkowych. Mniema też Freeman, że to przejściowe urządzenie prowadzi do sejmów reprezentacyjnych. Uwaga co prawda nie nowa, podobną bowiem dawniej uczynił już był lord Brougham <sup>1)</sup>.

Trafnie też zauważa Freeman, że quasi federalne pierwiastki państwowego ustroju Rzymu uniemożliwiały tu gminowładztwo na wzór Aten. Freeman rozumie przez to gminowładztwo wszystkie rodzaje obradowania w Rzymie: comitia tak centuriata jak curiata i tributa, gdzie w skutek plemiennego ustroju, głos pojedynczego obywatela nikał w głosach sztucznej i zbiorowej jednostki plemiennego wiecu centuryi. To też i lud rzymski, jakkolwiek posiadał swój organ

<sup>1)</sup> „Political Philosophy“ (1861) tom III, por. rozdział VI z VII. Brougham wprawdzie zdaje sobie lepiej od naszego autora sprawę z różnicy federal principle i representative principle.

ustawodawczy i wyborczy, nie miał jednak nigdy tój władzy co senat, w którym skupiały się wszystkie rządzące osobistości, pospołu z konsulami i trybunami zawiadujące bieżącemi sprawami rządz. Rząd stanowił tu senat, kiedy w Atenach zgromadzenie ludowe, pochłonałszy w sobie wszystkie polityczne funkcye, rządziło i ustawy stanowiło.

W krajach zachodniej Europy, starodawne wiece germańskie plemienne przeobraziły się z czasem i wysnuły z pośród swego łona wiece i sejmy pojedynczych stanów. Stan duchowny, rycerstwa i stan wolnych, którzy albo pozbyli się samo chcąc udziału w dawnych sejmach, albo nie posiadali tytułów i praw feodalnych, stan gminu. Tam, gdzie jak w Szwecyi, włościaństwo wyrobiło sobie zdawna prawo sejmowania, powstała Izba czwartego chłopskiego stanu, istniejąca do niedawna, obok trzech pozostałych. Wiecowa zasada udziału wszystkich wolnych w sejmie krajowym, zmieniła się przez ten ustrój stanowy na udział przedstawicieli każdego z członków stanu uprawnionego w dziele krajowego ustawodawstwa. Między Anglią wszelako a państwami ładu stałego zaszła ta godna w tój mierze uwagi różnica, że w braku odrębnego interesu duchowieństwa jako stanu, który zresztą zastępowali biskupi w dawnym Witanagemot, przetrwała po dziś dzień wolna izba lordów świeckich i duchownych, zabytek owój epoki „kiedy każdy wolny Anglik brał udział w zgromadzeniu ludu.” W izbie gminu wyręczałi się zastępcami ci, co z prastarych swych praw niekorzystali. Taka jest, według naszego autora, dziejowo-realna geneza i usprawiedliwienie dwuizbowego składu parlamentu. Gdzieindziej jest ten dwuizbowy skład nie tyle owocem nieuniknionego dziejowego rozwoju, ile naśladownictwem bez podstawy historycznej.

Autor tłumaczy przy tój sposobności i ob staje słusznie za koniecznością dwuizbowego składu sejmowego w rzeszach nowożytnych, ile że tu chodzi o wyrażenie podwójnej udzielności składowych części: państw zrzeszonych i ludu związkowego. W tój mierze wyraziliśmy nasz pogląd w inném miejscu <sup>1)</sup> a Laboulaye podaje też arcyprzekonywające dowody w swój „Historji Stanów Zjednoczonych” i w „Questions constitutionnelles” (1872), dokąd czytelnika odsyłamy. Autor wspomina następnie o pierwotnych wiecach we Fryzyi, przetrwałych po XVI wiek, o sejmach pierwotnych szwajcarskich kantonów, gdzie naocznym był świadkiem widoku budującego „który wiecła wszystko, o czém się czytało i pomyślało, gdy pod niebios stropem, można widzieć i słyszeć zgromadzony lud, co w uroczystej formie zobowiązuje się i ślubuje posłuszeństwo ustawom, które sam postanowił.” W wymowny a malowniczy też sposób skreślił Freeman obraz owych wieców kantonalnych na wstępie do poprzedniej swój pracy o układzie politycznym Anglii, na co się tutaj powołuje. Bierze z tego pochop do porównywania sejmów polskich elekcyjnych z weneckim gran con-

<sup>1)</sup> „Władza i układ państwa,” ks. II, rozdział II, str. 307 i nast.



siglio. Freeman uważa sposoby sejmowania dwóch tych „możno władnych rzplitych,” za nierozwinięty zabytek pierwotnych wieców gminowładnych, co aż do XVIII przetrwały stolecia. Mimo pozornej słuszności tego zestawienia, pogląd Freemana na sposób sejmowania Rzplitej weneckiej i polskiej, jest powierzchowny i na żadnych głębszych studyach nie oparty. Sejmy elekcyjne w Polsce różniły się bardzo od walnych sejmów i opierały się na zupełnie innych podstawach. Zdanie zaś Freemana jako: „obydwa owe ciała stanowiły przykład jak gminowładne zgromadzenie może stać się reprezentacyjnem a możnowładne pierwotnym wiecem,” poczytać trzeba za mylne a nawet bałamucące czytelnika nieświadomego urządzeń republiki ś. Marka i sposobu sejmowania w Polsce.

Sejmy pod Wolą przypominają bezzaprzeczenia pierwotne wiece: niesforne tłumy szlacheckiego gminu paraliżowały swoją krociową obecnością obrady wyborów króla <sup>1)</sup>, tłumy te nie wpływały korzystnie ani na tok obrad, ani na prawidłowość obioru, nie były też rękojmią wrzekomiej swobody „szlacheckiego narodu.” Lecz zadziwi każdego, co zgłębiał kwestye polityczne, szukanie śladów „gminowładztwa,” lub „reprezentacyi” polskiej w sławetnem możnowładztwie weneckiem, znanem i uznanem powszechnie za typ oligarchii, tak że Monteskiusz ilekroć wspomina o zasadach rządów możnowładnych, ma na myśli, lub jawnie wymienia Signorię ś. Marka. Musimy przeto sprostować powyższy sąd Freemana uwagami ziomka jego, głośnego statysty Brougham'a <sup>2)</sup>. Rodziny mające w Wenecyi prawo do posad i godności rzplitej, stanowiły ciało gminowładne z 480 członków złożone aż do r. 1297. Po zamieszkach, spiskach i wojnach domowych nadano Radzie czterdziestu (Quarantie) prawo wykluczenia uprawnionych do wyboru, lecz niezastługujących na to wyborców, przyczem postanowiono, że rokrocznie Rada owa ustanawia trzech wyborców, właściwie pra-wyborców, którzy mieli prowadzić spisy obywateli zasługujących na to, aby ich przybierano do grona Czterdziestu, jeśliby mieli za sobą 12 głosów na 40. Ograniczono potem obieralność do członków rodzin uprawnionych do Gran Consiglio lub zasiadających w nim od dawien dawna. W r. 1319 zniesiono ów przepis o trzech pra-wyborcach, ułudny, bo pokrywający istotne

<sup>1)</sup> Brougham, „Political Philosophy,” vol. II, str. 79. Rozdział o Polsce pisał „szlachetny” lord w porozumieniu z „Hotelem Lambert.” Przy małej znajomości angielskiego u nas piśmiennictwa, utwór Broughama przełożono na francuzki, trzeci tom przeszedł niepostrzeżony

<sup>2)</sup> Brougham, l. c., rozdział XX i nast. Tom drugi tego dzieła uważamy za najlepszy zbiór rządów możnowładnych w literaturze politycznej. Przyznaje to w części R. Mohl, „Encyklopaedie der Staatwissenschaften“ § 47, kiedy w pierwszym zwłaszcza, przywiódłszy drugi tom Broughama mówi: „Hauptsache bleibt das Studium tüchtiger aristokratischer Verfassungen, wie von Sparta, Rom, Venedig und von Bern. Otóż systemata państwowe przedstawia Brougham lepiej jak ktokolwiek inny.

zamysły fakcyi oligarchicznej i, ścieśniając zastęp wrzekomego według naszego autora gminowładnego ciała wyborczego, dozwolono wstępu do Wielkiej rady potomkom wykwalifikowanych rodzin radzieckich faktycznie, lubo w skutek pomnożenia się rodzin, było uprawnionych 1300. Znaczna część—do 500—tych uprawnionych wyborców żyła z jak-mużny braci swój bogatszej, sprzedawała swe szlachectwo i zmalała do tego stopnia, że rodziny zamożne i sprawujące rządy Wenecyi, (z których brano Pregadów, Dożów, słynną Radę dziesięciu i t. p.), nie przesiły liczby 60. Słusznie tedy lord Brougham nazwał owo ścieśnienie: *Serrar del consiglio*, na które w przypisku pięćdziesiątym dziesiątym, nasz autor się powołuje, „wytworzeniem możnowładztwa w możnowładztwie, czyli oligarchią.” Do takiego spaczonego już przez oligarchów ustroju politycznego równie jak do Polski stosują się słowa Monteskiusza <sup>1)</sup>: „Lorsque les nobles sont en grand nombre, il faut un Sénat qui règle les affaires que le corps des nobles ne saurait de'cider... Dans ce cas on peut dire que l'aristocratie est en quelque sorte (*nb*) dans le senat, la democratie dans le corps des nobles et que le peuple n'est rien.” W każdym razie tedy, autor nasz rozmija się z prawdą, bo *Gran consilio* przestał od XIV wieku być nawet pozornie gminowładnym; a Radzcy *del dieci* (właściwie było ich 17) i dygnitarze „de la sombre oligarchie de Venise” (*Destutt de Tracy*), gdyby wstali z grobów swych, roześmieliby się z tego, że uważa ich za „reprezentantów gminowładztwa...” Zastępowali oni bowiem w najlepszym razie kilkuset szlachty zebraczej i kilkunastu oligarchów.

Wiec plemienny, zawiązek dzisiejszych parlamentów, był, jak słusznie w tym względzie dowodzi *Freeman*, wszechwładnym. W nim schodziły się czynności polityczne, poruczane dzisiaj oddzielnym organom władzy państwowej: wiec taki rządził, sądził i uchwalał prawa. Z biegiem czasu i w miarę jak funkcye te przy potrzebie podziału pracy publicznej wypadło rozdzielić, przekazano je różnym ciałom urzędowym, ale zgromadzenie pierwotne, które dawniej było samo narodem, dawniej sprawowało całą moc zwierzchnią, przekazało osobne udziały swojej władzy pojedynczym organom znacznie później.

Szósty odczyt rozbiera *Analogie mieszane*. Znajdujemy tu przegląd klas politycznej społeczności i przedmiotów, które, zdaniem autora, nie należą do polityki w ścisłym rozumieniu, jako nauki budującej postacie władztwa państwowego (*forms of government*), lecz wchodzą w zakres poszukiwań obszernie pojętej nauki o państwie (*under the general head of politics in the wider sense*). Mówi tedy *Freeman* w dowolnym szyku o szlachcie i jój odcieniach, o pomocy krwawej i o okupach (*wergild*), o ordaliach, o mieszczaństwie i obywatelstwie dziedzicznym i połowicznym, o prawie przynależności czyli swojszczyzny i t. p. Zasługuje tutaj na uwagę i streszczenie ciekawy pogląd na

<sup>1)</sup> *Esprit des lois* Livre II, chap. III.

powstanie szlachty, oraz trafne postrzeżenia i zdania o możnowładztwie, jako o jednej z form politycznych.

Mylnie, według Freemana, biorą za jedno starszyznę, dostojnych doradców naczelnika państwa i, rodową szlachtę. W toku dziejowym dwa te odcienia zlewają się wprawdzie często z sobą i przechodzą jeden w drugi aż do niepoznaki; bliżej atoli zbadane, okazują się być różnemi tak w swój istocie jak w przyczynach, do których odnieść je można i trzeba. Wyższe Izby nowożytnych konstytucyi nie są wszystkie gronami „szlachetnie urodzonych,” lecz zbiorem osób wywyższonych lub do Izby powołanych wskutek zasług lub społecznego znaczenia. W starożytności ślepy los często wybrańców powoływał do starszyzny z łona pospółstwa. Historia nie poucza nas o źródle i o początku rodowego szlachectwa, stwierdza ona tylko istnienie jego u ludów tutaj z sobą porównywanych. Wiemy, że w cywilnych prawach mieli udział ludzie rodów dawniejszych: Eupatrydowie, Adaliny, Eorlasy i t. p., obok, co prawda, ludzi równie jak oni wolnych, lecz późniejszego rodu: wreszcie obok ludzi trzeciego, środkującego między wolnymi a niewolnikami zastępu. Nie znamy również obszaru praw politycznych, jakie przysługiwały szlachetniej urodzonym; wolno atoli przez analogią domyślać się z tego, co wiemy o autentycznych i krytycznie sprawdzonych wydarzeniach, że Eorlasom służyło zwyczajnie prawo obioru panującego, wodzów i królów z łona rodów znacznych. W Atenach i w Rzymie aż do upadku Rzplitej zachowano potomków dawniejszej „przedhistorycznej” szlachty w posiadaniu posiadłości i dostojństw kapłańskich, chociaż w Atenach byli oni pod względem politycznych praw zrównani z innymi obywatelami Rzplitej. Lud, t. j. obywatele późniejszego pochodzenia, żywili jednak instynktową cześć dla współobywateli rodzin dawniejszych i Zgromadzenie ludu nadawało im dostojństwa z własnego popędu. Stopniowo wywalczyło sobie w Rzymie pospółstwo „kęs po kęsie” równouprawnienie polityczne, a chociaż flaminami i interregami robiono zawsze patrycyuszów, to jedynie dla tego, „że w obec rzadkich wypadków bezkrólewia republikańskiego, nie przyszło na myśl nikomu z reformatorów społecznych, żądać tego dostojństwa dla plebejuszów.” Gdy plebejusze zdobyli już dla siebie wszelkie dostojństwa, poczęli wytwarzać ze swego łona szlachtę dostojniczą, kurulną, przyznali sobie jus imaginum, prawo wystawiania i czei wizerunków kurulnych swych przodków, co piastowali byli urzędy kurulne. Tak tedy rodowe szlachectwo utorowało drogę do szlachectwa dostojniczego, które na odwrót wytworzyło nową szlachtę rodową.

W Europie zachodniej zawiązkiem wszelkiej szlachty jest drużyna wodzów i naczelników plemiennych—comitatus. Kiedy w Rzymie nowa szlachta wyszła z ludu i wzmogła się w uznaniu i zaszczytach przez ludowe dostojństwa, tutaj początek jej stanowi monarsze nadanie tytułów i ziem przez wodzów zwyciężkich. Miejsce Adaliny, poczęści już wymarłych, zajmują Thegnowie (Thanes). Według



anglosaskiej pieśni Maldona, słowo to wyraża służbę, a pochodne dopiero jego znaczenie przypisuje Thanom dobry ród, gentle i noble. Taksamo Antrustiones, towarzysze frankońskich wodzów i królów stopniowo dopiero przedzierzgnęli się w feodalną szlachtę. Wiadomo, że w feodalnym ustroju przekazywano wraz z imieniem władzę i zaszczyty wazalom i że dwie te rzeczy z czasem stały się dziedzicznymi. Podobnego coś, lubo nie zupełnie równego przedstawia klientela rzymska, chociaż niemamy śladu o tém, aby kiedykolwiek patron patrycyusz czy plebejusz, zniżył się do poziomu klienta i został klientem innego. Pewna tylko, że obydwie stosunki wyszły z potrzeby zobopólnej opieki i pomocy oraz z wierności (féauté) węzłów osobistych.

Szlachetnie urodzonych drużynników napotykamy już w Grecyi za Aleksandra macedońskiego. Bądź cobądź, jestto urządzenie a ryjskie, którego ślady przeistoczyły się tylko w epoce lennej. Tak samo w Anglii, jak w Rzymie, rodowa szlachta ustąpiła miejsca szlachcie z dostojenstwa. Król nie mógł, co prawda, stworzyć Earla, bo nie mógł zmienić rodowodu przodków; lecz stworzył Thane'ów i porobił ich Parami, Lordami Wielkiej Brytanii. Nikomu nie tajno, że Lordostwo jest urządzeniem politycznym i politycznym prawem udziału w ustawodawstwie, a rodowa dostojność i przywilej grają tu podrzędną rolę. Jak dawniej Thegnów, mianuje dziś Korona książąt, hrabiów, markizów, oraz baronetów. Anglia niema szlachty w pojęciu stałego ładu, czyli ludzi przekazujących rodowe przywileje z pokolenia na pokolenie; niema też innych odznaczeń, jak czysto towarzyski podział na szlachtę w pierworodztwie nobility i gentry, zastęp commonerów, czyli „Inteligencyi” surdutowej. Dlaczegoż Thegnowie nie przedzierzgnęli się w kontynentalną szlachtę?

Autor odpowiada na to z wielką trafnością, opierając się na badaniach historycznych własnych, które mu zjednały imię w kraju i zagranicą, o najeździe Normanów na Anglią. Ojczyzna autora zawdzięcza to właśnie Wilhelmowi Zdobywcy i jego następcom. Ci w rozumnym uznaniu dawnych ustaw krajowych, szanując Lordostwo, puściznę Witanagemotu, opartą na pierworodztwie, ochronili Wielką Brytanią od kontynentalnej szlachetczyzny. Owszem, dodaje autor: samo istnienie Parostwa przeszkadza i nie dopuszcza zagnieździć się szlachcie rodowej.

Autor bierze pochop z poprzednich poglądów do paradoksalnego napozór, w gruncie rzeczy jednak uzasadnionego badaniami dawnych ustrojów możnowładnych, twierdzenia że prawdziwa arystokracja istnieć może tylko w republice. Prawda, że premissą jego jest pojęcie możnowładztwa „Arystotelesa,” jako władztwa najlepszych.” O ile to pojęcie było idealnym, o tyle też wniosek z niego wyciągnięty nie licuje z rzeczywistością, odbiega od niej i w innym świetle stawia całe zagadnienie. Że jednak lepsze oligarchie były republikami, o tém wiemy z dziejów. Przykładem Rzym, Wenecya, Bern, Ge-

newa, Norymberga. Inna kwestya, czy rządy możnowładcze były sprawa wiedliwemi. Nie były niemi z powodu wyłączności swęj i ucisku innych klas społecznych: to są rzeczy nieodłączne od ustroju możnowładczego. Zawsze były rządem jednęj klasy, a wiadomo, że właśnie Republika sprzyja takiemu rządowi, bo Jedynowładztwa zadaniem jest neutralizować uciski i przewagę klas towarzyskich. Z dwojga złęgo, zapewne, lepsze (?) rządy i jarzmo kilku, jak jednego niepowściągniętego niczém władcy. Jeśli układ możnowładzcy „potrafił przyprowadzić człowieka o skarkłowacenie wyższych władz umysłowych, to jednocześnie zmierzał on do podniesienia i ujednostajnienia wszystkich, z wyjątkiem klasy najwyższęj.” Potęm mówiąc o dawnęj „prawowitéj” francuzkięj monarchii, za którą tęsknią potomkowie Franków, zdobywców Galii, autor słusznie twierdzi: „Rząd, w którym szlachta miała przywileje nienawistne, nie dające jednak prawnięj politycznęj mocy, nie był przegniędy arystokratyczným.” To tęż szlachcic współczesny Montesquieu nigdy nie poczytywał go za taki, lecz możnowładztwo uważał, jak wiadomo, za republikę. „Kiedy zewnętrzna moc jednęgo władcy może rozszerzyć zastęę szlachty, okazuje to, że klasa szlachecka nie jest jeszcze sama przez się ciałęm wyłącznię w państwie rządzącęm. W królewskięm państwie (in a State which has a king on its head) może istnieć Parostwo, może istnieć Szlachta, lecz państwo takie, ściśle biorąc, nie może być możnowładztwem.

Na powyższe zdanie piszemy się o tyle, że zastrzegamy sobie odmienny pogląd na istotę arystokracji. W praktyce istniała ona jako oligarchia: pluto- lub timokracya. Jako urządzenie polityczne, możnowładztwo jest skazane na to (R. v. Mohl), aby „zmarłych nie powstało więcęj,” chyba żeby ludzie przestali być ludźmi. Towarzysko-dyletanckie sądy o „arystokracji” i „demokracji,” kołatać się zawsze będą, bo ludzie zawsze będą w powszednich społecznych stosunkach „niższemi” i „wyższemi.” Ale ani w rozumieniu dzisiejszęj Polityki, ani Filozofii Społecznej, ani tęż w części jęj nauki o towarzyskich klasach, nie masz miejsca dla rządów możnowładczych.

Powyzsza dosyć obszerna relacya o osnowie prelekcyi angielskiego historyka, miała na celu przekonać czytelnika, że i w Anglii myśliciele i pisarze, badający własne społeczne urządzenia więcęj, jak instytucye obcych krajów i ludów, choćby dlatego, że znają je lepiej i według swoich sądzą cudzoziemskie, potrafią sięgnąć dalej, rzucając pewne światło i na ogólne europejskie sprawy. Dzieło Freemana nie jest i nie pragnie być wyczerpującęm i nie stanowi Polityki ani w pojęciu uczonych niemieckich, ani nawet według wzorów i wskazówek piśmiennictwa angielskiego wymaganych. Dlatego myślimy, że trudno pisać się na zdanie Kasparka, że Freeman „uprawia Politykę,” t. j. zapewne według opinii statystów naukowych, albo w ogóle teoryą nauki o państwie, jak historycy-statystyci niemieccy, poprzednicy naszego

autora, bądź też naukę o układzie i zarządzie państwa z punktu widzenia środków stosowanych do celów politycznych.

Autor nasz nie uwzględni wskazówek znakomitego swego ziomka i metodologa w dziedzinie nauk politycznych, Cornewall Lewisa, mniej znanego u nas, który już na 20 lat przed dziełem Freemana, rozgraniczył zakres ogólnej nauki o państwie (positive politics), od teorii kunsztu politycznego (speculative politics). Terminologia wprawdzie bałamutna, skoro „spekulatywnymi“ nawykliśmy, niezupełnie prawda słuszenie nazywać badania z dziedziny filozofii państwa. Mimowoli wszakże przestrzega badaczy<sup>1)</sup>, aby porównywali ze sobą polityczne urządzenia jednorodne i dobrze znane, trzymając się ludów aryjskich. W przedmowie do „Comparative Politics“ wypowiada też Freeman życzenie, aby podobne badania, jak jego, rozciągnięto do plemion semickich i innych szczepów, uważa swoje studia za przyczynki, za początek zastosowania metody porównawczej do państwa, za próbę mającą innych zachęcić do takich studyów. Nie można znowu oceniać utworu jego według wyrobionych w nauce podziałów i orzeczeń, gdyż to nie statysta, lecz przeważnie historyk. Trzymając się angielskich wzorów, możnaby wprawdzie żądać od Freemana, aby nie zacieśniał pojęcia Polityki do badania form politycznych, boć tak szkoci: Craigh (1814), jak lord Brougham (1840), uprawiali całość badań nad układem i zarządkiem państwa. Pierwszy, znany z nieosobliwego przekładu niemieckiego Hegewischa i Susemthl'a, którzy obcieli i wypuścili kilka rozdziałów samowolnie, np.: o stosunku państwa do Kościoła, roztrząsa nawet sprawy administracyjne. Drugiemu okoliczności przeskądzały dokończyć „Political Philosophy“, która wszakże konstytutywne badania obejmuje całkowicie, a zamierzała zająć się i zarządkiem państwa. Wszakże, lubo autor nasz zakres swych badań zacieśnia i pojmuje go raczej, jako ogólną naukę państwową, mianowicie o formach władzy państwowej w rozmiarze i planie, np. Polityki Parieu'go, to i tak mógłby być poddać porównawczym badaniom istotę i postaci innych urządzeń politycznych, wchodzących niewątpliwie w zakres układu państwa. Szkoda więc, że nie zajął się Rządem, jako organem oddzielnym, obok Panującego, jak i obok Zgromadzenia narodowego; że nie poddał porównawczemu przeglądowi Gminy, organu miejscowego samorządu, a zarazem składowej części państwowego ustroju, zwłaszcza, że zastosowano i stosują do tych przedmiotów metodę porównawczą mniej lub więcej z powodzeniem. Nadto wypada powtórzyć tu dawny zarzut, uczyniony historykom statystom, że Freeman poświęca za mało czasu i miejsca urządzeniom państwowym nowożytnym, z predylekcyą rozpatrując średniowieczne i starożytne. Tak samo, jak w „Growth of the E. Constitution“ pokłada Freeman zbytnią wiarę i za dużo spodziewa się od teutońskich instytucji i od teutońskich po-

<sup>1)</sup> Loo. cit., tom II, rozdz. 11. „Limited causation“, § 3 i 4. „Classification of Communities.“



litycznych zdolności, z ujmą innych ludów i plemion. Z tém wszystkiém bierzemy te przyczynki za szacowny początek porównawczej nauki o pierwiastkach ustroju państwowego, nauki opartej na porównawczej etnologii i filologii.

Do powyższych sześciu odczytów politycznych dodał Freeman szacowny wykład „O jedności Dziejów.“ Jestto metodologiczna wskazówka dla adeptów muzy dziejopisarzkiej, jak należy wrzekomo odrębny „świat nowożytny“ pojmować i łączyć umiejętnie z zamierzczłą „Starożytnością,“ upatrując wspólne w nich rysy i powinowactwo przedmiotów i podmiotów pasma dziejowego. Autor występuje energicznie przeciwko popularnej, a nie dosyć usprawiedliwionej i wytkłomaczonej i na lądzie stałym niechęci do klasycyzmu i „klasycznej Starożytności,“ wykazuje praktyczne korzyści z badań odnośnych, kreśli analogie między dziejami Wschodu i Zachodu.

Jeżeli historyczny czysto wykład wskazanego przedmiotu niema ściślejszej łączności z poprzedniemi tematami „Comparative Politics,“ podobnie ma się rzecz z rozprawą Freemana: „O władzy prezydentów,“ pomieszczonej przez wydawcę między czysto historycznemi rozprawami. W „Select historical Essays“ Freemana, sześć poprzednich studyów należy wyłącznie do wieków średnich, jakoto: „O świętym rzymskiem cesarstwie narodu niemieckiego,“ owęj dziwacznej, obieralnej i monarchicznej rzeszy, o której wyrzekł był Voltaire: qu'il n'est ni empire, ni saint, ni romain; „O Frankach i Gallach,“ „O dawnych oblężeniach Paryża,“ „O Fryderyku I i II, cesarzach i królach Włoch i Niemiec średnio-wiecznych“ i wreszcie „O burgundzkim Karolu Śmiałym.“ Rozprawa „O organizacjach państwowych,“ w których władzę wykonawczą sprawuje obieralny prezydent, jest ważnem studyum dla gruntowniejszego zbadania politycznego prawa gminowładztw nowożytnych. Opiera się ona na porównawczém badaniu konstytucyi Stanów Zjednoczonych, Szwajcaryi, Norwegii i Anglii; zestawia z sobą charakterystyczne momenta wielu współczesnych organizacyi państwowych i dlatego nadaje się przedmiot ten do niniejszego przeglądu prac Freemana, jako statysty. Freeman nie rozbiera tak wyczerpująco i wszechstronnie swojego przedmiotu, jak Rüttiman, który wyłożył polityczne i federalne prawo ojczyzny swęj Szwajcaryi, równoległe z prawem państwowém Stanów Zjednoczonych Ameryki, ani też nie sięga tak głęboko, jak monografia Mohla: „O Prawie i Polityce, demokracji reprezentacyjnej“ ale zawiera wiele gruntownych spostrzeżeń i nasuwa wskazówki, które w części weszły w życie w późniejszej (autor pisał swoje studyum w latach 1864—72), konstytucyi francuzkiej z r. 1875.

Autor, lubo osobiście sprzyja amerykańskiemu trybowi zlewania całej władzy wykonawczej Rzplitej na jedną osobę, jako na głowę rządu, nie tai przecież niedostatków, a nawet zdrożności, jakie dotychczas już ujawnił ten sposób wyboru rządu, zwłaszcza przez specjalnych ad hoc wyborców i w gruncie rzeczy wolałby, aby głowę repu-

blikańskiego rządu naznaczały Izby ustawodawcze, co, jak wiadomo, nastąpiło za naszych dni we Francji.

We wstępie do swój rozprawki, ostrzega Freeman przed zamieszaniem pojęć i powierzchownym sądem, zazwyczaj napotykanym w sprawie rozróżniania władzy króla i prezydenta Rzplitej. Są to dwie rzeczy niewspółmierne, jakkolwiek odcienia przechodnie zagmatwały jasny pogląd. „Należy wykluczyć z rozbioru dwóch królów spartańskich, ci bowiem nie byli ani zwykłymi królami, ani nawet zwierzchnimi naczelnikami państwa. Władzę wykonawczą sprawowała Rada eforów, królowie zaś byli dziedzicznymi dowódcami i arcykapłanami tylko, nie posiadającymi władzy konstytucyjnej.“

Również Wenecya i Polska następują sposobność do zamieszania tych pojęć. „Doża jest lokalną nazwą księcia (duca). Tak książe wenecki, jak król Rzplitej Polskiej, byli z początku jedynymi władcami rzeczywistymi, na równi z innymi królami, tylko że władzę ich, z biegiem czasu, uszczuplono do tego stopnia, że ostatecznie zdawali się być więcej zwierzchnimi urzędnikami, aniżeli panującymi.“ Z tém wszystkiém uznaje autor, że obydwaj naczelnicy tych możnowładnych państw, lubo „mieli sposobność utwierdzenia wpływów swych politycznych, jako dożywotni zwierzchnicy, mieli jednak władzę konstytucyjną daleko mniejszą od amerykańskiego prezydenta.“ Przy tém wszystkiém nie przestali jednak, ani król polski, ani doża wenecki, być poniekąd królami, bo zawsze „otaczał ich urok tego tajemniczego dostojęstwa, które w umysłach ludu towarzyszy pojęciu królewskości.“

Dożywotność i obieralność są również podrzędnymi kryteriami istotnej różnicy, która na tém polega, że prezydent jest „wyraźnie odpowiedzialny w polityczno-prawnym znaczeniu i legalnie może być pozbawionym władzy przekazanej.“ Wiemy zkadınad, że byli zwierzchnicy Rzplitych dożywotni i obieralni, a nawet dziedzicni, jak np. Stadhouder Rzeszy niderlandzkiej, Gonfaloniere Rzplitej Florencyi, lord protektor i pierwszy konsul, a jednak nie byli oni królami. Prawda, że dziedziczność w tej połowicznej instytucyi, według trafnej uwagi Mohla, sprzeciwia się zupełnie duchowi demokratycznego ustroju państwowego i musi być uważaną za anomalią. Co się zaś tyczy dożywotniego sprawowania urzędu prezydenta, to wszak Aleksander Hamilton miał je na oku w pierwotnym planie konstytucyi Stanów Zjednoczonych. „Porównując króla z prezydentem, trzeba położyć główny nacisk nie na różnicę widomą i legalną głowy państwa, lecz na różnicę władzy prezydenta i pierwszego ministra, jako naczelnika faktycznego rządu.“ Uwaga to bardzo trafna, że tertium comparationis stanowi tutaj stosunek panującego i prezydenta do ministerstwa. Nadto nie trzeba wciąż mieć przed oczyma wzorów angielskich, gdzie skutkiem przewagi parlamentaryzmu, rzeczywista władza zależnego od większości sejmowej rządu zakrywa możliwy inny stosunek panującego do sejmu, który jednak nie będąc ściśle wzorem parlamentarnych rządów, nie

przestaje być konstytucyjnym.“ „W Norwegii np. osobista władza nader zkądinąd ścieśnionego króla, większą jest od władzy króla Anglii. Innemi słowy, jakkolwiek ustawa daje królowi małą władzę, może jednak sprawować ją według osobistego uznania. Osobiście nieodpowiedzialny król nie jest związany przez zdanie swój Rady stanu. Minister może protestować formalnie przeciwko rozkazom króla. Mamy więc tutaj umiarkowaną i konstytucyjną monarchią, ale w niej niema żadnego podobieństwa do ministerstwa w naszym rozumieniu. I król i parlament mają różne prawem opisane funkcje; ale w razie sprzeczności spoglądają sobie oko w oko, jako dwie sprzeczne władze, w sposób od wielu pokoleń nieznanym w Anglii. Tu tedy dopiero można porównywać władzę króla i prezydenta.“

Otóż, zwracając poszukiwanie na tor właściwy, t. j. na różnicę między władzą republikańskiego prezydenta, a naczelnika gabinetu monarchii konstytucyjnej, autor upatruje ją bardzo trafnie w tém, że prezydenta obierają na przeciąg czasu określony, podczas którego nie można go się pozbyć w sposób konstytucyjny, czy źle czy dobrze rządzi, kiedy pierwszy minister urzędu swego nie dzierży na czas oznaczony, ale w razie nieuznania jego polityki przez Izbę niższą w każdej chwili traci swoje stanowisko. Rysem właściwym prezydentury amerykańskiej jest jeszcze i ta okoliczność, że naczelnik państwa i jego ministrowie wychodzą wyłączeni ze zgromadzenia ustawodawczego, tak, że rząd stanowi obcą parlamentowi potęgę, czerpiącą źródło swój mocy w ciele wyborczém, różném od wyborców do kongresu. W konstytucyi Rzeszy szwajcarskiej wolno członkom rządu, t. j. Rady związkowej, przemawiać w Izbach, lecz pozbawieni są prawa wotowania.

Autor uważa to wykluczenie prezydenta amerykańskiego z kongresu słusznie za błąd, chociaż nie zwrócił uwagi na to, że źródłem tego odosobnienia władzy wykonawczej od ustawodawczej, jest zastosowanie mylnój doktryny Montesquieu'go o rozdziale tych władz. W niedoszłej do skutku konstytucyi południowych skonfederowanych Stanów podczas pamiętnój wojny domowój amerykańskiej, zapobieżono powołanemu niedostatkowi w ten sposób, że kongresowi wolno było wyłączonym zkądinąd w zasadzie urzędnikom, a więc i prezydentowi ewentualnie nadać prawo głosowania i udziału w obradach Izby. W innych rzplitych, mianowicie w gminowładztwach czystych, naczelnicy rządu, jako pierwsi obywatele, biorą udział w sejmie. Tak było w Rzeszy Achejskiej, a dzisiaj w wiecach pierwotnych kantonów szwajcarskich, gdzie la nd a m a n n głośnie pospołu z innemi. Tak było też w Wenecyi, a dodać winniśmy i w naszej Rzplitej. Freeman poniekąd zasadnicie tłómaczy udział ten głowy państwa w sejmie dawniejszą swą i znaną nam jego teorią o wiecach pierwotnych, jako zawiązku wszystkich władz i funkcji państwowych. Co do prezydenta, uważa Freeman wykluczenie prezydenta z sejmu za niekonieczne, w czém



ma racją, zważywszy na powyższe założenie twórców amerykańskiej konstytucyi. Z tém wszystkiém uważa Freeman słusznie, że stanowisko prezydenta w każdej rzplitej, ma jedną bardzo słabą stronę, mianowicie konieczność elekcyi, na pewien przeciąg czasu, naczelnika państwa, spotęgowaną gorszymi skutkami rozbratu między władzą ustawodawczą a rządem prezydenta, zwłaszcza jeśli jak w Stanach Zjednoczonych trzeba z konieczności przez lat 4, a gdzieindziej przez dłuższy czas znosić złe rządy. Autor dotyka tu achillesowej pięty ustroju Rzeszy amerykańskiej, mianowicie owego fatalnego obioru prezydenta przez figurantów wyborców. Założyciele Rzeszy mniemali, że wybory wyborców prezydenta, miały być fikcją niezależnego głosu obywateli związkowych, jak dzisiaj się nią stały i że będą rzeczywistym objawem wszechwładności obywatelskiej. Wiadomo, że dzisiaj wybory te „są narodowemi wyborami, w których kandydat mimo to może nie przedstawiać większości liczebnej wyborów,“ gdyż zawiśł od walki stronnictw w każdym zakątku Rzeszy popierających swoich zwolenników. Że w ten sposób działa się wbrew duchowi urządzeń zasadniczych i pozbawia się prezydenta przynależnej mu niezawisłości, przyznaje statysta amerykański Ezra Seaman <sup>1)</sup>. Odnośnie do obieralności radców związkowych szwajcarskich mniema Freeman trafnie, że możność ich udziału w obradach sejmu, daje sejmowi możność lepszego poinformowania się o sprawach publicznych i że uchyla słabą stronę amerykańskiego systemu, w którym mąż stanu ma sobie zagrodzoną drogę parlamentarnego wpływu.

---

<sup>1)</sup> „System of american Government,“ 1870, p. 17.

# SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

*Emila Castelara.*

(PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU HISZPAŃSKIEGO).

PRZEZ

*A. Gorajską* \*).

Tom II.

XIII.

U drzwi katedry w Neapolu gromadziły się pewnego pięknego poranku wielkie tłumy, oczekujące czegoś nadzwyczajnego. Mnóstwo eleganckich powozów zapełniało przyległe ulice, a ze wspaniałych zaprzęgów i świecideł łatwo się było domyśleć, iż we wszystkich warstwach ludności, ten obrzęd kościelny jednakowe budził zajęcie. Na wszystkich twarzach malowała się ciekawość, uczucie, które się przedziwnie objawia i uwydatnia.

I zaiste, rzecz tego była godną. Ta która się stała rozkoszą dworu, bóstwem teatru, modną królową Neapolu, wzgardziła swojemi tryumfy, odwróciła ucho od oklasków, potargać świetne wieńce, a natomiast krzyż bierze i na wielką siebie skazuje ofiarę, zamieniając to rozkoszne życie na wieczne wędrowniki po szpitalach, nędznych chatach, poddaszach, polach bitwy, słowem po wszystkich tych smutnych miejscach, gdzie biedna ludzkość płacze i cierpi.

---

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za kwiecień r. b.

Postępek ten był wielką nauką dla świata, wielkim przykładem dla społeczeństwa. Wszystkie te, które żadne wielbicieli, życie trawia na słuchaniu złudnego pochlebstwa szmeru, widziały kobietę ubóstwianą przez tylu, a obierającą sobie za jedyną deskę zbawienia w wielkiej powodzi życia, cnotę, ofiarę. Wszyscy ci, dla których miłym jest nad wszystko poklask świata i którzy pędzą życie, pojąc się wonią kadzideł czczych i znikomych jak dym, co się rozprasza w powietrzu, widzieli kobietę wieńczoną, tysiącznemi obsypaną oklaski, a depczącą swoje wieńce i nad okrzyki zachwyty wywołane swoim talentem, przenoszącą bolesne jęki chorych i konających. Te zaś nieszczęsne istoty, które w dobro nie wierzą, które ludzkość mieniają być ogniskiem złego a serce człowiecze grobem pełnym cuchnącej zguiliny, ci w tej idealnej kobiecie widzieli anioła noszącego na skroni najcenniejszą koronę, jaką można otrzymać na ziemi: aureolę doskonałości moralnej.

Nigdy też tryumf Anieli nie był tak wielkim, tak świetnym, nigdy czarujący głos jój nie wywoływał tyle czci i hołdów, nigdy na scenie w bogatych strojach, w perłach i dyamentach nie wydała się tak piękną, jak w tym największym dniu swojego życia, kiedy przyoblec miała grubą suknię zakonną i skromnym welonem nakryć swoje głowę.

Niewątpliwie uznaje świat, ten świat tak niesprawiedliwie przez niektórych moralistów potępiany, iż najpiękniejszą z piękności, iż wielkością najszczytniejszą, jest cnota; uznaje świat, iż doskonałość moralna uroczą jasnością wybija się na oblicza i upiększa całe nasze jestestwo, uszlachetnia je, podnosi, przebóstwia, albowiem świat zawsze dla cnoty ma cześć i uwielbienie.

Otóż i te tłumy nagromadzone u drzwi kościoła by ujrzyć kobietę tak niepospolitą, odbierały zaprawdę z tego widoku naukę moralną o wiele wyższą i skuteczniejszą aniżeli z rozumowania wielu ksiąg i wielu kazań najsurowszych i najpoważniejszych moralistów. Najpiękniejszym ideałem cnoty jest ten, który się widzi na własne oczy; największą nauką jest nauka praktyczna. Ztąd istota cnotliwa jest zarazem idea i faktem, nauką i przykładem, teorią i praktyką, przepisem i wzorem, głosem pobudzającym do dobrego i siłą uprzątającą ciężkie zawady jakie się na drodze cnoty spotykają, ukazując w piękności swego życia i w wielkości swojej duszy gwiazdę przewodnią, na którą patrząc można się kierować wśród burz i bolesnych przygód, trapiących ten nędzny nasz żywot.

I dla tegoto Aniela wydawała się tak wielką w tym razie, i żaden z jój tryumfów nie był tak wielkim jak tryumf obecny, nigdy jój chwala nie wyrównywała tej chwale. Bo też ze wszystkich sztuk najtrudniejszą jest sztuka uzacnienia naszego żywota; najpiękniejszym celem jakiemu możemy się poświęcić, jest opromienienie naszej duszy cnotą blaskiem. Dobro jest obowiązkiem, lecz obowiązkiem nader miłym i na drodze jego cudne rosną kwiaty. Spokój ducha, światło w su-



mieniu, nadzieja w sercu, są to drogocenne niebios dary, których całej wartości nie poznajemy, tylko wtenczas kiedy ich nie potrzebujemy, kiedy nas ciężka i bolesna trapi zgryzota.

Kościół wyglądał jak podczas największej uroczystości. Wielki ołtarz suto przystrojony kwiatami i światłem. Najświętsza Panna Boga Rodzica wpośród róż wznosi się nad ołtarzem. Wonny dym kadzideł wlatuje ku niebu, hymn święty uroczyste, poważnie rozbrzmiewa się pod sklepieniami świątyni.

Słynna śpiewaczka, ozdoba teatru, ma wkrótce przystąpić do swoich obłóczyn. Po jednej stronie ołtarza widać damy dworskie, strojne w mnogie klejnoty: to świat który Aniela porzuca. Przy drugim boku ołtarza zebrały się Siostry miłosierdzia w grubej sukienniej odzieży: to jest świat który Aniela sobie wybrała. Tu się ujawnia czém jest życie, czém dobro. Tamte wprawdzie świetniej błyszczą, lecz te nad czołem mają jasność promienistszą.

Jednakże wszyscy obecni głęboko się zastanawiają: ileżto wzniosłych nauk moglibyśmy zaczerpnąć w wypadkach, na które patrzymy! Oto biedne dziewczę, śpiewające po ulicach Neapolu, dwór i moda wyniosły na tron wielkości i sławy. I ta królowa teraz oto z własnego wyboru zamienia się w Siostrę miłosierdzia! Wielka, największa część dam obecnych nie może zrozumieć ani sobie wytłómaczyć poświęcenia Anieli. Kobieta rzucająca złotogłowy dla grubej wełny, salony dla szpitala, to w oczach większej części téj płochéj gawiedzi dworskiej, wydawało się raczej epizodem z jakiegoś romansu aniżeli z rzeczywistego życia.

Jedna tylko Aniela nie dziwi się niczemu. Jój postępek wydaje się jój tak naturalnym, iż bynajmniej ją nie zdumiewa; ani się nad tém wcale nie zastanawia, że to jest chwila tak stanowcza. Krzyż sobie za godło bierze i pójdzie przez świat za jego przewodem. Wié że z wyżyn tego krzyża może, odrodzona, ubłogosławiona, przebóstwiona, wznieść się jasnym aniołem do niebieskich przybytków.

Nie patrzała więc ani na te głowy, co się wychylały jedna ponad drugą ażeby ją zobaczyć, ani na te przygotowania, ani na ten świat, który miała rzucić; patrzała tylko w prawdziwym zachwycie na swoje siostry, pobożne w prostocie ducha, z promienistém na czole piętném walk, ofiar, męczeństwa, jakby na gwiazdę wskazującą drogę do nieśmiertelności.

Grono najbliższych znajomych zebrało się w około Anieli; jój przyjaciółki żegnając ją ścisnęły. Chwilami żal jój było z niemi się rozstawać. Lecz ile razy najmniejszy cień zachwiania się lub wahania pojawił się w jój duszy, spojrzała tylko na swoje siostry, na swoje towarzyski w poświęceniu i natychmiast nowa odwaga wstępowała w jój serce, nowe i gorętsze natchnienie ogarniało jój umysł.

Przyszła chwila najboleśniejsza, chwila pożegnania się z matką. Aniela zostawiała matce zabezpieczony byt dostatni, tudzież troskliwą opiekę w osobach kilku krewnych, bardzo dla niéj miłych. Mimo to

jednak rozłączenie się z nią nadzwyczaj wiele ją kosztowało: to była największa ofiara, jaką składała na ołtarzu miłości dla Boga i dla ludzkości. Upadła jęj do nóg, tłumiąc głuchy jęk w piersi; błogostawieństwo macierzyńskie ukrzepiło ją na drogę ofiar i poświęceń.

Powstała silniejsza na duchu, ponowiła matce przyrzeczenie widywania się z nią codziennie, a potem żegnała po kolei wszystkie swoje przyjaciółki, wszystkie towarzyski lat upłynionych.

Patrząc na to, rzekłbyś że to ostateczne przejście z jednego życia do drugiego, ostatnie pożegnanie z tym światem na odchodnym do innego, zupełny rozbrat ze społeczeństwem, a przeniesienie się w inną społeczność, gdzie boleść jest najwyższym zaszczytem, największym bogactwem duszy, gdzie skalą życia są znaczne sprawy i dobre czyny. Dalej znów wspomnienie świata który porzucała stanęło jęj przed oczy. Z pomiędzy znajomych jęj mężczyzn wystąpił hrabia Artur. Zamienili z sobą kilka słów pożegnania, kilka wyrazów żalu z jednej strony, pociechy i zachęty z drugiej.

Nieco na uboczu stał ów pustelnik, do którego się kiedyś udawała, by przed nim wypowiadać wielkie swoje bolesti i niepokoje.

— Poznajesz mię?— rzekł— przypominasz sobie?

— O, mój ojczel! pamiętam, pamiętam wasze słowa.

— Stanowczo chcesz się poświęcić?

— Z całego serca.

— Żałuję cię!

— Czy być może? Ja sądziłam że jestem godną zazdrości.

— Nie pojmują cię wszyscy co tu na ciebie patrzą, ale ja cię rozumiem. Ty byłaś stworzoną dla świata, sława ci się uśmiechała, słodczye rodzinnego życia miały wielki dla ciebie urok, kochałaś mocno i stale.

— Wszystko to prawda, mój ojczel.

— Więc robisz z siebie wielką ofiarę.

— Ta ofiara była jedynym dla mnie ratunkiem.

— Tak, dla niej potrzeba ci było wylać wszystkie łzy, wysączyć wszystką krew twego serca. Niechże Bóg najwyższy przyjmie cię na łono wybranych swoich; idź córko, spełnić tę świętą ofiarę!

Aniela rozpromieniona przystąpiła do ołtarza. Tu na nią czekał kapłan z przemową.

W krótkich słowach przedstawił jęj jak ciernistą jest droga, którą się iść wybierała, jak niesłychanie wielkich sił trzeba, ażeby ją przebyć, na ile odwagi musi się zdobyć niewieście serce aby się puścić na to morze cierpień.

— Miłosierdzie twoje— mówił jęj— musi być tak czyste, tak bezinteresowne, ażeby widząc ile w sobie nędz zawiera naga i smutna rzeczywistość, niczem się nie zrażało i zdolnym było wytrwać aż do końca. Nie powinnaś się brzydzić ani ranami, ani trądem, ani mnóstwem innych chorób wstrętliwych, jakim ludzkość podlega. Zdarza się, że chory w słabości zapomina o prawach przyzwoitości; zdarza się,

iż w srogich cierpieniach bluźni przeciwko rzeczom najświętszym: wszystko to znieść musisz cierpliwie. Kiedy śmierć czarne rozpostrze skrzydła ponad krwawych walk szrankami, ty masz się tam pojawić w pośrodku dwóch wrogich sobie zastępów, ratować wszystkich rannych, nawet i tych którzy padli za sprawę przeciwną sprawie twojej ojczyzny lub wiary.

Żadna klimatów różnica, ani pałace skwary, ani ostre zimna, nie powinny cię obchodzić, ani fale morskie powstrzymywać cię na twojej drodze, ani spełnianiu twoich świętych obowiązków nie mają stanać na przeszkodzie węzły rodzinne, przyjaźni lub jakiegokolwiek bądź uczucia. Domem twoim od dzisiaj będzie nędzne przytulisko gdzie gości choroba, uboga chata, poddasze, szpital; twoją rodziną wszyscy co cierpią, co płaczą, co boleją.

Wiele razy spotkasz się z niewdzięcznością; to samo serce któremu ulgę przyniosłaś, ta sama krew, której upływ powstrzymałaś, przeciwko tobie powstaną. I to cię nie powinno zniechęcać. Powinnaś czynić dobrze tylko dlatego, że jest dobrem. Bóg, żyjący wpośród boleści i cierpień, zawsze ci będzie wdzięczny za twoje poświęcenie, albowiem krew, którą zatamowałaś, to jest jakby Jego krew; rana którą zagoiłaś, to jakby Jego własną była rana. Tak On powiedział w swojej Ewangelii, w tém boskiem słowie, które wiekiuisie trwać będzie, nawet kiedy już słońce zagaśnie i niebiosa się zapadną: a co On w swojej Ewangelii wyrzekł, to się spełni.

Zważ jak boskie znamiona nosi na sobie ta religia, która przede wszystkim każe nam widzieć w chorym, choć nędznym, sinym i zbolalym—samego Boga, który w chwale nieśmiertelnej, jasnością otoczony, króluje nad milionami bez liku słońc i światów.

Zastanów się dobrze, córko moja: jeżeli ten świat, który rzucasz, pochwały, jakie słyszysz, niezliczone hołdy, jakie ci w życiu składano, potem mają ci stawać przed oczy i zakłócać twój spokój, masz dziś przed sobą otwartą drogę; jeszcze się nie zamknęła: możesz się cofnąć, możesz wybierać w tej ostatecznej chwili pomiędzy dziełami sztuki a dziełami miłosierdzia, pomiędzy chorym i nędzarzem a wielkim światem, pomiędzy szpitalem a teatrem. Pomyśl co tam zostawiasz, a co tu cię czeka. Tam zostawiasz publiczność oczarowaną twoim głosem, tryumfy, oklaski, wieńce, wszystkie te pozorne blaski, którymi otoczona bywa chwała światowa; tu zastaniesz łzy, westchnienia i skargi, tu w miejsce oklasków nasłuchasz się jęków konającego; tu inna nie czeka cię nagroda jak tylko spokój sumienia i nadzieja w Bogu.

Oto—jakim jest świat w który wstępujesz i jaki ten który masz opuścić. Niechaj ci obydwa staną przed oczy: przypatrz im się wzrokiem duszy. Wybierz sobie ten, ku któremu więcej się skłania twoja wola; a niestety! wola zawsze skłonniejszą jest do uciech i przyjemności. Zastanów się i rozważ. Niechaj Bóg oświeci myśl twoją.

Wielkie i uroczyste milczenie zapanowało po téj przemowie. Wszyscy oddech powstrzymywali chcąc dobrze słyszeć. Głos mówcy



poważnie rozlegający się po wnętrzu świątyni, stawiał przed oczy Anieli wszystkie przyjemności i uroki życia jakie miała rozpocząć.

Aniela nie odpowiedziała natychmiast na tę odezwę do swego serca i sumienia. Gdyby była naprędce wybąkała niewyraźną odpowiedź, możnaby mniemać, iż nierozmyślnie i na oślep puszczała się na tę drogę, w ten zawód, podobnie jak człowiek nieszczęściem przywieziony do rozpacz, mruży powieki i w uniesieniu szału rzuca się i pada w przepaść. To milczenie młodej kandydatki wzięto za wahanie, przedłużenie się onego za odwrót. Wszyscy wokoło spoglądali po sobie. Każdemu się zdawało, iż ona, otrząsnąwszy się ze wszystkich marzeń, które ją przyprowadziły do stóp ołtarza, odejdzie i napowrót będzie świat darzyć dźwiękami swego cudownego głosu. Niezliczeni wielbiciele jój talentu, jój porywającego śpiewu, wielbiciele tój gwiazdy, która jaśniała w pamięci ludzkiej ponad wszystkie talenta, jakie dotychczas zabłyśły na scenie, zaczęli poniekąd odzyskiwać utraconą nadzieję.

Lecz wprędce rozwiały się te domysły, ustała wszelka niepewność, gdy Aniela głosem pewnym, stanowczym, wymówiła jak najdobitniej:

— Pragnę być do śmierci Siostrą miłosierdzia.

Wyrzekła słowa przysięgi i wykonała ślub.

Ze wszystkich piersi, ze wszystkich serc wydarło się głębokie westchnienie, jakby jęk ogólny, jakby okrzyk żalu. Jedni utracili znakomitą śpiewaczkę, drudzy najlepszą przyjaciółkę. Wszyscy żalowali, a jednocześnie musieli podziwiać ostateczny zwrot, jaki wzięło to życie tak czyste i zacne, tak wzniosłe i heroiczne, życie, które było jednem pasmem ofiar i kończyło się także ogromną ofiarą.

Hrabia Artur oparty o filar, blady, nieprzytomny, błędniemi oczyma patrzył na tę białą i śliczną postać, ukazującą mu się u stóp ołtarza, niby anioł zesłany przez Boga z wysokości niebios, jak piękny ideał cnót i nadludzkiej rezygnacyi.

Dla niego wszelka nadzieja znikła bezpowrotnie. Tak ślepą jest żądza ludzka, iż nie daje za wygraną nawet w obec nagięj niezaprzeczonej rzeczywistości. Aż do tój chwili hrabia, jak gdyby słowa Anieli były sztucznym wymysłem, doznawał pewnej pociechy, pewnej ulgi w swoim niepomiarkowanym żalu, w swoim smutku bez granic; lecz skoro usłyszał jój przysięgę, czarniejsza pomroka spadła na jego zasępiony umysł, serce biło gwałtownie, tchu mu zabrakło, ziemia prawie z pod stóp mu się usuwała, albowiem nie ma choroby równie ciężkiej i dotkliwej, jak moralna choroba serca, nurtująca je aż do głębi.

Aniela oddaliła się. Poszła zdjąć z siebie świeckie ubranie, a natomiast oblec się w szaty zakonne. Fałdy wazkiej sukni uwydatniały, jakby draperye greckiego posągu, wysmukłe i wdzięczne jój kształty; bieluchny rąbek wydawał się niby śnieżny obłok, niepokalaną czystością skroń jój przystaniający.

## XIV.

Osiągnęła Aniela cel swoich pragnień: stanęła pod sztandarem krzyża. Rozstanie się z rodziną i przyjaciółmi było dla niej bolesnym; lecz błogim jęj się wydał pokój tego przybytku.

Skoro tylko weń wstąpiła, natychmiast całemi siłami oddała się pracy. Nie było rodzaju zajęcia, któregoby wnet nie pojęła i niedokończyła z niezachwianą wytrwałością; nie było trudu, któryby jęj wydał się zbyt ciężkim; nie było nieszczęścia, któremoby nie zaradziła, ani choroby, którejby nie przyniosła ulgi z heroiczném poświęceniem, cechującym jęj charakter, słodki i silny zarazem.

Od chwili wejścia do klasztoru życie się jęj rozjaśniło, zdrowie odzyskało utracone siły. Na twarzy jęj, na czole, odbijała się wewnętrzna ducha pogoda, słodki i czysty pokój serca. I życie jęj było niby jedném tchnieniem, jedném błogiém weselem, jedną szczęścia chwilą, która się nigdy nie kończyła. Prawda, że wielkie poniosła ofiary; lecz zapominała o wszystkiém co utraciła, a myślała tylko o tém, co było jęj najgorętszém pragnieniem.

Siostry zakonu miłowały ją serdecznie; ubóstwiały ją dzieci, których wychowanie jęj pieczy było powierzone; chorzy powiadali, iż ona jest ich opatrnością. Nietylko choroby ciała leczyła z tą nadzwyczajną pieczołowitością, która koniecznie musiała wypłynąć z takiego jak jęj usposobienia; leczyła także choroby duszy swojemi radami, swoją słodką mową, swoim przykładem. Kiedy podając lekarstwo choremu pochylała się nad jego łóżem, wlewała weń spokojność swoim uśmiechem, wdzięczném spojrzeniem, rozjaśnioném obliczem. Nigdy nie była zafrasowaną ani drugich nie nabawiała frasunku; nigdy nie okazała po sobie niepokoju, nigdy w duchu chorego nie wzbudziła zwątpienia.

A przytém w działalności okazywała się niezmordowaną. Wszędzie ją można było widzieć, wszystkie swoje powinności wypełniała jaknajdokładniej, i jeszcze znalazła czas na dogodzenie swojemu egzaltowanemu uczuciu miłosierdzia w dobrowolnych nadobowiązkowych uczynkach.

Jęj żywot, jęj dusza, były jakby najczystszy płomieniem, w którym się oczyszczało wiele dusz, wiele żywotów. Mówiąc ciągle o Bogu, o Jego dobroci i nieskończoném miłosierdziu, w osłabłych wlewając siłę, cierpiącym dodając odwagi, opatrzną ręką wspomagając potrzebnych, pełna energii i poświęcenia, nadpodziw czynna, z boskim w myśli ideałem, który się wyrażał we wszystkich jęj uczynkach, w całym jęj postępowaniu, Aniela była, rzec można, artystką miłosierdzia: miłosierdzie bowiem, jak gdyby jęj było kreacją, promieniło się na jęj skroni. Piękna jęj dusza, jak doskonałość, podobna do gwiazdy nie zachodzącej a kryjącej się starannie, jaśniała wśród ludzi. Każda

bez wyjątku bobieta z gminu miała ją za świętą. Każda podnioslejsza dusza patrzyła na nią jakby na oderwaną już od ziemi i bujającą po złotawego eteru głębiach, w jasnościach nieśmiertelnego błogostawionych duchów przybytku.

Takie istoty cnotliwe i miłosierne są wielką dla duszy pociechą, oraz wielkim przykładem i wielką nauką moralną. Kiedy się widzi na świecie jedną z podobnych istot, nie można wątpić o rzeczywistym istnieniu dobra. Serce najbardziej zbłąkane i zatwardziałe, musi zmieknąć przed oczywistością, wierzy i przyznaje że dobro w całym swym najpiękniejszym blasku istnieje żywe i czyste na ziemi. Dlatego człowiek powinien się doskonalić. Ilekroć jakiegokolwiek jestestwo podpadnie zepsuciu, nigdy nie psuje się samo jedno; zaraźliwy z niego wyziew przenika inne jestestwa, kazi i zatrucha całą atmosferę. Zły przykład jest jakby chmurą zaćmiewającą niebiosą, ale przykład dobry jest jakby gwiazdą nigdy niewygastłą i zawsze tkwiącą na niebieskim sklepie. Zbłąkani, patrząc na piękno tryskające z dobra, porzucają złą drogę, a spokojnie i wytrwale podążają ku dobrej, z wielkiem w sercu weselem. Nic niema piękniejszego, nic wznioślejszego, nad pełnienie obowiązku, robienie użytku z wolnej woli, nawet aż do zaparcia się i ofiary gwoli osiągnięciu tego, co mniemamy być udoskonaleniem naszej istoty.

Była przeto Aniela żywym ideałem, uderzającym w oczy niedowiarzków, nauką ostrzegającą zwątpiałych, busołą, za którą kierowało swoje kroki wiele dusz, co bez tego szczytowego wzoru moralności i cnoty, byłyby się może na wieki zgubiły w zawiłych labiryntach świata.

Zycie Anieli było nieustającą pracą około dobra. O piątej rano, kiedy jeszcze w niektórych porach roku nie dnieje, opuszczała swoje postanie i najprzód chwil kilka poświęcała ubraniu. Strojem jej był czarny habit; biały rąbek okalał jej skronie, lekki welon czarny spuszczał się z głowy na ramiona. W ubiorze tym jeszcze się piękniejszą wydawała.

Następnie, jeżeli nie przepędziła nocy na czuwaniu, szła oddawać posługi swoim chorym, a potem schodziła do kaplicy dla wypełnienia obowiązków religijnych. Za powrotem do swojej celi, rozmawiała przez kilka chwil ze swoją matką, którą bez chyby widywała codziennie.

Później zgromadziwszy wokoło siebie pięć ubogich dziewczątek, jej staraniom powierzonych, udzielała im nauk moralności i chrześcijańskiej wiary, z tą macierzyńską wymową, jasną a prostą, jakiej dar tylko niewieście posiada serce.

I znowuż wracała do chorych, przy łożu boleści czuwała w dzień i w nocy, dopóki zużycie ją nie wyczerpało i nie zmusiło do pokrzepienia snem sił starganych.

Bywały dni wyjątkowe, w których chodziła odwiedzać więzienia kobiet, roznosić jałmużnę po domach ubogich. A taką posiadała traf-



ność w rozdzielaniu zasiłków, taką znajomość potrzeb i braków u biednych rodzin; iż zaprawdę, nazywano ją generalną jałmużniczką całego Neapolu. W istocie osoby miłosierne, chcąc ofiarować jakąś jałmużnę dla biednych, udawały się do Anieli i na jej ręce składały swoje datki, zostawiając jej dowolne niemi rozporządzenie.

I tak zawsze chodziła, świadcząc dobrodziejstwa, darząc pociechę. Chléb dawała głodnemu, choremu zdrowie, dobry przykład zbłąkanemu, dziecku światłość wychowania, a wszystkich przytém obdziała po częście przeczystej swojej duszy.

Skromność jej, cnota spokojna i czysta, staranność, z jaką się kryła ze swemi dobrymi uczynkami, słodycz mowy, głos czarujący, charakter pełen łagodności i prostoty, gorące miłosierdzie: wszystkie te zalety czyniły z niej istotę nadwyzczajną, anielską, postanniczką Bożą, pożyczoną z nieba ku ozdobie ziemi.

A jednakże ta młoda a tak doskonała istota nadwyzczajnie wiele cierpiała. Rana jej serca nie zagoiła się. Wspomnienie Edwarda nie zatarło się w jej pamięci. Jeszcze jej przed oczy stawały w całym uroku, owa wierzba, ów źródło, morze, łądz, unosząca na falach Edwarda; jeszcze jej w uszach dźwięczał luby głos ukochanego.

Żadne z wielkich przeobrażeń jej bytu nie posiadało dosyć potęgi i siły, by zdjąć z niej ciężkie brzemię tego wspomnienia. Odbiegłszy z pól rodzinnych przybyła do Neapolu. Tam jej się ukazał Edward. Znowu powróciła do dawniej siedziby: tam na wszystkie strony widziała Edwarda. Weszła w świat wielki; i tam, wśród hołdów i oklasków, wśród gorącego publiczności zapału, na szczycie sławy, oczy jej nic nie widziały oprócz jednego Edwarda. Ani zapomnienie, ani niewdzięczność, nie były zdolne wyrwać z jej serca tego wspomnienia, które było jej męczarnią, lecz zarazem jej życia tajemną sprężyną, skrytym żywiołem jej duszy.

Wstąpiła do zakonu, i tam, wśród klasztornej ciszy, zawsze tenże sam obraz widziała, i nawet u stóp ołtarza zjawiała się obok niej postać Edwarda. Boleść jej była niezmierna, niewypowiedziana, jaką bywa boleść duszy, która świat rzuca, utraciwszy największy skarb jego, nadzieję.

Napróżno uciekała się do najrozmaitszych środków, jakie jej były dozwolone, celem wyrugowania z serca tego gorącego uczucia. Wszystko okazało się bezskuteczném, Miłość czysta, lecz tak żywa, jak za najpierwszych dni napelniała jej duszę. Wspomnienie Edwarda górowało nad wszystkiém w jej myśli. Napróżno trapiła ducha i ciało umartwieniem nękała: z tych wszystkich, dobrowolnie zadawanych sobie mąk dusznych i cielesnych, jeszcze jaśniejszym płomieniem tryskała owa wielka namiętność, prawdziwa pochodnia jej życia, duch, ożywiający całe jej jestestwo i rozlewający urok na jej byt cały.

Tak więc, mimo wszystko, uczucie to pozostało najżywotniejszym pierwiastkiem w jej sercu. Tylko jej niezłomna wola, mogła stawić zapórę temu pociągowi serca; jedynie jej zamiętanie dobra,

silniejsze jeszcze nad przywiązanie do Edwarda, było w stanie uchronić ją od rozbicia w tém szaloném zawichrzeniu jój żywota.

Dla tego potrzebowała ona żyć wśród palącej atmosfery, oddychać wielkich burz tchnieniem, doznawać wzruszeń żywych, czerpać ducha na łonie życia pełnego silnych wrażeń; dlatego uciekała się do ofiary, pokuty, umartwień; dlatego szukała strapionych, chorych, ponieważ na tej drodze widok nędz ogromnych, odmgót cierpień i walk, które ze wszech stron ją pochłaniały, pokorne zrzeczenie się wszystkich swoich wielkości, podtrzymywały ją w tém ciężkiém a niebezpiecznym boju z sobą, i nawet w pewnej mierze kołły bóle jój serca. Biedna męczennica! Ołtarzem sobie uczyniła ziemię, i na tym ołtarzu poświęciła się z własnej woli na całopalenie. Dusza jój unosiła się w niebiosa, podobnie jak kłęby dymu, które się wzbijały z ofiarnych kamieni w starożytności. Niewinna ofiara cierpiała, płakała wiele, bo téż i bardzo wiele kochała. I życie jój tak czyste i tak piękne było, niby kwiat uniesiony gwałtownością silnych prądów...

## XV.

Pewnego dnia jakaś uboga kobiéta z gminu zadzwoniła do klasztoru Siostr Miłosierdzia.

— Przyszłam prosić o którą z zakonnice—mówiła.

— Na cóż jój potrzebujesz?—spytała fórtyanka.

— Jedna pani śmiertelnie chora, potrzebuje pomocy.

— Sądzę, że siostra Aniela będzie miała czas wyjść teraz.

— Oh! to dobrze, to najlepiej! proszę o siostrę Aniela.

Dano znać Anieli, która, po odwołaniu się do przełożonej, za jój pozwoleniem, wyszła z kobieciną zanoszącą się od płaczu.

Szły przez wiele ulic i placów, przez zaułki i ciasne uliczki, które w pięknych miastach wydają się jeszcze brzydszemi i nędzniejszymi, aż wreszcie stanęły przed domkiem, już z samego pozoru bardzo lichym i biednym, istnie przybytkiem boleści i nędzy.

Kobiéta, popnięciem otworzyła niskie drzwi i ukazały się wąskie, kręcone schodki, któremi Aniela śpiesznie pobiegła na górę. Weszła do brudnej, zadymionej izby, gdzie się znajdowało tylko kilka nadłamanych stołków, kilka garnków w jednym kącie, a w drugim siennik słomą wypchany, rozestany na ziemi, na którym leżała postać kobiéca, z twarzą trupio-bładą.

Aniela przysunęła się zaraz do chorój, i z uczuciem ujęła ją za rękę. Lecz zaledwie przytuliła ją do swego łona, gdy bezwiednym ruchem nagle ją odrzuciła z przerażeniem i krzyknęła:

— Co to takiego?..—spytała kobiéta.

Chora otworzyła oczy; Aniela odwróciła się tyłem, jakby chroniąc się przed jój spojrzeniem.

— Co się stało, siostró...

— Sza!—przerwała jój Aniela.

- Siostra tak zbladła!
- Cicho! cicho!—mówiła zakonnica, biorąc ją za rękę i odprowadziła ku oknu.
- Trzeba koniecznie zabrać ztąd tę chorą.
- Doprawdy?
- Tu dla niej powietrze niezdrowe, pościel bardzo niewygodna, niema nic, co może być jój potrzebném...
- O, co to, to prawda! ale ja nie mogłam...
- I dziatwę macie drobną, wszyscy razem... niepodobieństwem jest dłużej ją tu zostawiać.
- Ha! może tak będzie lepiej... cóż robić!
- Żal wam jój?
- Bardzo... tak się do niej przywiązałam! taka biedna!
- Pocziwa kobięto, Bóg z pewnością wam to wynagrodzi. Ale trzeba wyprowadzić ją ztąd coprędzej. Czy nie zgadujecie na co ona choruje?
- W skutku rany...
- Nie, inna ją nurtuje choroba... ją zabija pobyt w tym domu.
- Tak siostra sądzi?
- To jest wielka pani...
- A tak, tak!
- Była jedną z najbogatszych w Neapolu.
- Naprawdę, że tak—zgadła siostra.
- A dziś w takięj nędzy!
- Nie miała gdzie się schronić...
- Więc ją tu przyjęliście, a mimo to umiera... jeżeli natychmiast ją ztąd nie wyniesiemy, najniezawodniej skona, wierzcie mi.
- Niedarmo ludzie nazywają was świętą; wszystko wiecie.
- Co wam się roi po głowie! niema w tém nic nadzwyczajnego. Ja ją znałam.
- Ale może nie wiecie, jakie ją spotkały nieszczęścia?
- Wiem, wiem.
- Że mąż ją porzucił? że ją pchnął sztyletem? że...
- Znam całą tę historiją, nie potrzebujecie mi jój opowiadać.
- Ale, żeby siostra wiedziała, co się potem nacierpiła!
- Biedna!
- Najprzód w hotelu, sama jedna, wśród obcych; później wieczorem ztamtąd ją wyrzucili, nie wiedziała gdzie się podziać, a to taki był straszny wieczór...
- Okropny! od niepamiętnych czasów nie widziano w Neapolu takiego śniegu... biedaczka była już nawpół zmarznięta!
- I to siostra wie także?
- Wiem i to, tylko nie wiedziałam, co się później z nią stało.
- Tu się przywlokła, naprawdę umierająca; ratowałam ją jak mogłam, przyszła była trochę do siebie... ale teraz znów, jak ją siostra widzi, nieprzytomna, konająca.



— Smutny stan! Nie jestem lekarzem, lecz znam się na téj chorobie, i spodziewam się znaleźć środki do jéj wyleczenia.

— Prawda, że tu nie mogliśmy w niczém jéj zaradzić. Ani czém okryć ją od zimna, ani czém posilić. Ja sobie i dzieciom od ust odejmowałam, ale czasem i kawałka chléba nie było w domu. Jedną tylko miała koszulę, ta się całkiem podarła, nie mogłam dać jéj drugiej. Czasem szłam na ulicę, żeby coś dla niéj wyżebrać.

Aniela rzewnie płakała.

— Biédna, nieszczęsna Margarita!.. a! trzeba ją koniecznie ratować!.. ale do tego muszą być użyte środki nadzwyczajne.

— A zkadże?...

— Już ja się postaram o wszystko. Słuchajcie: za kilka godzin, ku wieczorowi, zajedzie tu po nią powóz. Wy, moja zacna kobiéto, musicie jéj nie odstępować.

— O! pójdę za nią, choćby na koniec świata... tak mi jéj żal!

— Zawiozę was do pięknego mieszkania, gdzie znajdzie nietylko wszystkie wygody, ale i przyjemności, do jakich nawykła...

— Al.. jak to być może!

— To wszystko jest niezbédném do wyleczenia jéj z téj choroby, więc wszystko musi się znaleźć, i ona musi być uratowaną.

— Czy to jaka wróżka?.. czy anioł?

— Cicho, żeby nas nie usłyszała... A wasze dzieci...

— Ach! prawda, zapomniałam... nie mogę z nią iść, mój drobiazg!..

— Przyślecie je do klasztoru, ja tam będę o nich pamiętać, nie będzie im zbywać na niczém.

— O, mój Boże! cóżto za anioł!

— Dajcie pokój! to rzecz bardzo prosta... O jedno tylko was proszę.

— Słucham, co tylko siostra rozkaże.

— Oto, żebyście nigdy nie wymówili mojego imienia.

— Jakto?... dlaczego?

— Bo nie trzeba, żeby się o niém dowiedziała.

— Jakże? ona ma tyle dobrego używać, nie wiedząc?...

— Nie wiedząc zkad to pochodzi; tak jest, trzeba, żeby się tego nawet nie domyślała.

— Ależ to okrutne!.. i jéj to będzie przykro!

— Proszę was o to.

— Nie, nie!.. nie mogę!

— Musicie to dla mnie zrobić koniecznie...

— Choć jedném słówkiem jéj napomknę...

— Ani jednego słowa, stanowczo wam zabraniam: taka jest moja wyraźna wola i mój rozkaz.

— Ha! kiedy rozkaz... muszę być posłuszną, choć...

— Więc zalecam wam jak najściślejszą tajemnicę i milczenie.

— Dobrze, dobrze, przyrzekam.

— Równie jak najtroskliwsze staranie.  
 — O! tego niech siostra będzie pewna!  
 — Żadnych wzruszeń; niech jój się zdaje, że znajduje się napowrót w swoim domu.

— A! kiedy męza tam nie będzie...

— I mąż jój powróci.

— Powróci? To siostra wie gdzie on jest?

— Dowiemy się wszyscy później. Teraz najpilniejszą rzeczą jest rozbudzić ją z tego letargu, z téj martwój bezwładności, w jakiej się znajduje. W tym celu potrzeba, jak mówią, największych w około niej starań, zupełnej spokojności, i tych środków o jakich nadmieniałam. Niech co chce kosztuje, muszę ją uratować.

— O! siostró Aniela!..

— Cicho! żeby nie usłyszała mojego imienia... Pamiętajcie o tém dobrze; a niebawem tu po was przyjadą.

Aniela zwróciła zażawiony wzrok w stronę, gdzie leżała Margarita i śpiesznym krokiem opuściła to biędne mieszkanie.

Wróciwszy do klasztoru, natychmiast wzięła pióro do ręki i skreśliła następujący bilecik, zaadresowany do matki hrabiego Artura.

„Pani! Znaną jest powszechnie wielka Twoja dobroczynność. Tysiąc razy mówiłaś mi, pani, iż największą w świecie przyjemnością jest nieść pomoc biędnym i cierpiącym, i że im większe jest nieszczęście, tém większe powinno wzbudzać politowanie. Nie odrzucisz przeto, pani, prośby, jaką zanoszę, nie usuniesz opiekuńczej ręki od wielkiego nieszczęścia. Pozwolisz pani, że w pawilonie, znajdującym się w Jój ogrodzie, umieszczę istotę bardzo nieszczęśliwą, a nadto dopomożesz mi do przygotowania dla nięj wszystkiego, co zwykle otacza młodą osobę z wyższej sfery towarzyskiej, nawykłą do wykwintnego mieszkania, życia i ubrania. Widząc, iż to jest jedyny środek wybawienia jój od śmierci, pomyślałam sobie zaraz o pani, albowiem takiej, jaka tu zachodzi potrzeba, zaradzić jedynie może pieczołowitość serc tkliwych i pałających najgorętszą miłością bliźniego. Nadto upraszam panią, abys mię nie pytała o nazwisko téj nieszczęśliwej; a jeśli skłaniasz się pani do spełnienia tego dobrego uczynku, proszę o przysłanie, przed wieczorem, powozu przed klasztorną bramę. Chodzi tu o to, aby zachować żonę dla jój męza, a może zrobić z nięj w przyszłości znaną matkę rodziny. Aniela.“

## XVI.

W oznaczonej godzinie zajechał przed klasztor wspaniały powóz z liberyą. Aniela wydała stosowne rozporządzenia, wystarała się o wszystko, co mogło być potrzebném do tak niezwykłego czynu miłosierdzia. Posłała zaraz do Margarity ubranie wygodne, a nawet wykwintne.

Pocziwa Marya, tak się nazywała uboga kobieta, która się opiekowała chorą, zajęła się natychmiast przebraniem swojej dawnęj pani.

Lecz ta była tak słabą, iż nawet nie zwróciła uwagi na tę nagłą zmianę. Następnie znieśli ją ostrożnie na dół i umieścili w powozie.

Kareta toczyła się przez różne ulice, aż wreszcie zatrzymała się przed żelazną kratą. Otworzono bramę, i powóz wjechał do obszernego ogrodu.

Były to istne rajskie ogródce. Gaje pomarańczowe, cyprysowe, palmowe, strumyki wijące się po zielonych trawnikach, grotty bluszczem osnute, wodotryski z wdziękiem unoszące się w górę, a w pośrodku maleńki, lecz prześliczny pawilonik, cały z białego marmuru, zakończony na szczycie pięknego dłuta posągami.

Gdy powóz stanął przed drzwiami pawilonu, wyszły z niego dwie ładne subretki i pomogły przenieść do pokoju prawie bezprzytomną Margaritę.

Przeznaczony dla niej pokój, miał ściany wybite atłasem niebieskim w srebrne gwiazdy. Na białych marmurowych stolikach stały kosztowne wazony porcelanowe, napełnione najrzadszemi kwiatami. Białe, jedwabne portyery zasłaniały drzwi, a w matęj, lecz gustownej, alkwie, znajdowało się złocone łóże.

Rozebrano Margaritę i ułożono ją z wielkiem staraniem w miękkiej pościeli. Zawezwany naprzód lekarz, zbadał stan chorób, przepisał lekarstwa i zalecił Maryi, która ją ani na chwilę nie odstępowała, szczególniej téj nocy dawać baczenie na jej sen, aby mu mogła zdać sprawę dnia następnego.

Marya, zdziwiona i zmieszana wszystkiém, co się w około niej działo, usiadła w głowach łóżka chorób pani.

Niczego nie brakowało w tym domu. O godzinie właściwej na wieczerzę, jedna z młodych dziewcząt, które je przyjęły na wstępie, zaprowadziła Maryą do jadalnego pokoju, podczas gdy druga pozostała na jej miejscu dla czuwania nad chorą.

Biédna kobiecina, przyzwyczajona oddawna do niedostatku, nie mogła przyjść do siebie ze zdumienia, na widok stołu suto zastawnego. Zaspokoiwszy z przyjemnością swój apetyt, wróciła do łóżka Margarity.

Przez wszystkie poprzednie noce, Margarita, leżąc prawie na ziemi, dusząc się od dymu ze słomy, który buchał z zakopconego komina i napełniał całą izbę, zmęczona bezustannym hałasem swawolących lub płaczących dzieci, nie miała ani chwili snu spokojnego, przy ciągłych gorączkowych marzeniach, przy nerwowych drganiach. Lecz skoro się znalazła w tym pokoju, aczkolwiek skutkiem jakiegoś rodzaju letargicznego odrętwienia, nic nie wiedziała o tém przeprowadzeniu i o téj zmianie, usnęła cicho i spokojnie, snem pokrzepiającym, z którego można było sobie rokować powrót do normalnego stanu w całym jej ustroju.

Marya ze swój strony mogła także błęgiego używać spoczynku w wspaniałém i wygodném krześle z poręczami i noc ta dla nich obu przeszła bardzo szczęśliwie.



Nazajutrz rano lekarz z cicha drzwi uchylił, pytając, jak chora noc przepędziła. Obejrzawszy ją, oznajmił, iż tego dnia objawi się niewątpliwie silna gorączka, będąca symptomatem zbawionego przesilenia. Jakoż, w rzeczy samej niebawem zaczęła się gorączka wznosząca do bardzo wysokiego stopnia.

Zwolna zaczynała Margarita przychodzić do siebie. Zdrowie jęj tak silnie nadwężone, stopniowo się polepszało z powrotem sił, wskutku starań, wygod i stosownego pożywienia.

Wszystko, co ją otaczało, co się działo wkoło nięj, było coś tak dla nięj niepojętego, jakby dzieła czarnoksiężkięj mocy. Jeszcze głowy nie zdjęła z poduszek, a już miała wykwintne strojne ubranie. W pokoju po jednęj stronie fortepian, po drugięj książki, drzwi szklane prowadzące do ogrodu, słudzy pełni uszanowania, gotowi na każde jęj skinienie, wszystko, co tylko mogło łechtać próżność i dumę kobięty, z natury dumnęj i wyniosłęj.

Jednego tylko życzenia swego nie mogła zaspokoić: a właśnie najsilnięj pragnęła dojść źródła swego dobrobytu, dowiedzięć się, kto był sprawcą jęj szczęścia. Napróżno dopytywała się u domowników, którzy jęj usługiwali: nikt z nich nie umiał, czy nie chciał udzielić jęj zadawalniającego objaśnienia; napróżno nawet nalegała na swoję biedną opiekunkę: Marya równię zbywała ją nic nie znaczącą odpowiedzią.

Mieszkającęj tam po królewsku, wpośród kwiatów, wśród radośnego mnóstwa ptasząt świegotu, przy miłém szemraniu wody w strumieniach i pięknych fontannach, patrząc na błękit nieba i morza, czas upływał błogo i szybko i powracały utracone siły.

Szczęśliwy jęj byt obecny zagładził wiele boleści w jęj sercu, wiele smutnych wspomnięń zatarł w pamięci, a tym sposobem łagodził jęj czucie i jęj charakter. Kobiętę tak namiętnie wrażliwą, mogła ta długa cisza przyzwyczaić do spokoju, a nawet ocucić w jęj duszy uśpione uczucie religijne, które nigdy nie wygasa do szcztętu w niewieściem sercu, chociażby nawet tą niewiastą była taka Margarita. Wszakże prawie naocznie i dotykalnie przekonana się o Opatrzności, w którą nie wierzyła przez cały ciąg swego życia; wszak na samém dnie czary nie-szczęść znalazła błogi nektar słodczy, o jakięj nie zamarzyła, jakięj sobie nie wyobrażała w czasach najświatniejszego powodzenia: znalazła istoty poświęcające się gwoli przyniesieniu ulgi jęj niedoli.

Dni jęj płynęły mile i swobodnie. Wcześnie wstawała, ubierała, się w biały szlafroczek z niebieskiemi wstążkami, zupełnie taki sam, jaki zwykłe za dobrych czasów najlępięj lubiła nosić po domu, a zjadłszy śniadanie pożywne, a wykwintnie podane, szła do ogrodu.

Tam bawiła się jak dziecko: splatała wieńce z kwiatów, biegała, uganiała się za ptaszkami, znajdowała rozrywkę w puszczeniu w ruch fontan i wodotrysków i tak przepędzała pierwsze ranne godziny, aż dopóki słoneczne żary nie zmusiły ją wrócić do swego pokoju, gdzie się oddawała zajęciom pici jęj właściwym; grała na fortepianie, czytała,

haftowała, wreszcie robiła, co jęj się najlepiej podobało, co ją najwięcej bawiło.

W poobiednich godzinach znów na dół schodziła, spacerowała po rozległym parku, zagłębiała się w cieniste ganki i tam przesiadywała spokojna i zadowolniona.

Wieczorami najmilszą jęj zabawą był fortepian, grała i śpiewała, a przytęm wspominała sobie czasem dawne dni zgiełkliwe na łonie bogactwa i zbytku. Później czytała, aż dopóki sen nie skleił jęj powiek.

Ten tryb życia umiarkowany, wolny od wszelkich trosk, a pełen błogich przyjemności, zbawiennie oddziaływał na stan jęj zdrowia. Oczy jęj dawny swój blask odzyskały, rumieniec zakwitł na licach, na czoło powrócił ów płomień, w którym się odbijała myśl namiętna i ognista.

Lecz czego nie odzyskała, czego nie mogła odzyskać, to wewnętrzne zdrowia i pokoju. Co to był za dom? Nie znała go. Jakiżto duch opiekuńczy wydzwignął ją z nędzy? Tęgo nie wiedziała. Kto tak czuwał nad jęj spokojem? Nie mogła odgadnąć. A co najgorsza, domyślała się, iż biędna Marya musi być świadomą wszystkiego i męczyła ją bezustannie, aby z nięj wydobyć rozwiązanie tęj zagadki.

Pomiędzy młodą kobietą inteligentną, pragnącą zbadać tajemnicę, a prostą kobieciną, która, choć nie tak bardzo ograniczona, radaby się z nią wygadać, zaprawdę walka nie mogła długo się przeciągać.

Ile razy pojawiło się jakieś nowe ubranie, jakieś rzadkie kwiaty, ryciny, piękne książki, lub inne niespodzianki, Marya musiała sobie ciężki zadawać przymus, nawet gwałt największy, aby nie wyjawić przed swoją panią, co to za tajemniczy geniusz tak się uwziął, aby ją rozrywać i smutną jęj osładzać dołę.

Pewnego dnia Margarita przechadzając się ku wieczorowi po ogrodzie, znalazła w nim ptaszarnię z mnóstwem śpiewających ptasząt różnobarwnego pierza i białe obłaskawione gołębie, które chodziły za nią, jak baranki.

Wobec tęgo nowego dowodu starań o jęj rozrywkę, łzy wdzięczności zabłyśły w jęj oczach i zaraz rzekła do Maryi:

— Ty musisz wiedzieć, kto się mną zajmuje?

— Poczekajmy, może się kiedyś dowiemy...

— Ale tymczasem cała ta wdzięczność, którą przepełnione moje serce napróżno marnieje, nie mam przed kim jęj wylać.

— Schowaj ją pani na później, nigdy jęj zanadto nie będzie, jeżeli pani zechcesz się wypłacić swojej opiekunce tak, jak zasługuje pocziwe jęj serce.

— Opiekunce, powiadasz? A więc to jest kobięta?

— A... tak.

— Pokazuje się zatęm, że wiesz, kto to jest?

— No... juścić wiem.

— A mnie nie powiesz?

— Przykazano mi, żebym nic nie mówiła.

- Zrób to dla mnie i powiedz!
- Nie mogę.
- Dla mego zdrowia.
- Nie powinnam.
- Nie poczciwa jesteś. Widzisz, że to mi taką przykrość sprawia i upierasz się przy swoim, jakby na złość.
- Ależ pani...
- Rozchoruję się na nowo.
- Cóż znowu?
- Umrę.
- Zmiłuj się pani!..
- Tak, umrę z ciekawości.
- O Boże mój, Boże!
- Nie, tak nie może być. Ja dłużej tu nie zostanę.
- A toż dlaczego?
- Dlatego, że nie mogę bawić w cudzym domu, nie wiedząc, kto jest gospodarzem.
- Cóż pani na tém zależy?
- Wiele, bardzo wiele.
- Ależ bo widzi pani, kiedy przyrzekłam...
- Słuchaj: albo mi powiesz, kto rozporządza tym domem, albo natychmiast ztąd pójdę.
- O mój Boże! cóż ja pocznę?
- To, co ci mówię.
- Niechaj pani spyta się służących.
- Nic nie chcą powiedzieć.
- I ja też nie mogę.
- Powiesz?.. nie?.. więc odchodzę.
- Ach!..
- Chodźmy.. zaraz chodźmy!
- Poczekaj pani...
- No i cóż?
- Przyrzecze mi pani zachować to w tajemnicy?
- Przyrzekam.
- Nic pani nie powię?
- Ani słówka.
- I w niczém nie zmieni postępowania?
- W niczém zgoła.
- I tak wszystko będzie, jak dotąd?
- Wszystko tak samo.
- I nawet pani zapomni o tém, co powiem?
- Zapomnę, zapomnę, tylko mów.
- I pani uda, że...
- Oh! dość już tych ceregielów! nie zniosę dłużej! mów zaraz!
- No, to powiem, że opiekunką pani jest...
- Marya zacięła się w mowie.



— Czy skończysz, czy nie?—krzyknęła Margarita—chcesz żebym poszła? Mów, a nie to idę... kto?

— Panna Aniela.

Margarita okropnie krzyknęła, zasłoniła sobie twarz obciema rękami i bezsilnie padła na ogrodową ławkę.

— Oh! jakżem nieszczęśliwa!.. chodźmy, chodźmy ztąd.

— Gdzież mamy pójść?

— Gdziebądź, aby jak najdalej ztąd, aby jak najprędzej.

— Pani, na Boga...

— W tych ogrodach powietrze mię dusi, światło, które tu widzę, wzrok mi razi, wszystko mię tu zabija!

— Pani, nie rozumiem! co to? dla czego?

— Dla tego, bo to jest dom mojej niegodziwej rywalki.

— Rywalki? jakto? jakiéj?

— A któż nas tu sprowadził, kto?

— Panna Aniela.

— Więc sama ją wymieniasz?

— Panna Aniela rywalką pani! przecież to zakonnica...

— A! zakonnica!

— Najcnotliwsza ze wszystkich pań w całym Neapolu.

— Tak! ta cnotliwa zakonnica pokierowała sztyletem, który w moje pierś ugodził; ona swoją szaloną miłością otumanila mojego męża.

— Ach! pani, pani, tego nie mów!

— Będę mówić! Uciekajmy coprędzej z tego straszego piekła!

— Piekło, ten prześliczny ogród?

— Dla mnie to ciemnica, więzienie... ach!

— Ależ pomyśl pani, co się z nami stanie?.. znowu głód, nędza, strapienie...

— Wszystko zniosę.

— Znowu panią napadnie ta choroba, która może doprowadzić...

— Wolę śmierć, niż pobyt w tém miejscu.

— Ach! pan! i ja i moje biedne dzieciny znów będą mrzcć z głodu.

— To się zostańcie tutaj, a ja pójdę.

— Ten ogród powrócił pani zdrowie, życie...

— Ha! życie! życie zatrute! Oni chcą mi życie przedłużyć w niegodziwym celu.

— Ach! nie, pan! chyba w najlepszym! Gdybyś ją pani widziała jak ona płakała nad panią...

— Tak! żyj krokodyle...

— O! czyste łyzy, jak rosa z nieba; z nich kwiaty u nóg pani rosty.

— Kwiaty, których kielichy pełne jadul... Tak, starają się przy życiu mię zachować, bo im moje życie potrzebne; przyjemnie im pastwić się nademną.

- Jak pani może to myśleć?  
— Ona kocha Edwarda, a on w nią zakochany...  
— To dziewica Panu poświęcona, czysta, jak anioł!  
— Chcą, żebym żyła, bo z moją śmiercią miłostki ich byłyby pozbawione największej rozkoszy, jaką im sprawia to, że mnie mogą tém dokuczyć.  
— Co za okropna myśl!  
— Ja sobie myślę jeszcze coś okropniejszego.  
— Ależ pani, to wszystko być nie może; przecież mąż pani znajduje się w Afryce.  
— Nieprawda.  
— Cały Neapol wie o tém.  
— Mój mąż jest tutaj, tak, tutaj i potajemnie romansuje z Anielą.  
— To bezbożne bluźnierstwo!  
— A ja mam także moje zamiary, wiem co zrobię; przez całą chorobę o tém tylko myślałam.  
— Co za zamiary? Co pani chce zrobić?  
— Zabić Anielę.  
— Wielki Boże!!.. co to pani mówi?  
— Mówię to i zrobię.  
— Ach! pani!.. widać pani obłąkana!  
— Nie wiem, może... ale ztąd idę... ty się zostań!  
— Za nic w świecie nie odstąpię pani... o mój Boże!.. kiedyż idziemy?  
— Zaraz, jak się tylko dobrze ściemni.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

---

# Bolesław Jabłoński.

(Karol Eugeniusz Tupy ur. 1813, um. 1881 r.).

PRZEZ

*Juliusza Mien.*

Dnia 27 lutego umarł na Zwierzyńcu pod Krakowem, w skromnym domku wiejskim, kapłan rzadkiej zacności, ksiądz kanonik E. Tupy. Choć z pochodzenia Czech, umiał ks. Tupy w przeciągu 34 lat pobytu swego w Krakowie, tak się żyć z nami, tak serdecznie się przywiązał do nowój przybranéj ojczyzny, żeśmy się wzajemnie za swoich uważali. Mówił i pisał po polsku jak Polak, należał do różnych towarzystw naukowych, gorliwie rozszerzał oświatę w warstwach ludowych: jedném słowem cichą i wytrwałą pracą położył zasługi prawdziwie obywatelskie w naszym kraju. Wszyscy wiedzieli mniej więcej o księdzu Tupy; lecz najwięcej go znali prostaczkowie, dla których był szczodrobliwą opatrnością i niestrudzonym życzliwym nauczycielem. Skromny i trzymający się zdala od hataśliwój sławy, pełnił obowiązki kapłana i obywatela, nie szukając za to, prócz miłości biednego ludu, żadnych innych nagród. Gdy umarł dowiedziano się dopiero w wyższych sferach, nie bez pewnego zadziwienia, kim był ksiądz Tupy. Mało kto wiedział, że ten sam ksiądz, żyjący tak cichutko w zaciszu wiejskiem u stóp kopca Kościuszki, był jednym z pierwszych poetów czeskich i, bez zaprzeczenia, najpopularniejszym pod pseudonimem „Bolesława Jabłońskiego;“ że należał do tych najwybitniejszych mężów, którzy wskrzesiwszy naród czeski, prawie zniemczony, zapewnili mu w przyszłości poważne nader, obok plemienia polskiego stanowisko w zachodniej Słowiańszczyźnie.

To też całe społeczeństwo polskie, wśród którego dzielny ten syn czeski pracował, uważało za swój święty obowiązek wyrazić swoje uznanie i uwielbienie dla pamięci, tak zasłużonego męża, którego życie było równie użyteczne dla dwóch najbardziej i pochodzeniem i cywilizacją do siebie zbliżonych pobratymczych narodów słowiańskich. Ten wyraz wdzięczności objawił się szczególniej przy téj sposobności



gdy ojczyzna jego, chcąc spełnić ostatnią wolę zmarłego, wysłała deputacją do Krakowa, która w imieniu narodu czeskiego, zabrała z ziemi polskiej zwłoki zmarłego poety, pragnącego w ostatnich chwilach swojego życia odpocząć w ziemi ojczystej. Przy pożegnaniu zwłok zanego kapłana na dworcu drogi żelaznej, złożono na trumnie najpiękniejsze i najwymowniejsze wieńce i pomimo słoty, cała inteligencja Krakowa, oraz lud i reprezentanci wszystkich warstw naszego społeczeństwa zgromadziły się w imponującej liczbie. Odtąd poeta, który w jednej miłości złączył dwie ojczyzny w swém sercu, stał się łącznikiem duchowym między niemi. Rzadki to przykład, lecz bardzo pocieszający!

Ś. p. Karol Eugeniusz Tupy był dzieckiem ludu. Urodził się w r. 1813 w Rečice-Kardaš i pierwsze wykształcenie odebrał w gimnazjum hradzkiem. Jak opowiadają jego biografowie, zaczął już pisać wiersze w czwartej klasie. Były to ponajwiększej części tłumaczenia z niemieckiego. W owym czasie, dzięki Jungmanowi, Pałackiemu, Kollarowi i Hance, wskrzeszono wielki zapal dla narodowej literatury i ten zapal był tak silny, że odczuwano go nawet i na ławach szkolnych. Profesor Hruby, widząc zdolności Tupego, dawał mu do czytania książki czeskie a zachęcając go do pracy, obudził w nim zamiłowanie do rzeczy ojczystych. Po skończeniu gimnazjum w roku 1832, wstąpił Tupy do uniwersytetu w Pradze, gdzie prawie równocześnie rozpoczął swoją karierę literacką. Kilka utworów drukowanych w dzienniku „Niegdyś i teraz“ (Jindy a Nyni) i w „Kwietach,“ zwróciły najprzód uwagę publiczności na młodego poeę. Stuchając filozofii, uczęszczał Tupy na wykłady literatury czeskiej prof. Nejedly. Nie mając jednak dostatecznego utrzymania z pracy literackiej i słuchając życzeń rodziców, wstąpił po dwóch latach studyów uniwersyteckich do klasztoru zakonu norbertanów w Strahowie. Nie ukończywszy jeszcze nowicyatu, opuścił klasztor i wrócił do Pragi, gdzie niebawem drukował w „Kwietach“ mały poemat osnuty na podaniach słowiańskich pod tytułem: „Trzy złote włosy,“ który zwrócił na niego uwagę powszechną. Zachęcony tém powodzeniem wszedł do składu redakcyi „Kwiatów“ które redagował Jarosław Pospíšil, przyjaciel naszego poety. Pospíšil miał młodszą siostrę Maryą, w której Tupy się zakochał; a miłość ta pierwsza, nie odplacoua wzajemnością, miała być i ostatnią. Dwa lata później widzimy go powtórnie w klasztorze, gdzie przeszedłszy różne próby i doznawszy dotkliwego rozczarowania wśród powszednich przygód tego świata, postanowił szukać ulgi i szczęścia dla swego zbolatego serca. 1 sierpnia 1840 roku odebrał ostatnie święcenie kapłańskie.

Już w samotności murów klasztornych napisał dwa najpiękniejsze ze swoich poematów: „Mądrość ojcowska“ i „Pieśni miłości.“ Pierwszy uważać można za dzieło wielkiej wartości w literaturze czeskiej tak pod względem języka i formy, jako i pod względem treści. Jest to prawdziwy kodeks narodowy, pisany dla ludu i przemawiający do serc prostych i uczciwych. Nie znajdzie w nim czytelnik żadnych

czcych, gorących deklamacyi, lecz zdrową naukę, pełną serdeczności i niekłamanych uczuć. Jestto wyższa filozofia ludzka i chrześcijańska, podana w jasnych i przekonywających wywodach, dostępnych dla wszystkich. Piękny ten poemat zawiera tyle prawdy, ile jest w nim wierszy. Dla przykładu przytoczymy niektóre ustępy.

„Synu!—odzywa się Tupy—nie każdy jest mądrym, którego nazywamy doświadczoneym! Największą i najtrudniejszą sztuką, jedynym sposobem posiadzenia mądrości jest: mądrze żyć. Opieraj wszelką mądrość na węgielnym kamieniu pracowitości, dodaj do tego perłę cnoty, a będziesz miał dosyć mądrości na wieki.“

Prowadząc dalej swego ucznia przez cudną panoramę wszechświata, wydobywa z każdego zjawiska i z każdego przedmiotu nową naukę mądrości.

„Gdziekolwiek tve oko spocznie, w świętej chwili skupienia, znajdziesz we wszystkiem, synu mój, tajemnicze słowo mądrości. Poznaj mądrość wszechświata, i z pokorą przyzna się twój duch, że tylko jeden jest mędrzec nad mędrcami; a tym jedynym jest twój Bóg! Bezdenne morzem jest świat szeroki: kroplą w niem jest duch ludzki, a przecie ten duch obejmuje wszechświat za pomocą wiary.“

Przyroda jest ulubionym tematem poety: wraca on ciągle do niej; a w sercu swego ucznia wznieca zawsze dla niej gorącą miłość; miłość ludzką. „Przyroda to pani potężna, przyroda to matka miła, która przy rozdawaniu darów, obmyśliła wszystko po macierzyńsku: niebiosom dała gwiazdy jasne, ziemi dała kwiaty barwne, morzu dała perły piękne, a tobie synu serce czyste. Wszak i tobie, synu, dała ręka Boga część ziemi, a tą częścią tak sławną i piękną jest twoja droga ojczyzna! Wznos się, synu, nad ziemię, rzuć spojrzenie na ten padół. Wniknij okiem w swoje wnętrze, a potem kłęknij i dziękuj!“

Piękne też są ustępy tego poematu o miłości ojczyzny i o godności człowieka. „Po takie szczęście nie sięgaj, które ci próżność dać może; prawdziwem bowiem bogactwem jest, wierzaj mi, pracowita spokojność. Dużo panów na tej ziemi, dużo panów masz, mój synu; lecz czego człowiekowi nikt nie odejmie, to jest największe dziedzictwo, a niem jest swobodny boski duch. Jedyne znasz ty pana, a panem tym twój Bóg! Skoro udzielisz komu bodroziejstwo, pisz to na liściu kwiatu; jeśli zaś tobie kto dobrze czyni, wyrj w głazie marmuru. I tak ze skarbnicy serca twego bądź szafarzem hojnym, synu mój. Dla kraju ofiary nie żałuj, a na nagrody nie oglądaj się. Spytasz mi się, mój synu, jakie jest największe szczęście na ziemi? Bez wahania odpowiem ci: zdrowa dusza w zdrowem ciele.“ Nie bez trudów, nie bez troski i cierpień, staje się człowiek „mądrym“ na świecie, jak sam poeta mówi; mądrość, ta nie jest niczém innem jak nauką obowiązków człowieka względem ludzkości i Boga. Aby zrozumieć dobrze i pojąć te obowiązki i czuć prawdziwe człowieczeństwo w sobie, trzeba dużo doświadczyć i dużo cierpieć. Sam poeta, zastanowiwszy się nad własną niedolą, poświęciwszy swoje serce ludzkości, scharakteryzował

alegorycznie tę mądrość temi słowy: „mądrość, to w boleści zrodzona potęga: córka doświadczenia; rozum jój ojcem, cnota jój matką, prawnica jój siostrą!”

Dziwny urok ma ten poemat, w którym nie znajdujemy najmniejszego śladu mistycyzmu. Pióro nie zdradza tu nigdzie kapłana, a jednak cała osnowa jest tak na wskroś chrześcijańska! Zamitowanie poety do przyrody, osłania czasem myśli poety pewną atmosferą panteistyczną, ale w tój swobodzie znajduje właśnie poeta najpiękniejsze barwy swoich obrazów, które z mistrzowską zręcznością umie łączyć w jedną nadobną całość. Czyż można np. piękniej przedstawić nieśmiertelność duszy jak w tych wierszach:

„Nie lękaj się, synu, zimnej ręki śmierci; śmierć nie kończy twego życia; ona tylko kładzie kres twoim mękom.”

Drugi poemat: „Pieśni miłości“ ma zupełnie inny charakter. Nie jest to jednak powieść jego uczuć młodzieńczych; lecz żale czułego serca, bijącego tkliwie pod habitem mnicha; są to ostatnie westchnienia do przeszłości bez jutra: „Już jój niema! jednak jeszcze żyje! Już jój niema a jój serce bije. Oczy moje, cicha łza was kryje. Ona żyje, słyszy moje łkania. Jednak dla mnie, dla pocieszenia... Już jój niema.”

Wiersz ten odnosi się do Maryi Pospiłisowej, bo czytamy dalej: „Z imion aniołów opiekuńczych, dużo bywa uwielbianych, bo tak pięknie dźwięczą; a jednak dla mego ucha jedno tylko harfy tonem brzmi mi bezustannie: Marya! Marya!”

Zostawszy księdzem, zamienił dopiero poeta swoje rodzinne nazwisko na pseudonim Bolesława Jabłońskiego. Krótko po wyświęceniu dostał probostwo w Radonicach (r. 1843), gdzie przepędził cztery lata. W r. 1845 ukazało się drugie wydanie jego poezyi. Imię jego stało się popularnem, pisał zawsze dla ludu i coraz więcej rozwijał swoją działalność literacką. Niektóre z jego pieśni patryotycznych wówczas napisanych, są prawdziwym wzorem tego rodzaju utworów. Nie są to pieśni Tyrteusza, wołające do czynów bohaterskich, lecz prosty wykład miłości ojczyzny, wskazujący cel i środki prowadzące do jego osiągnięcia. „Poczuciem godności narodowej, rozumem, sercem i wytrwałością w pracy—nie zemstą, nie bronią zapewnia się ostateczne zwycięstwo. W „mądrości ojcowskiej“ porównując naród cały do pszczoły, mówi poeta: „Dobrem stworzeniem jest pszczoła, mój synu, kocha wszystko co jest pięknem; jednak—śmiała jój zemsta, o śmierć ją przyprawia!”

Z pomiędzy pieśni lirycznych, w których uczucie patryotyczne poety dosięgnęło najwybitniejszych wyżyn natchnienia, przytoczyć nam wypada wiersz „Trzy doby czeskie.”

„Był czas, mówi, gdzie piękne imię Czechy tak mile brzmiało w uszach narodu, był czas że cała Europa je czciła... Wtedy Czech czuł, że jest Czechem, wtedy każdy bronił honoru narodowego, wtedy było szczęście w ziemi lwa!... Wszak i ten czas minął, smutna doba nastąpiła dla czeskiego narodu. Siły jego moralne opadły... i sam ru-



nał w niewolę ducha!... Czech przestał kochać ojczyznę, swoją matkę; sam siebie przestał szanować, zapomniał ojców swoich i przestał być godnym synem. Zaparł się ojczyzny, krwi i mowy przodków swoich: z domu wygnał bogów ich, z cudzoziemcem się zbratał i nie chciał znać prawdziwych braci. I zaćniło się słońce nad ojczyzną czeską, i zapłakał jój geniusz, że ślady narodowości zatarły się i że kir śmierci okrywa czeskie muzy!'' Tu geniusz narodu przejęty zgrozą i rozpaczą odzywa się skargą, wołającą do zmartwychwstania, a na głos anioła tysiące z grobu powstają „Już czas, wstańcie wszyscy, którzyście dotąd spali. Jutrzenka już weszła na niebie. Śpiewaj z radości o narodzie wskrzeszonym! Hańba temu kto wstanie ostatnim!... Szanujcie swój język, zwyczaje i prawa. Przekonajcie świat, że jesteście Czechami a ojczyzna czeska wnet zabłyśnie tą sławą, którą się szczylicili przodkowie nasi.“

Spory tom poezji Bolesława Jabłońskiego zawiera tylko cztery poemata. Oprócz „Trzy złote włosy,“ „Mądrość ojcowska“ i „Pieśni miłości,“ jest jeszcze „Walka miłości,“ resztę stanowią poezye liryczne różnego rodzaju, podzielone na dwie części i pieśni okolicznościowe. Z pierwszych mało jest znanych. Są to po największej części utwory pierwszej młodości poety i przeważnie patryotyczne. Z pomiędzy drugich mieliśmy już próby w kilku tłumaczeniach młodego i zdolnego poety naszego Czesława, który z wielkiem zamiłowaniem zajmuje się literaturą czeską i przygotowuje antologią nader ciekawą tegoczesnych poetów czeskich, w której będą najpiękniejsze pieśni Jabłońskiego i przekład cały jego „Mądrości ojcowskiej.“ Znamy już śliczny wiersz do „Polaka“ i „Do Polski,“ tudzież naśladowanie Zaleskiego „U nas inaczej!“ lecz jeszcze nie zapoznaliśmy się z utworami jego humorystycznymi przypominającemi nam czasem dobroduszną ironią i formę Bérangera. Do pieśni tego rodzaju możemy zaliczyć wiersz „Posłani kometové“ (List do komety) pisany w Krakowie. Odpowiadając na list przyjaciela, który narzekał na Jabłońskiego zbyt długie milczenie i czynił mu wyrzuty, że nie pisze już wierszy; pisze nasz poeta, biorąc pobudkę z zapowiedzianej na rok 1857 komety, następujące słowa:

„Ażebyście nie narzekali ciągle, że przestałem pisać wiersze, posyłam wam pieśń „O komecie,“ którą ułożyłem jeszcze na tym świecie. Ach! jak się lękam tego lata, drogi mój Karlicki! Już się zbliża koniec świata a tu biedna duszyczka! Często! oh często grzeszyła, w występku się rozkoszowała, w swawoli i figlach sobie upodobała; nie jeden wybryk sobie pozwoliła i tego głupiego ciała nieraz słuchała! Oj to kłopot dla téj biedaczki, gdy się zbliża już dies illa? Ależ drodzy przyjaciele, na pamiętkę tego dnia, gdybyśmy przed końcem świata, który nam kometa przygotowuje, nie mieli się już zobaczyć, to życzę wam zdrowia i powodzenia, a radzę wam zrzucić togę profesora i używać praw waszych, które wypłyną z kotła piwowara; bo wszystko to vanitas, gdy ma trwać już tylko przez czas tak krótki! Potém

wszystko będzie inaczej. Tam gdzie teraz morze sine, ujrysz morze czerwone krwią ludzką zabarwione. Kraków żelazną drogą dostanie się do Pragi, a Samojed będzie lizał sławny czeski miód; Indyanin zaś pożerać będzie łokciowy marcepan. Wszystko wśród tej zawieruchy zmieni swoje położenie i swoją fizyognomię. Inna geografia! inna etnografia! Znikną i gramatyki i składnia i retoryka, o czém mędracy już dawno marzyli; w tej strasznej chwili dokona się zjednoczenie wszystkich stron świata i na wszystkie strony rozlegać się będzie jeden tylko krzyk podziwienia: ach! ach! ach!

Oprócz tego tomu poezyi, pisał jeszcze Bolesław Jabłoński inne poemata, dotąd nie drukowane, w języku polskim przeważnie. Jeżeli co do formy i co do miary wiersza mogą się znaleźć pewne usterki w wierszach polskich Jabłońskiego, które jeszcze za życia jego miałem sposobność oglądać, to treść ich jest bardzo ciekawą i zajmującą. Są to przeważnie pieśni miłosne, mające zakrój właściwy poezyi ludowej. W każdym razie jestto ciekawy dokument do ilustracji życia i działalności poety czesko-polskiego. Z tych nie wydanych dotąd poezyi podamy jeden wiersz, który niedawno ogłosił Lumir, beletrystyczne pismo czeskie, nader umiejętnie redagowane przez pana V. Sladka. Równocześnie tłómaczą Czesi te polskie utwory ich poety na język ojczysty. Ciekawą rzeczą będzie porównanie przekładu z oryginałem, albowiem pokazuje się tu tak mało różnicy, że zdaje się, że jestto prawie ten sam język:

Z niewydanych polskich pieśni Bolesława Jabłońskiego:

Grają dzwony na Wawelu.

(POLSKI ORYGINAŁ).

Grają dzwony na Wawelu,  
Grają dzwony w mieście;  
Jak się wszystkie rozegrają,  
Będzie tonów dwieście.

Będzie tyle dźwięcznych tonów,  
Ile myśli w duszy,  
Ile uczuć w mojem sercu,  
Dziennie się poruszy.

Między dzwony krakowskiemi,  
Jest nasz Zygmunt królem;  
Oj! tych królów przypominam,  
Z wielkim sobie bólem!

Na Wawelu tam gdzie Wisła,  
Obok skały bieży;  
Na Wawelu wiele sławnych  
Polskich królów leży.

Hraji zvony na Vavelu.

(CZESKI PRZEKŁAD).

Hraji zvony na Vavelu,  
Hraji zvony w městě,  
Jak se všechny rozehraji,  
Bude tónů dvě stě.

Bude tolik zvučných tónů,  
Myšlenek co v duši,  
Kolik citu v mojem srdci,  
Každy den se vzruši.

Mezi zvony krakovskými,  
Jest náš Zigmunt králem,  
Oj! těch králů připominám  
S velkým sobě žalem.

Na Vavelu, tam hde Visla  
Podle skály běží,  
Na Vavelu mnoho slavných,  
Polských králů leží.

Oj! gdzieście się zapodziały,  
Pełne sławy doby,  
Kiedy żyły w polskiej ziemi,  
Królewskie osoby?

Grajcie dzwony na Wawelu,  
Pamiętnemi dniami;  
Ośladzajcie nam dni nasze,  
Chociaż wspomnieniami!

Oj! kde jste se opozdily,  
Doby plné slávy,  
Když nam žily v polské zemi,  
Královské ty hlavy?

Hrajtě zvony na Vavelu,  
Slávy dni jsou s vámi,  
Oslazujte nám dny naše,  
Byť jen vspominkami!

W roku 1847 opuścił nasz poeta swoją ojczyznę, wybrany przez Zejdlera, opata Strahowskiego, na zastępcę zmarłego zakonnika premonstratorskiego w klasztorze Zwierzynieckim, tuż pod Krakowem. Z smutnym sercem, jakby przeczuwającym, że to poraz ostatni, pożegnał się ks. Tupy ze swoimi. Liczył on wtedy 34 lat wieku. Odtąd bardzo rzadko miał sposobność odwiedzić kraj ojczysty, osiadł się w skromnym domku na Zwierzyncu, a choć stronił od świata, prowadził bardzo czynne i pracowite życie. Mianowany w roku 1854 proboszczem Zwierzynieckim, piastował oprócz tego różne urzędy diecezjalne, jakoto: komisarza biskupiego klasztoru zwierzynieckiego (1855), radcy duchownego sądu matrymonialnego (1856), dozorczy i wizytatora szkół katolickich (1857), toż samo szkół ewangelickich i izraelskich (1860), egzaminatora i vice-dziekana miasta Krakowa (1863), honorowego członka konsystorza (1866), członka rzeczywistego i referenta konsystorza (1867) i t. p.

Wspomniawszy już wyżej o zasługach Bolesława Jabłońskiego na polu oświaty ludowej w Galicyi, wypada nam dać tutaj krótki obraz tej działalności zacnego kapłana, który sercem i duszą kochał lud nasz. Cechą jego charakteru czy to w poezjach, czy w życiu, czy w spełnianiu obowiązków kapłańskich, była zawsze miłość bliźniego. Ta miłość ożywiła go w pieśniach i w czynach. Opuściwszy ojczyznę, żył miłością między nami: przywiązał się bowiem do wszystkiego, co go otaczało. Widział opłakane stosunki naszych szkół wiejskich, dla tego, pomimo rozlicznych zajęć, poświęcał przez długi szereg lat wszystkie swoje siły podniesieniu i rozwojowi szkół ludowych w Krakowskiem, bo za pomocą tego skutecznego środka dążył pewną drogą do polepszenia moralnego i materyjalnego stanu tych najniższych warstw społeczeństwa naszego.

Od roku 1858—1867 był dozorcą dystryktowym szkół okręgu przedmiejskiego. W ciągu tego czasu nie tylko zjednał sobie uznanie władz szkolnych, które go licznemi podziękowaniami za umiejętne i gorliwe spełnianie obowiązków tego zaszczytnego urzędu obdarzały, lecz i nauczycieli. Gruntowną swą nauką, prawością charakteru, łagodnością i miłością tak względem młodzieży szkolnej, jak i nauczycieli, których był prawdziwym opiekunem, pozyskał serca wszystkich do takiego stopnia, że gdy w roku 1867, dla braku sił i nadwątłego już



zdrowia, z godności téj zrezygnował, nauczyciele szkół jemu podwładnych urządzili w kościele na Zwierzyńcu nabożeństwo, na którym młodzież szkolna wręczyła mu adres dziękczynny, jako słaby dowód wdzięczności swojej. Kapłan-poeta odbierając ten adres, rzekł ze łzą w oku: „Gdybym był wiedział, że mnie tak kochacie, nie byłbym zrezygnował.”

Lecz mimo téj urzędowej rezygnacyi, nie ustawał zacny kapłan w działalności około dobra szkół, którą do najmilszych swych czynności zaliczał; jako proboszcz parafii Zwierzynieckiej, skierował wszystkie swe siły ku podniesieniu szkół w parafii jego będących, zwiedzał je często, gorącemi słowami zachęcał młodzież szkolną do nauki, dodawał nauczycielom otuchy i zachęty do pracy, otaczając ich zawsze szczególniejszą swą ojcowską opieką i pomocą. Po wprowadzeniu w życie ustawy o nadzorach szkolnych, przyjął przewodnictwo w czterech radach szkolnych w swój parafii i urząd ten obok urzędu miejscowego dozorczy szkół, aż do ostatniego tchu życia piastował.

Rada szkolna okręgowa, widząc tak gorliwego kapłana, dbającego o rozwój i postęp oświaty ludowej, przydzieliła mu także szkoły w Bronowicach wielkich, Bronowicach małych, Łobzowie i Krowodrzy, a ś. p. Jabłoński mimo podeszłego już wieku, pragnąc służyć pocziwiej sprawie, nie odmówił tym szkołom swój opieki i szczerze się niemi interesował.

W ciągu ostatniego dziesiątka lat stanęły za jego wpływem i pod jego wyłącznym zarządem (w Pólwsiu, w Bielanych, w Olszaniczy, w Woli Justowskiej, w Bronowicach wielkich, a nawet w Prądniku czerwonym) piękne, trwałe i pod każdym względem odpowiadające potrzebie budynki szkolne, do których upiększenia i wewnętrznego urządzenia nie szczędził nawet i własnego grosza, a które przez długie lata będą pomnikiem tego zacnego i nieodżałowanego kapłana-obywatele.

Przy tak czynném życiu nie mógł już Bolesław Jabłoński na polu literackim wiele pracować. Nigdy jednak nie zubożył dla literatury swojej ojczyzny i pilném okiem śledził rozwój i postęp narodowości czeskiej. Narodową niwę dobrze już młodsi synowie uprawili, zdrowe ziarno, rzucane wprawną ręką doświadczonych rolników na żyzną glebę piękny już owoc wydało: Jabłoński patrzył już w swojej jesieni spokojnie na obfity plon, który ucziwa, wytrwała narodowa praca przygotowała. Żył samotny wśród ludzi prostych: biedni byli jego familją. Czyż ostatnie dni jego samém szczęściem go otaczały? czy nie kłuło go żądne żądło cierpień? On, który w wiosnie życia chciwy i spragniony domowego pożycia i uciech ziemskich, ze zranioném sercem musiał szukać przytułku wśród zimnych ścian celi klasztornej? On, który pół życia strawił poza swoją ojczyzną i miał umierać na obcej ziemi?

Już był dokonał swojego dzieła, pisać więcj nie potrzebował, bo jak sam wyraził się: „wypłakał już swoje oczy, wyczerpał już wszystkie westchnienia swoich piersi, wyśpiewał całe serce swoje i nic już nie

zostało dla niego do czynienia na tej ziemi, jak tylko oddać Bogu swoją duszę."

W Czechach mnożyły się wydania jego poezyi: w roku bieżącym przygotowują szóste wydanie. Cały naród śpiewał jego pieśni, a chata, w której żył, była dla każdego Czecha świętym miejscem pielgrzymki. Od czasu do czasu przybywał do chatki u stóp kopca Kościuszki gość z ojczyźnej ziemi, przywoził mu pozdrowienie całego kraju. Wtedy starzec się uśmiechał, łzy zraszały mu poważne jagody i błogosławił ziomkowi! Dziś chata pusta u stóp kopca Kościuszki. Lutnia już ucichła, która tak do nas przemawiała serdecznie i smutnie:

Bądź pozdrowiony w twojem sławném  
 Mieście, ony Polaku;  
 Daj w niej spocząć po podróży,  
 Miły krakowiaku!  
 Jakby echo twojej mowy,  
 Jest dźwięk mego słowa,  
 Matka wspólna—my rodzina  
 Jedna, przedwiekowa.

Jak promień złoty, zostało się tylko wspomnienie zacnego męża, który w tak wysokim stopniu zasłużył na naszą wdzięczność. Zwłoki jego opuściły naszą ziemię, lecz w pamięci każdego Polaka żyć będzie ta sympatyczna postać, którąśmy szanowali i kochali za życia, a którą staraliśmy się uczcić i po śmierci. Nietylko Bolesław Jabłoński zasługuje na zaszczytne miejsce w literaturze polskiej; lecz jeszcze będzie odąd wzorem prawdziwego kapłana-obywatela w naszym kraju, który mu na polu szkoły ludowej bardzo wiele zawdzięcza.

## PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY.

### II.

*Artykuły pedagogiczne—broszury, odczyty, dzieła; Encyklopedia Wychowawcza.*

Sprawa wychowania publicznego, chociaż niepokojona u nas ciągłymi prawie odmianami, nie przestała jednak ani na chwilę żywo zajmować myślącego ogółu. Przy braku powszechnie ugruntowanych pojęć co do zasad pedagogicznych, co do celów i co do idei pracy szkolnej, niemniej co do wartości pedagogicznej i co do znaczenia wychowawczego pojedynczych przedmiotów planu szkolnego; pożądaną też bardzo było rzeczą, że od czasu do czasu odzywały się głosy jużto z katedry odczytów publicznych, już też z pojedynczych broszur i artykułów poważniejszych pism peryodycznych, a nawet i codziennych, które pragnęły utrzymać pojęcia ogółu na stanowisku naukowym. Umiemy sprawiedliwie cenić dobroczynne skutki pracy nawet pism codziennych w sprawie tak poważnej, jak wychowanie młodzieży; ale z tém zastrzeżeniem, żeby odzywał się w nich głos systematycznej nauki, bo same empiryczne obserwacje pedagogów, przez samych siebie patentowanych, wprowadzają w tę sferę pojęć więcej zamieszania i osobistych przywidzeń, aniżeli prawdziwego, ożywczego światła. Nie każdy doskonały feiletonista lub dowcipny reporter „do wszystkiego” kwalifikuje się na kompetentnego sędziego w rzeczach pedagogicznych. Jeżeli jedno i to samo pióro, choćby „znanego naszego uczonego” z równą swobodą i łatwością pisze dziś sprawozdanie muzyczne, jutro giełdowe lub teatralne, raz artykułik humorystyczny na temat karnawałowy obok rozbioru „Pogadank z dziećmi panny Morawskiej” lub „Nauki wychowania” Bańka; drugi raz rozczuła się nad muzyką ociemniałych, nad mową głuchoniemych i nad społecznym znaczeniem audifonu, to nie może tu być mowy o naukowej powadze takiego słowa. Publiczność, zamiast czerpać objaśnienie z gawędy pedagogicznej takiego wszystko-wiedza, uczy się tylko wielu frazesów, lekce-

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za kwiecień r. b.



ważących naukę szkolną i zakres programatu szkolnego, nie może zdać sobie sprawy z wartości pedagogicznej téj lub owéj nauki szkolnéj, traci przez to wszelki wpływ na uczącą się działość, która wśród takiéj atmosfery uczy się lekceważyć nietylko uczących, ale i sam przedmiot nauki. Są sprawy, któremi lekkomyślnie igrać się nie godzi: do takich należy, obok kościoła i religii, także i szkoła.

Pedagogowie nasi, pracujący nieraz nad siły w swoim zawodzie, nie są pochoptni do zabierania głosu publicznie; mimo to jednak do „nieobecnych“ zaliczać ich nie możemy. Do ruchliwszych na polu literackim pedagogów, po śmierci nieodżałowanego Augusta Jeskego, zaliczamy: Boczylińskiego, Bądzkiewicza, Plenkiewicza, P. Chmielowskiego, Nowickiego, Łagowskiego, Dygasińskiego.

Ig. Boczyliński, zasłużony i poważany pedagog-literat, rozpoczął był działalność na tém polu w roku pamiętnym dla historii wychowania w Polsce 1862. Nietylko jako współpracownik „Biblioteki Warszawskiej“, w której zamieszczał liczne recenzje o dziełach pedagogicznych, ale i jako autor kilku dzieł treści pedagogicznej (Starożytności greckie i rzymskie Bojezen'a tłóm. z niem. J. Hoffa. Warsz. 1862 i 1863 r.). W ubiegłym roku zabrał głos „W sprawie wychowania naszych córek“, w szeregu artykułów zamieszczanych w „Gazecie Polskiej“. Głos poważnego profesora, który kilka już pokoleń kobiet wykształcił, zainteresował szersze koła publiczności i nie pozostał, sądźmy, bez wpływu na powstrzymanie zbytecznego rozpędu w rozszerzaniu programu wykształcenia szkolnego kobiet.

Antoni Bądzkiewicz, sumienny nauczyciel języka polskiego, autor „Teorii poezyi“ (Warsz. 1867 r., drugie wyd. 1875 r.), ogłasza od roku 1859 artykuły krytyczne po pismach czasowych: prawie wszystkie podręczniki wykładu języka i literatury polskiej przez jego krytykę przechodziły. Prócz tego pisuje p. Bądzkiewicz monografie i życiorysy pedagogów: w r. 1874 wyszła we Lwowie jego broszura „O Amosie Komeńskim“, jako odbitka ze „Szkóły“.

Roman Plenkiewicz, sumienny i doświadczony nauczyciel języka polskiego i literatury, odznaczył się był za czasów Wielopolskiego, kiedy Rada wychowania pub. zażądała od nauczycieli rozbiórów podręczników szkolnych. Z pomiędzy wielu nadesłanych rozpraw, odnoszących się do języka polskiego i literatury, wydrukowano kilkanaście w oddzielnej książce, a na ich czele stoi wyborny program wykładu literatury ojczyściej, podany przez Plenkiewicza. Odtąd zaczynają się literackie jego prace. W r. 1878 rozpoczął w „Kłosach“ szereg studyów p. t.: „Z dziedziny pedagogiki“, zaznaczając, że powinniśmy wyzyskać wszystko to, co się w naszej literaturze do pedagogii odnosi, a oparłszy wyrób myśli narodowej na zdobyczach cywilizacji ogólnej, jasno dopióro będziemy mogli sformułować współczesny ideał naszego wychowania. Po rozwlekłym nieco studyum nad Rejem, czekamy dalszych nad Górnickim, Glicznerem, Modrzewskim, Maryckim i innymi.

Piotr Chmielowski ogłosił kilka gruntownych studyów z historyi

pedagogiki polskiej. W „Bluszczu“ z r. 1877 czytamy: „Dziesięć lat z dziedziny wychowania w Polsce“ (1551—1560 r.). Znaleźli tam właściwą, pierwszą może w naszej literaturze, ocenę Jędrzej Głaber z Kobylina, Marycki, Modrzewski, Herbest, Lorichius i Erazm Gliczner. („Książkę o wychowaniu dzieci“ Glicznera z r. 1558, przedrukował w Krakowie r. 1876 Wł. Wisłocki). W „Bluszczu“ także z roku 1879 znajdujemy drugą niemniej cenną pracę Chmielowskiego: „Pierwsza książka o wychowaniu;“ mowa tu o listach łacińskich o wychowaniu synów królewskich, pisanych czy dyktowanych przez Elżbietę, żonę Kazimierza Jagiellończyka, a wydanych w r. 1502. „Biblioteka Warszawska“ pomieściła w r. 1877 (t. 3) i 1878 (t. 3) bardzo wyczerpujące studjum tegoż autora „O Hofmanowej;“ umieszczała także jego przeglądy pedagogiczne (dwa ostatnie o książkach rozrywkowych dla młodzieży były drukowane w r. 1878 tom IV i w r. 1879 tom IV).

Władysław Nowicki, wychowaniec b. Szkoły Głównej, zaczął już w r. 1869 pomieszczać rozbiory książek szkolnych w „Bibliotece Warszawskiej.“ Najwięcej pracy poświęcił sprawie metody wykładu języka i gramatyki polskiej, tudzież belletrystyce dla młodzieży. W tym zakresie wydał ceniony powszechnie podręcznik i kilka książeczek drukował w „Kłosach“ doroczne, skrupulatnie opracowywane, przeglądy książek na gwiazdkę i t. p. W r. 1875, w setną rocznicę urodzin ks. Falkowskiego, wydał życiorys tego szlachetnego kapłana, założyciela Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie. Praca ta stanowi ważny przyczynek do dziejów dobroczynności i oświaty w kraju naszym.

Adolf Dygasiński, tłumacz „Wykładów o umiejętności języka“ Maksa Müllera (Kraków, 1875 r.), wystąpił ze streszczeniami różnych myślicieli angielskich. W artykułach pedagogicznych, umieszczanych w „Przeglądzie Tygodniowym,“ w „Niwie,“ w „Ateneum“ składa dowody obszernie czytania w literaturze pedagogicznej, którą nie zawsze samodzielnie zawładnąć umi, zaczęm idzie brak pewnych, dostatecznie ugruntowanych konkluzji. Dygasiński nie chce przytém nic wiedzieć o polskiej dydaktyce, co się okazało ostatecznie w jego broszurze p. t.: „Nauczanie bez książki“ (Warsz., 1880 r.), z której dowiadujemy się, co rozumieją o pierwszym nauczaniu uczeni angielscy: ale nie wiemy, coby nam, jako spadkobiercom dydaktyki Konarskiego i Komisji edukacyjnej, rozumieć o tym przedmiocie należało. Ostatnie studia Dygasińskiego, zwrócone ku metodzie pogładowej, schodzą na grunt praktyczniejszy, ztąd i korzyść z nich dla naszego społeczeństwa niezaprzeczona.

Floryan Łagowski zaczął od lat dwóch pomieszczać artykuły w „Niwie“ i przeglądy pedagogiczne w „Tygodniku Ilustrowanym.“ Prace Łagowskiego zmierzają wprost do celów praktycznych; znajomość najnowszych badań pedagogicznych nie zaśłania autorowi oczu przed tradycją narodową i religijną. W artykule p. t.: „Szkoły pro-

wincjonalne prywatne“ wykazuje konieczną potrzebę zakładania szkół prywatnych po miastach na miejsce dawniej istniejących t. z. szkół powiatowych; przez takie bowiem szkoły inteligencja narodu mogłaby oddziaływać na lud, kształcąc dzieci miejskie i wiejskie, dla których szkoły miejscowe elementarne są niedostateczne, a gimnazya po miastach gubernialnych najczęściej niedostępne. W artykule „Kilka uwag nad szkołami prywatnemi“ zaznacza brak harmonijnej organizacji wewnętrznej tych szkół, brak jednostajności w metodach wykładu, brak podręczników. Jako środki, mające zapobiegać tej niedogodności, wskazuje Żagowski peryodyczne posiedzenia rady pedagogicznej danego zakładu. W artykule „Środki pobudzające młodzież do nauki,“ wykazuje, iż nie należy nadużywać sztucznych środków kar i nagród, lecz wyrabiać w młodzieży karność wewnętrzną, a do nauki zachęcać przez sam sposób wykładu. W artykule „O egzaminach“ oświadcza się przeciw dzisiejszym sposobom egzaminowania, radzi więc uczyć młodzież aniżeli tresować!

Zaznaczywszy tak ogólnie stanowiska i kierunki kilku naszych pracowników na polu literatury pedagogicznej, nie możemy zastanawiać się poszczególne nad pojedynczemi, sporadycznie pojawiającemi się pracami na tém polu; godzi się atoli wspomnieć choć nazwiska niektórych: Promyk (Kon. Prószyński) pisuje czasem recenzje i broszurki pedagogiczne; Antoni Slosarski pisuje rozbiory książek szkolnych z zakresu nauk przyrodzonych; M. Baraniecki i Dickstein rozbiory książek matematycznych. Należy wspomnieć tu także A. Celichowskiego, którego „Naukę czytania i pisania,“ jako wyszłą jeszcze w r. 1865 pominęliśmy w pierwszym ciągu naszego przeglądu, gdzie była mowa o podręcznikach szkolnych; uzupełniamy to opuszczenie, z nadmienieniem, że elementarz Celichowskiego był pierwszy u nas w szerszym zakresie i nową metodą ułożony, że drugie jego wydanie z r. 1877 znacznie się rozpowszechniło; uderza nas tylko polemiczna przedmowa do tego wydania, która wcale wartości książce elementarnej nie dodaje, chybaby jako lekcya poglądowna zarozumiałości i samochwalstwa.

Nie sposób nam tu powoływać artykułów pedagogicznych, po piśmie galicyjskich lub poznańskich rozproszonych, zwracamy tylko uwagę na poważną pracę Zyg. Sawczyńskiego, mieszczącą się w „Przewodniku naukowym i literackim,“ dodatku do „Gazety Lwowskiej“ (zeszyt I, r. 1881) p. t.: „Kilka uwag nad internatami seminaryalnemi;“ autor rozbiera tu sporną kwestyą o szkodliwości lub pożytku zakładów naukowych zamkniętych (dawne alumnaty) w porównaniu z zakładami otwartemi, przechylając się ostatecznie na stronę zakładów zamkniętych.

Przechodząc do odczytów pedagogicznych, musimy dla lepszego zorientowania cofnąć się o lat kilka.



Ogólne prawie niezadowolenie i pewien niesmak, wywoływany smutnemi zjawiskami wykładu języków starożytnych, wykładu, traktującego naukę języków klasycznych, na wzór Olendorfów i Ahnów przy nauce języków żyjących bez najmniejszego uwzględnienia metody filologicznej i wynikające ztąd lekceważenie nauk klasycznych, przedstawianych tylko w ich karykaturze, spowodowało, że już w 1876 b. profesor b. Szkoły Głównej Plebański starał się objaśnić ten przedmiot ze stanowiska naukowego, w odczycie publicznym, wypowiedzianym na korzyść Osad rolnych. Odczyt ten, znacznie rozwinęty, wyszedł z druku nakładem „Kroniki Rodzinnéj“ p. t.: „O pedagogiczném znaczeniu nauk klasycznych,“ Warszawa 1876 r. W rozprawie pomienionéj, przyznającéj naukom realnym, a mianowicie naukom przyrodzonym zupełne równouprawnienie w szkole z naukami klasycznymi, chodziło autorowi, zdaje się, głównie o to, aby zreflektować powierzchowne opinie i sądy, jakie się bardzo głośno odzywały i odzywają, nie tylko o bezużyteczności, ale nawet o szkodliwości nauk klasycznych w szkole; opinie, które sięgały tak daleko, że zdawały się niekiedy mieszać zadanie szkoły z zadaniem warsztatu, ćwiczącego zręczność rzemieślniczą dla potrzeb wyłącznie praktycznych. Autor stara się dowieść przez porównawczy wywód wartości pedagogicznéj nauk przyrodzonych i nauk klasycznych, że nie istota nauk klasycznych, ale tylko zaniedbanie metody filologicznej przy ich wykładzie jest bezpożyteczną, szkodliwą męczarnią dla kształcącój się młodzieży. P. Plebański rozbiera szczegółowój nauki klasyczne ze względu na ich wartość pedagogiczną; nauki zaś przyrodzone i matematyczne powołuje tylko dla porównania (porównanie nauki gramatyki z nauką matematyki pod względem pedagogicznym, str. 58—64), pozostawiając specjalistom odpowiedni wywód co do pedagogicznéj ich wartości. Wkraczające w tę sferę rozprawy dr. Józefa Żulińskiego: „O znaczeniu astronomii w wychowaniu i jéj nauczaniu,“ Lwów 1874; „O nauczaniu historii naturalnéj w szkołach ludowych,“ Lwów 1876 r., przedmiotu tego dostatecznie jeszcze nie wyjaśniły. P. Plebańskiemu chodzi o to, aby przy wykładzie nauk przyrodzonych, jeśli one mają równie korzystnie, jak nauki klasyczne, wpływać na harmonijny rozwój wszystkich władz umysłowych, aby przy ich nauce nie ograniczać się na wuczeniu się pojedynczych szczegółów; ale pragnie, żeby sięgać do ogólnych idei, do tych momentów ogólnych, idealnych, które kształcą nie jeden zmysł obserwacyi, lecz pobudzają wszystkie władze umysłowe do harmonijnego doskonalenia się i rozwoju. Dopóki pedagogika i dydaktyka nie wynajdą drogi do tego celu prowadzącój, dopóki nie ustalą pewnej w tej mierze metody, to żądanie, aby nauki przyrodzone z korzyścią zastąpić mogły w szkołach średnich, jako środek pedagogiczny nauki klasyczne, nie da się ze stanowiska nauki pedagogiki usprawiedliwić (str. 51—58). Kwestya w ten sposób sformułowana, nie jest zatém jednostronną obroną nauk klasycznych; ale zwraca uwagę na ważne nader dydaktyczne zadanie i wskazuje na niezbędne zna-

miona momentów pedagogicznych przy naukach przyrodzonych, które nawet tacy mocarze na polu badań przyrodniczych, jak Virhoff, na jednym ze zjazdów badaczy przyrody, za konieczne i niezbędne uznali.

W szeregu następujących odczytów, spotykamy między odczytami 1879 r. aż trzy pedagogicznej treści. Dr. Markiewicz mówi „O higienie w szkole.“ W sumienném swoim studyum wykazywał, jak ważną jest rzeczą zdrowie wychowanka, jak pilnie potrzeba baczyć na warunki higieniczne w szkole, których zaniedbanie pociąga za sobą szkody europejscy pedagogowie i lekarze, szczególnież zaś okuliści ubolewają nad osłabieniem wzroku młodzieży. Towarzystwo lekarzy galicyjskich podało w roku zeszłym petycją do sejmu, ażeby, w mającej nastąpić reformie szkolnej wzięto pod uwagę zdrowie młodzieży <sup>1)</sup> W téj samej kwestyi bardzo energicznie przemawia Herbert Spencer w ostatnim rozdziale książki „O wychowaniu.“

<sup>1)</sup> Kwestya ta jest tak ważna, a społeczności naszéj tak mało znana, że uważamy za pożyteczne i właściwe przytoczyć treściwą osnovę gruntownych wywodów „Petycji Tow. lekarzy galicyjskich w sprawie reformy szkolnej“ z d. 4 czerwca 1880 r. „W chwili, gdy ze wszech stron coraz to częściej podnosić się zaczynają głosy ubolewania nad wadami i niedostatkami dzisiejszéj szkoły \*), gdy upadek zdrowia i sił fizycznych młodzieży, z każdym niemal rokiem stając się widoczniejszym, wywołuje nawet na sejmach głośne narzekania na zbytne przeciążanie jéj pracą: słuszném i sprawiedliwém nam się wydaje, że gdy pedagodzy zajmować się zaczynają reformą szkół dydaktyczną i wychowawczą, t. j. naukową i moralną, ażeby ci, którym powierzona została straż nad zdrowiem publiczném, t. j. ciała lekarskie, zajęły się stroną higieniczną téj reformy...

Podniesienie potrzeby reformy zakładów wychowawczych ze względu higienicznego, t. j. ze względu na zdrowie i rozwój sił fizycznych młodzieży, stało się dziś tém jeszcze konieczniejszym, im więcej przyzwyczajono się lekoewazyć, a nawet pomijać tę stronę w wychowaniu.

Wychowanie fizyczne u nas, jak widzimy, pozostawiono dotąd zupełnie tradycyi \*\*) i instynktowi rodziców, opiekunów i nauczycieli. Każdy więc prowadzi i wychowuje dzieci wedle własnego widzimisię, własnych uprzedzeń i własnych przesądów, nie troszcząc się bynajmniej o zdrowe zasady z nauki płynące...

Tak być przecie nie może i być nie powinno, bo wychowanie fizyczne, podobnie jak i kształcenie umysłowe dziecięcia, pewnym zawsze systemem

\*) Petycja używa, jak to w Galicyi niewłaściwie mówią, wyrazu „szkolnictwo,” który jest wprawdzie tłumaczeniem niemieckiego wyrazu „Schulwesen,” ale w duchu naszego języka nie wyraża tego samego pojęcia. *Red.*

\*\*) Lekarze polscy nie powinni przecie zapominać o dziele Jędrz. Śniadeckiego „O fizyczném wychowaniu dzieci.“ *Red.*

P. Jan Papłoński miał dwa wykłady: „O najnowszych zwrotach w wychowaniu,“ drukowane w „Kronice Rodzinnej,“ w „Roczniku Instytutu Głuchoniemych“ i w osobnej broszurze p. t.: „Zasady i zakres

prawd naukowych rządzić i kierować się winno, jeśli nie chce zejść na manowce. Najświetniejsze i najkorzystniejsze nawet reformy szkolne, wykonywane w kierunku naukowym i moralnym, t. j. dydaktycznym i wychowawczym, nie wydadzą nigdy dla społeczeństwa pomyslnych i trwałych owoców, jeśli współcześnie i poprawą fizycznego wychowania młodzieży nie zajmujemy się także i nie zapewnimy jej tym sposobem potrzebnych sił i zdrowia do przyszłej w życiu pracy.

Nadzór higieniczny nad szkołą odnosi się najprzód: do przestrzegania zdrowotnych (?) warunków budynku szkolnego, co do jego położenia, sąsiedztwa, obszerności, rozkładu, oświetlenia, ogrzewania i przewietrzania; jakoteż do sprzętów szkolnych, jak ławek, stołów i tablic. Okoliczności te bowiem, w jakich dzieci przebywają od czterech do sześciu godzin dziennie, przez lat dwanaście, licząc w to czas szkół ludowych i średnich, niezmierny wpływ wywierają na zdrowie i rozwój ich młodego ustroju.

Drugim przedmiotem pieczy zdrowotnej (?) nad szkołą jest zarząd i wewnętrzny jej porządek, jakoto: ilość i rozkład dzienny godzin nauki na ranne i popołudniowe i stosownie do wieku uczniów i pory roku; plan porządkowy przedmiotów nauczanych; przestanki między godzinami; godziny wolne od nauk, wakacje, książki szkolne ze względu na druk i papier; usadzanie uczniów w ławkach, stosownie do wzrostu i wzroku; środki dyscyplinarne i t. p.

Trzecim, zresztą ostatnim, lecz najważniejszym przedmiotem pieczy higienicznej nad szkołą, są sami już uczniowie i wychowawcy. Opieka ta, która musi być nieustającą i ojcowska nacechowana troską, obejmuje badanie lekarskie, szczególnie wstępujących do szkoły kandydatów, czy ich ustrój fizyczny, pomimo prawem przepisanego wieku szkolnego, jest dostatecznie rozwinięty, a zdrowie ich w dobrym znajduje się stanie, aby na ławce szkolnej zasiąść mogli. Dalej nadzór i ciągła wśród roku piecza lekarska nad zdrowiem uczniów, uczęszczających do szkoły i prowadzenie kontroli nad rodzajem chorób, jakim podlegają; badanie ozdrowieńców (?), przybywających po chorobach zaraźliwych, zarządzanie odpowiednich środków zaradczych w czasie epidemii; kontrola nad nauką śpiewu i gimnastyki w szkole i t. p.

Przebywanie po cztery do sześciu godzin dziennie w małej, przepełnionej uczniami izbie szkolnej, oddychanie złém, niedostatecznie albo wcale nie odnawianém powietrzem, brak ruchu, wysilanie umysłu przez kilka godzin na przedmioty trudne do pojęcia, bez należytego wypoczynku i przestanków, jakoteż przeciążanie nad wiek dzieci naukami, musi zło zawsze oddziaływać i oddziaływać na odżywianie ustroju, zkąd powstaje niedokrwistość, osłabienie, bóle głowy, upośledzenie trawienia, żołądki, cierpienia płuc, zdenerwowanie i inne, tak często w okresie szkolnym u dzieci przytrafiające się cierpienia. Któż nie wie nadto, jak siedzenie męczące na niewygodnych ławkach, w pozycji zgarbionej lub skrzywionej, wywołuje łatwo u dzieci skrzywienia stosu pacierzowego, a pisanie i rysowanie w złej postawie, na odpowiednio urządzonych sto-



wychowania domowego, oraz historya metody poglądowej“ (Warsz., 1879 r.). W pierwszym, zawierającym ogólne poglądy na zadanie wychowania i jego kierunek, przeważał pierwiastek retoryczny. W ustach

łach, często jeszcze przy złém lub niedostatecznym oświetleniu sali, lub uczenie się z książek drobnymi czcionkami drukowanych, fatalnie wpływa na wzrok uczniów i czyni ich już w szkole krótkowidzami \*).

W obec takiego stanu rzeczy, wprowadzenie do szkół stałego sanitarnego nadzoru nad zdrowiem uczącej się w nich młodzieży i warunkami higienicznymi porządku szkolnego staje się potrzebą konieczną, jeśli zdrowie i siły fizyczne przyszłych pokoleń naszych lepiej niż dotąd rozwijać się mają.

Faktem jest niezbitym wielka w ogóle wrażliwość fizyczna dzisiejszego pokolenia, tak, iż młodzież szkolna nazbyt może często przerywać dziś musi dla braku zdrowia rozpoczęte swe studia; albo kończyć je ze znacznym jego nadwężeniem. Czyż więc to nie wystarcza do uznania tej prawdy, że tylko ciągła opieka, przy rozwijaniu się początków złego i wczesne im zapobieganie, może chronić nas od smutnych następstw i strat niepowetowanych.

Jeżeli rodzice lub opiekunowie, z jakichbądź przyczyn, zarodu chorób rozwijających się w młodym ustroju dzieci swych nie widzą i nie poznają, lub poznać nie chcą: to władze wychowawcze, szkoły, zawsze na nie uwagę swą pilnie zwracać powinny, ostrzegając wczesnie rodziców o grożącym niebezpieczeństwie, iż dzieci owe przedewszystkiém leczyć, a nie nauczać należy. Ryzykowna ta bowiem rachuba, dotąd u nas praktykowana, „że niech dziecię przedewszystkiém szkoły ukończy, a potem sobie odpocznie i leczy się będzie,“ zawodzi boleśnie, zbyt często niestety, aby przez władze szkolne, dobro młodzieży mające na względzie, tolerowaną być mogła. Odpowiedzialności za złe następstwa niebaczości rodziców władze szkolne na siebie ściągać nie powinny; ale owszem dawać dowód opiekunom dzieci ciągłej o ich zdrowie dbałości tém bardziej, że u nas przyzwyczajono się tego tylko za chorego uważać, kto już z bólu lub z braku sił chodzić nie może. A jeśli dzieci źle rozwiniętych umysłowo, lub nie dość przygotowanych do nauki szkoła nie przyjmuje, przyjmować też nie powinna chorych i źle rozwiniętych fizycznie.

Wątłego i chorego żołnierza z szeregów się usuwa, dopóki do sił i zdrowia nie wróci. Tak też i w szkole być winno, jeśli ma zdrowych i wytrwałych do walki życia wychowywać bojowników.

Szkoła, która wychowuje i przygotowuje młodzież do przyszłego życia, wczesnie obznajmiać ją powinna ze sposobami pielęgnowania swego zdrowia, lecz nie tylko drogą nauczania, ale i praktycznie, codziennym stosowaniem przepisów higieny w życiu.

Szkoła czego naucza, tego też i wzorem dla uczniów być winna; trudno

\*) Krótkowidztwo wedle dr. II. Cohn'a wzrasta z latami szkolnemi. I tak na 100 uczniów przypada: w szkoł. ludow.: w kl. I —; w kl. II —; w kl. III 2.9; w kl. IV 4.0; w kl. V 9.8; w kl. VI 9.8. W szkoł. średn.: w kl. I 12.5; w kl. II 18,2; w kl. III 23.07; w kl. IV 31.0; w kl. V 41.3; w kl. VI 55.8.

bowiem tak doświadczonego pedagoga nie przypuszczamy, żeby owe gromy na Bakona, owo żarliwe kazanie do kobiet, owo powoływanie wyżła i orła, z okoliczności kształcenia zmysłów u dzieci, mogło mieć inne, jak retoryczne znaczenie. Kształcenie zmysłów niema przecie na celu spotęgowania ich siły, bo tego żadna pedagogika skutecznie dokazać nie może; ale pragnie ono tylko nauczyć dzieci sztuki najodpowiedniejszego ich stosowania i używania. Drugi zato odczyt, lubo był luźną pogadanką o dziale pedagogicznym na wystawie paryzkiej, jak o metodzie Frebla i i. mógł więcéj nierównie przynieść słuchaczom korzyści.

W ubiegłym roku p. Dygasiński miał dwa odczyty: w pierwszym „Nauczanie nowoczesne w obec opinii“ wypowiedział wyznanie wiary swéj pedagogicznój, co mniej mogło obchodzić publiczność, szukającą w nauczycielu sumiennego specjalisty, nie zaś doktrynera. Za to drugi odczyt „O kanarku“ (wywołany prawdopodobnie niezadowolnieniem prasy z pierwszego), dał nam wyborny wzór lekcji poglądowéj. Zasluga p. Dygasińskiego polega głównie na tém, że praktycznie pokazał publiczności, jak wyglądają lekcye poglądowe, która o nich dotąd tylko słyszała z powieści. Obecnie rozpoczął szereg odczytów „O metodzie poglądowéj,“ w Zakładzie freblowskim p. Mleczkowéj; w trzech odczytach, mianych przed świętami Wielkanocnymi, prelegent nie przystąpił jeszcze do istoty rzeczy, t. j. do lekcji wzorowych, ale

jest bowiem wpoić w przekonanie dzieci najlepszym nawet wykładem to np., że przewietrzanie pokoi jest warunkiem koniecznym dla zdrowia mieszkańców, jeśli same w nieprzewietrzanych izbach szkolnych przesiadywać będą całe lata, inaczej, jeśli władza szkolna tego sama nie czyni i nie przestrzega, czego drugich naucza i w życiu trzymać się im kaze.

Jeśli więc na seryo idzie nam o to i zależy na tém, ażeby zdrowotne stosunki kraju naszego, dotąd niestety bardzo jeszcze smutne i upośledzone, polepszyły się rzeczywiście, wzięść się musimy koniecznie do poprawy dotychczasowego wychowania i reformy szkolnej.

To jest droga jedyna i pewna; na niewiele się bowiem przydadzą i najznakomitsze prawa i instytucje sanitarne w kraju, jeżeli ludzie, t. j. obywatele, dla których się one postanawia, ani słuchać ich, ani z nich korzystać nie będą chcieli. Tylko higieniczne od dziecka wychowanie, tylko dobry przykład w tym względzie otoczenia i wczesne zaznajomienie młodzieży z nauką pielęgnowania zdrowia, szczepiąc w jednych przyzwyczajenie czyli nałóg higieniczny, a w drugich przekonanie higieniczne, zle znakomicie zmniejszyé albo stanowczo nazawsze usunąć zdoła.

Takie jest życzenie nasze i takie zapewne jest życzenie całego społeczeństwa naszego; zdrowie bowiem, ten nieustannie procentujący kapitał, jest pierwszym i niezbędnym warunkiem każdéj praoy, każdego dobrobytu i szczęścia, jakie na ziemi mieć możemy.

Na co się człowiekowi przyda wiedza i bogactwo, jeśli z nich dla braku zdrowia korzystać nie będzie w stanie?..“

przedstawił historią metody poglądowej, określał rzecz samą i jej stopnie w stosunku do psychicznych warunków dziecka. Zauważyliśmy, że prelegent cofa się z krańcowego posterunku, zapewnia głośno, że pedagog nic wspólnego mieć nie może z żadnym doktrynerstwem, a przecież i tak jeszcze trudnoby nam przyszło zgodzić się na jego moralność, opartą wyłącznie na prawach przyrody.

Odczyt Piotra Chmielowskiego „O poezyi w wychowaniu,“ w ostatniej tylko części był treści pedagogicznej; tu ujmuje się autor za lekceważoną dziś poezją i wykazuje, jaką ona grać rolę powinna w wychowaniu młodzieży, wskazuje autorów i dzieła ich najodpowiedniejsze ku temu celowi. Konkluzya, że p. pedagog powinien obmyśleć odpowiednią strawę dla młodej i żywej fantazyi wychowanka, nie stawia kwestyi na właściwym gruncie. Prelegent powinien głównie to mieć na uwadze, aby, opierając się na faktach przez psychologią udowodnionych, wykazać moc, że tak powiem, energią i siłą pedagogiczną utworów poetycznych, tak pod względem treści, jako i pod względem zewnętrznej formy, tak pod względem etycznym, jako i estetycznym. Kwestyi tych autor dostatecznie nie objaśnił, a przecież o to głównie chodzić powinno. Odczyt ten drukowany był w „Biesiadzie,“ przy znacznym rozszerzeniu ostatniej jego części, w której autor wylicza dość sporą liczbę utworów poetycznych, kwalifikujących się do biblioteczki młodzieży. Żałujemy tylko, że autor pominął literaturę piękną w prozie, np. klechdy, podania, gawędy, obrazy, podróże, powieści <sup>1)</sup>.

Ale nie tylko przez odczyty, przez artykuły drobne i broszury, objawia się nasz ruch na polu teorii pedagogicznej; ostatnie dwa lata przyniosły nam kilka książek oryginalnych i tłómaczonych. Przedewszystkiem zaznaczamy tu dwa dzieła myślicieli angielskich.

W roku 1879 ukazało się w polskim przekładzie głośne dzieło Spencera „O wychowaniu,“ tłómaczone poprzednio na wiele języków europejskich. Są to cztery artykuły, z których jeden mówi o radykalnej zmianie w dotychczasowym programie nauk, inne trzy o wychowaniu, umysłowym, moralnym, fizycznym. Książka ta rozpowszechniła się prędko i w drugim już wydaniu; angielski myśliciel nie ogląda się na dotychczasowe rutyny, rozumuje z nieubłaganą logiką i dochodzi do wniosków, które wprowadzone do wychowania i zastosowane do metody wykładu, wielki przewrót spowodowałyby musiały. Jestto praca przeprowadzona harmonijnie i jednolicie we wszelkich swoich szczegółach, dlatego też każdy myślący człowiek czyta ją z niepospolitą zajęciem. Autor nie pisze wcale pedagogiki, a tylko wykazuje zasady, na jakichby ona oprzeć się powinna. W pierwszym zaraz rozdziale krytykuje ostro teraźniejszy plan szkolny, mający na celu popis, przyjemność, nie zaś prawdziwy pożytek; chcąc pójść za jego zdaniem, potrzebaby wielką rewolucją wprowadzić w programie wykładu, stawiając na pierwszym miejscu umiejętność stosowan-

1) Temat nie zamierzał sięgać w te strony.



Tak w tym rozdziale, jak i w całej książce Spencera o religii lub choćby o poczuciu religijności u dziecka, głucho bardzo; czy rozumny myśliciel, subtelnie wążący na szali najdrobniejsze nawet fakta doświadczalne, miałyby się przemieszczać sprawiedliwej metodzie, nie biorąc w rachunek psychologicznego faktu poczucia religijnego, czy sądzi, że je przygłuszy? Wychowanie nie byłoby wtedy racjonalne.

W następujących rozdziałach powstaje na rutyniczną metodę w nauczaniu, na nieumiejętne obchodzenie się z dziećmi, obstając gorąco za karność wewnętrzną, opartą na własnym doświadczeniu dziecka, prowadzącą do wyrabiania się charakteru. Ostatni rozdział zaczyna od przedstawienia Anglików, interesujących się żywo hodowlą rasowego inwentarza i koni wyścigowych, ale nie interesujących się hodowlą dzieci. Czyż nie powinno być przeciwnie? Wszystkie rozumowania Spencera, oparte na porównaniach przyrodniczych, są przekonywające; pozytywny myśliciel angielski jest tu zarazem mówcą przekonywającym. Każdy składa książkę po przeczytaniu z tym przekonaniem, że nauka, kosztem zdrowia nabyta, nie rozwinie się należycie w nadwątlonym organizmie. Spencer wykazuje tylko ogólne zasady, ma na celu jeden tylko obiekt pedagogiczny, krytykuje obecny stan rzeczy; ale nie zdaje sobie sprawy, w jaki sposób jego wnioski mogłyby wejść w wykonanie, choćby z tego tylko względu, że wychowanie i nauczanie zbiorowe inne być musi, niż pojedyncze.

Bain, autor „Nauki wychowania,” chce być pedagogiem, kreśli całokształt pedagogii, przedstawia szkołę licząc się z jej warunkami, robiąc pewne ustępstwa na korzyść wyrobionej rutyny nauczania, przez co nie uzyskał poklasku krańcowych pozytywistów. Bain, którego dzieło wyszło w roku ubiegłym w polskim przekładzie, z innego wyszedł punktu i inny zakres pracy swój naznaczył, niż Spencer; ztąd też w niektórych tylko punktach schodzi się ze Spencerem, a i w tych zbijać musi niekiedy jego wnioski, choćby dlatego, że nie tak one wyglądają w praktyce szkolnej, jak w logicznej indukcji. Znajdujemy najwięcej pokrzyżowania w nauce o rzeczach: Spencer powiedział zamała, ograniczył zakres tego przedmiotu; Bain zaś powiedział zawiele, rozczłonkował zbyt znacznie ten przedmiot; już samo to, że mówi o nim w kilku miejscach swego dzieła i jeszcze w osobnym dodatku na końcu dowodzi, że nie mógł za jednym zachodem rozciąć tego węzła pedagogicznego. Dzieło Bain'a zasługuje na szczegółowszy rozbiór, aniżeli ta ogólna charakterystyka, którą w tym miejscu za ledwo naszkicować możemy.

Sam przekład odznacza się gruntowną znajomością przedmiotu i języka; dokonany zdaje się z oryginału z całą ścisłością i skrupulatnością pierwowzoru. Może to mieć swoje naukowe zalety, ale zaleta ta pozbawiła dzieło tej swobodnej wyrazistości, którą się prace uczonego tłumacza tak chlubnie odznaczają, powlokła je pewnym mglistym mrokiem, co dałoby się, sądzimy, wyminąć, gdyby tłumacz starał się więcej spolszczyć rzecz, niż ją przełożyć.

Dzieła Spencera i Bain'a nawzajem się uzupełniają. O ile pierwsze jest jasne i przekonujące, ale zato dalekie od zastosowania jego rezultatów w praktyce, o tyle drugie, względ ten ostatni mając ciągle na oczach, posiada wiele bardzo cennych obserwacji i wskazówek; ale w wielu miejscach jest niedosyć jasne, w całości trudne do objęcia. Tłómacz Bain'a dodał na początku od siebie krótką przedmowę, a w środku rozdział o nauce języka polskiego. W przedmowie zestawia tłumacz polskie pedagogiki, ubolewając nad ubóstwem naszym na tém polu. Uderza nas, że od „Chowanny” Trentowskiego i od „Pedagogiki” Sierocińskiego (1845 i 6), aż po dzień tłumaczenia Spencera (1879), tłumacz zaznacza „długą przerwę” na tém polu; czyżby z umysłu pominął pedagogiki Hückla i Seredyńskiego (1868), Łuczkiwicza (1872), Sobieskiego (Lwów, 1873), Jeskiego (Warszawa, 1875), że nie mówimy o drobniejszych, jak tłumaczenia Emmensa, Kelnera i inne. W rozdziale IX tłumacz traktuje na kilkunastu stronicach o wykładzie języka polskiego, poczynając od „syllabizowania,” a kończąc na historii literatury. Wprowadzenie tego ustępu do dzieła Bain'a uważamy za wielką zasługę tłumaczowi, ale opracowanie samego przedmiotu nie zupełnie nas zadawalnia, bo nie rachuje się dostatecznie z wymaganiami dzisiejszej dydaktyki. Wprawdzie autor dość duże stawia wymagania nauczycielowi języka polskiego i literatury, ujmuje się za literaturą współczesną, nie zrywa jednak stanowczo z zastarzałym sposobem dawania nauki poglądów, definicyi z góry, a nawet samemu nauczycielowi pozwala powtarzać gotowe, wyrobione sądy (str. 456): w dzisiejszej szkole wszelka teoria może się tylko na materyale poznanym opierać, coby zaś z niego przechodziło zdolności uczniów, nie kwalifikuje się do szkoły. Ważność przedmiotu i podjęte w jak najlepszej intencji przez szanownego tłumacza studjum, nie pozwala nam na tém miejscu krótkimi słowy sprawozdania wyrokować stanowczo o wartości tej pracy, której zresztą specjalna krytyka dotąd nie próbowała sprawiedliwie ocenić. Co się zaś tyczy całego dzieła Bain'a, omawiały je w swoim czasie, to jest w drugiej połowie roku zeszłego, nawet pisma codzienne, nie szczędząc pochwał przy ogólnikowych tylko restrykcyach; relacje takie literackie nie wystarczają, dzieło Bain'a czeka na gruntowny rozbiór naukowego pedagogicznego pióra.

Księdza Chełmickiego trzeba policzyć do rzędu kapłanów zasługujących się w literaturze pedagogicznej, nietylko w formie kazań z ambony głoszonych („O obowiązkach rodziców,” 1879), ale i przez tłumaczenie dzieł tak głośnych, jak książka biskupa Dupanloup'a, : „O wykształceniu kobiety.” Publiczność nasza chętnie czyta prace niezbyt dawno zmarłego uczonego biskupa, bo już w r. 1873 przyswojono literaturze naszej sympatyczną jego książkę p. t.: „Dziecię.” Wybór ks. Chełmickiego dzieła: „O wykształceniu kobiety,” nie uważamy za szczęśliwy, bo przedmiot sam nie licuje do naszych stosunków i do naszych zwyczajów. Jest tu mowa o wykształceniu kobiet światowych, których niewiele w trudnych naszych stosunkach; któraby zaś koniecznie miała

do tego pretensją, zrozumieć chyba książkę i po francuzku, jeśli ją przed Zolą weźmie do ręki. Rzecz ta we Francyi mogła mieć wielkie znaczenie, choćby dlatego, że biskup nie zabrania wyższej nauki damom wielkiego świata, a nawet naznacza im bardzo szeroki program studyów; u nas może się czytać z przyjemnością w wybornym zwłaszcza przekładzie ks. Chełmickiego; ale cóż Polce przyjdzie z tego, że przeczyta cały spis dzieł i autorów, które ks. biskup Francuzkom czytać radzi; w kwestyi zaś programu wykształcenia polskiej kobiety nie możemy nawet ks. Dupanloupowi przyznać decydującego głosu, tylko doradczy. Że kobiety francuzkie są próżne i bezmyślne, że czczość i nuda zaprowadzić mogą na manowce, że opinia znęca się niemiłosiernie nad kobietą pseudo-uczoną, że nauczanie kobiet we Francyi, podobnie jak u nas, jest nadmierne co do ilości, a jałowe co do jakości; to wszystko są rzeczy, o których nie dopiéro z tej książki się dowiadujemy. W każdym razie przekład jój nie będzie bez korzyści dla niektórych kobiet, dla tych zwłaszcza, które przedtém wiele już rzeczy potrzebniejszych przeczytały. Kobieta polska ma dziś bardzo wiele obowiązków koło siebie, tak, że nie powinna chorować na nudy, któreby dyletantycznym bawieniem się w abstrakcyjne wiadomości rozpraszać potrzebowała. Przy dzisiejszych warunkach życia i szkoły spada teraz większy ciężar na rodzinę, niż dawniej: każda matka powinna spełniać jak najtroskliwiej, jak najumiejtniej swoje zadanie. Zapewne w tym celu przed kilku laty redakcja „Bluszczu,” pod kierunkiem Maryi Ilnickiej, ogłosiła konkurs na dzieło „O wychowaniu macierzyńskim.”

Konkurs ten nie mógł odrazu przyjść do skutku, gdyż nadesłano zbyt mierne elukubracye, co świadczy o małej liczbie uzdolnionych do takiej pracy kobiet. Dopiero po powtórnie ogłoszeniu konkursu, można było wybrać jeden z rękopismów i uznać go, po zaproponowaniu autorce pewnych zmian i uzupełnień, za godny uwieszczenia. Autorką tą jest p. Zofia Kowerska, a dzieło jój ma w roku bieżącym być wydrukowanym. Tymczasem ukazała się inna książka: „O powinnościach matek i wpływie, jaki ze swego stanowiska na społeczeństwo wywierać mogą,” przez Lusławę, autorkę „Powieści ludowych.”

Zdaje nam się, że jestto jedna z prac odrzuconych na konkursie „Bluszczu.” Nie uprzedziło nas to wcale do książki; owszem, przeczytaliśmy ją tém pilniej. Autorka, kobieta wykształcona, pojmuje i kocha obowiązki matki, ma nawet dosyć doświadczenia w tym względzie; brak jój jednak najważniejszego warunku do napisania podobnego dzieła, to jest brak jój specjalnych studyów pedagogicznych, brak metody. Pióro beletrystyczne nie jest jeszcze piórem myślicielki. To, cośmy powiedzieli, uwalnia nas od szczegółowego rozbioru dzieła. Znajdujemy tam wiele cytat z różnych języków, nawet myśliciele greccy przemawiają po francuzku, a największą powagą pedagogiczną dla autorki jest Wiktor Hugo. Jest tam coś i o pani Hofman (pewnie Hofmanowej) i o pensyi p. Geurin i o konforcie synów autorki, a już co nas najwię-



cją zajęło, to humorystyczne i nie bez zdolności przedstawione obrazki karciarzy i starych kawalerów. Z tego widzimy, że książka nie może rościć sobie prawa do systematycznego dzieła; lecz co najwięcej, możnaby ją nazwać szeregiem luźnych gawęd, nie stojących na stanowisku współczesnych pojęć pedagogicznych. Pisała je autorka, jak sama mówi, odrywając się często do gospodarstwa, wyjmując kluczyki z za pasa. To zwierzenie dostatecznie charakteryzuje metodę autorki.

Świeżo wyszła z druku w Wilnie książka p. Waleryi Marrené'owej p. t.: „Przesady w wychowaniu.” Pani Marrené znana literatka w dziedzinie powieściopisarstwa, wstąpiła na pole pedagogiczne najprzód w kierunku beletrystycznym. Pomieściwszy w „Szlachetnej Zabawie,” wydawanej przez Nowickiego, dwie pierwsze powiastki dla dzieci: „Fortepian Helenki” (r. 1878) i „Z pamiętników pensyonaarki” (r. 1880), następnie ogłosiwszy oddzielnie powiastkę szerszych nieco rozmiarów p. t.: „Kazio,” zdobyła sobie pewne uznanie, jako autorka powieści dla dzieci w nowym kierunku, tak pomyślnie uprawianym w Anglii. Wpływ literatury psychologiczno-pedagogicznej angielskiej znajdujemy i w „Przesadach,” o których kilka słów wzmiankować zamierzamy.

Praca ta nie jest widocznie rezultatem dłuższych samodzielnych studyów pedagogicznych; jest to raczej owoc upodobania sobie przez autorkę poważnych poglądów uczonych psychologów angielskich jak Spencer, Bain, Sidney, Smith i innych, przy wielu spostrzeżeniach zaczerpniętych z naszych zwyczajów i obyczajów. Wrodzona zdolność autorki, ruchliwość myśli i swobodny polot fantazyi odbija się i w tej pracy, która w niektórych ustępach zdaje nam się być nie dosyć wszechstronnie przemyślaną i dokładnie wykończoną (str. 43, 44, cf. rozdz. X, „ćwiczenie pamięci i lingwistyki”). Do lepszych ustępów, zawierających wiele trafnych uwag, zaliczamy rozdział XV „o kształceniu woli,” tudzież XXI „o zabawach.” Nie myślimy robić autorce zarzutu z tego powodu, że prawie wcale nie uwzględniła pierwiastku religijnego, gdyż nie mamy przed sobą wykładu całego systemu wychowania, ale tylko zwrócenie uwagi na niektóre błędne poglądy w wychowaniu, do których przecie idei religijnych policzyć nie można. Dla tej samej przyczyny nie mamy za złe autorce, że nie mówi nic o wychowawczém znaczeniu idei narodowości. Tytuł dziełka „Przesady w wychowaniu,” nastęrcza referentowi nie małe trudności w sprawiedliwem ocenieniu tej pracy, bo nie łatwo z niego odgadnąć osnowę książki. Pani Marrené nie pisze też właściwie „o przesadach,” które to pojęcie łączy nasz język z zjawiskami religijnymi, ale nigdy z „panowaniem idei chwili” (str. 7). Autorka zwraca raczej uwagę czytelnika na niektóre „sporne punkta pedagogiczne,” które według jej zdania powszechnemi są błędami. Nie mogliśmy też z tego dziełka wskazać czytelnikowi wyraźnie zaczepionych przez p. Marrené „przesądów,” bo niepodobna przecież uważać za przesąd np. tego zdania, że „matka jest najlepszą wychowawczynią dziecka” (str. 16), że „oj-

ciec powinien być surowy a matka łagodną“ (str. 21), że poziom wykształcenia kobiety nie dorównywa wykształceniu mężczyźni i t. p. Mogą w sferze tych pojęć panować jeszcze błędne zapatrywania się nie tylko u nas, ale i w reszcie ucywilizowanego świata, które z postępem czasu w sposób naturalny się wyjaśnia; ale nie są to pod żadnym pozorem „przesady“, któreby odróżniały ciemnotę azjatycką od światła europejskiego. Autorka objaśnia nas sama, że nie podejmuje naukowego zadania, ale pragnie w popularnym rozbiorze zastanowić się nad rozmaitemi zadaniami wychowania; nie pojmujemy jednak przyczyny, dla której w tak ostentacyjnym przeciwstawieniu „poświęca pracę swoją nie ludziom nauki,“ ale „ludziom dobrej woli.“ Gotowiliśmy taki antagonizm uważać za bardzo szkodliwy „przesąd.“ Według p. Marrené, „opiera się pedagogika z jednej strony na psychofizjologii, z drugiej na naukach społecznych i datuje znaczenie pedagogiki od wielkiego ruchu umysłowego XVIII wieku“ (str. 10). Nie mamy zamiaru wywracać tych błędów, obrażających naukę pedagogii historycznej; ale rozumiemy nieszczęśliwą konsekwencję płynącą z tego twierdzenia w zdaniu, że „życie ma swoją głęboką logikę, która jest zarazem jego moralnością i udziela ciągle szorstkich, nieubłaganych nauk“ (str. 22). P. Marrené zapomina tu o zasadach etyki, do której nas w pracy swojej wielokrotnie odsyła. Autorka pojmując całą pracę wychowawczą zanadto mechanicznie: niekiedy zdaje się, jak gdyby dzieło wychowania można z taką akuracnością, z taką empiryczną precyzją ustawić i poruszać jak się porusza maszyna przez nasmarowanie pojedynczych panewek i przez nasunięcie odpowiednich trybów. Spencer i Bain, mając na względzie stosunki angielskie, mogą wiele rzeczy inaczej pojmować; ale my wśród naszych odmiennych i zupełnie wyjątkowych warunków musimy i w dziele edukacji rządzić się nie samymi abstrakcyjnymi teoryjami, nie jednostronną doktryną, ale jasnym naukowym poglądem na wszystkie warunki naszego położenia, pamiętając zawsze o tej zasadzie, zalecaniej już przez komisją edukacyjną każdemu nauczycielowi, aby zawsze pamiętał o tém, że „choć z dziećmi sprawa, jest to z ludźmi sprawa!“

Oprócz wskazanych powyżej mniejszych lub większych prac z dziedziny dydaktyki i praktyki szkolnej, obok niektórych dzieł, obejmujących cały system nauki pedagogiki, musimy jeszcze w tym przegłędzie wrócić uwagę czytelnika na te prace, które wielkie mają znaczenie dla pedagogiki historycznej, zanim sprawozdaniem o I-ym tomie „Encyklopedyi wychowawczej,“ będącej dziś najpoważniejszym naukowym przedsięwzięciem na polu pedagogiki, zamknąć zdołamy pierwszą część niniejszego „Przeglądu pedagogicznego.“

Akademia umiejętności w Krakowie utworzyła w gronie swoim osobną komisją dla badania historii oświaty w Polsce. Komisja ta rozpoczęła prace swoje od wydania ważnego nader dzieła p. t.: „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce,“ 1878, t. I. W tomie tym znachodzimy następujące ważne materiały do historii oświa-

ty i wychowania publicznego w Polsce. Czytamy tam: 1) Statuta kolegium większego Uniwersytetu krakowskiego; 2) Statuta kolegium mniejszego Uniwersytetu krakowskiego; 3) Statuta wydziału teologicznego, które obok wydanych już dawniej statutów wydziału filozoficznego (przez Muczковского), prawniczego (d-ra Burzyńskiego), i lekarskiego (d-ra Majera) uzupełniają materiały urzędowy do historii Uniwersytetu jagiellońskiego; 4) Wizytę szkół przez księdza Hołowczyca z rozkazu komisji edukacyjnej przedsięwziętą, 1782 r. (str. 21--70), przedstawiającą dokładny obraz szkół w południowo-zachodniej części krajów dawniej Rzplitej polskiej; 5) Zapiski i dokumenta do dziejów instrukcji publicznej w Polsce od 1812—1821 r.; 6) Przyczynek do początku romantyzmu w Polsce w rozprawie Fr. Wężyka: „O poezji dramatycznej;“ 7) Bibliografią historii literatury z roku 1877 i 1878.

Jan Zaruski sporządził treściwy wyciąg z sześciu tomów (wyd. w Warszawie roku 1865—1868) przepisów wydziału oświecenia, obejmujących wiadomości o szkołach w dawniej Polsce od najdawniejszych czasów, i wydał p. t.: „Dawne wychowanie szkolne, notaty ze zbioru przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego.“ Warsz., 1878 r.

Nikt nie zaprzeczy, że rozpoczęcie wydawnictwa „Encyklopedyi wychowawczej“ pod redakcją ks. Lubomirskiego, Stawiskiego, Przystańskiego i Plebańskiego, którym przyrzekło współudział stu kilkudziesięciu współpracowników, jest wydarzeniem, w obecnych zwłaszcza naszych warunkach, ważnym na naszym polu pedagogicznem. O ile z perspektyw i z wydrukowanego już pierwszego tomu wnosić można, wydawnictwo to pojęto na szerszą skalę, oparto na podstawie tradycyjnonarodowej i oświetlono je jasnymi promieniami wiedzy uniwersalnej. Dzieło ma zawrzeć w sobie nie tylko wszystko to, co się do wychowania i nauczania odnosi, ale i to, co jakkolwiek z ważnym tym przedmiotem związek mieć może. Nie będzie to tylko zregestrowanie materiału pedagogicznego, to, co już wyszło, przedstawia bowiem szereg gruntownych wyczerpujących rozpraw w różnych materjach pedagogicznych.

Zaznaczywszy w ten sposób doniosłość tego dzieła, nadmieniamy, że rozmaite można słyścić opinie co do zadania, jakie praca taka ma do spełnienia. Zdania te, formułowane zanadto z abstrakcyjnego stanowiska, nie rachują się ani z dzisiejszemi warunkami, ani z potrzebami, nie mówię już przyszłości, ale nawet ani z potrzebami chwili obecnej.

Niektórzy dowodzą, że ogół nasz, jako mało obeznany z kwestjami tego rodzaju, nie wiele skorzysta z tej „Encyklopedyi;“ będzie ona dla niego jak słownik obcego całkiem języka, w którym ma szukać znaczenia wyrazów, nie znając samych wyrazów. Wypadałoby najprzód spopularyzować najważniejsze kwestje pedagogiczne, aby wywołać potrzebę bliższego radzenia się „Encyklopedyi“ w tych kwestjach. Zarzut powyższy podnoszą ci, którzy mieszają z sobą encyklopedyą leksykalną z encyklopedyą fachową, specjalną, — albo którzy



różnicy tej w ogóle nie znają, a zadowoleni ze swojej wyjątkowej, jak sądzą wiedzy, nie widzą około siebie nic więcej tylko dziką pustynię. Nie zaprzeczy jednak nikt, że pewna część ogółu nie jest znowu tak surową w tym przedmiocie, jak ci, nie wiem czy pesymiści czy aroganci sądzą, a potem zwrócić trzeba na to uwagę, iż zadanie „Encyklopedyi“ nie kończy się z obecną chwilą; ale sięga w dalszą przyszłość. Encyklopedia wcale rozpowszechnieniu się pojęć pedagogicznych nie przeszkadza, owszem przyczyni się do niego, jeśli nie bezpośrednio, to chociaż pośrednio, budząc coraz większe zajęcie się temi kwestyami. Kilka lat potrzeba, a kwestye pedagogiczne przy pomocy prasy peryodycznej, podnoszącej głos z powodu drukujących się w „Encyklopedyi“ mniej lub więcej ważnych artykułów, nie będą już dla szerszej publiczności taką terra incognita, jak dzisiaj niektórzy sądzą. „Encyklopedia“ może właśnie pobudzić ogół do większego zainteresowania się kwestyami pedagogicznymi i do obeznania się z nimi. Nastęrcza się tu inne ważniejsze pytanie: czy „Encyklopedia“ ma być popularną, treściwą, obliczoną na rozpowszechnienie wiedzy pedagogicznej w masach, czy ma być dziełem uczoneń, kilkutomowym, obliczonem na biblioteki i poważnych badaczy. Z prospektu sądziliśmy pierwsze <sup>1)</sup>, z dotychczasowych zeszytów sądzimy drugie;

<sup>1)</sup> Ponieważ głoszone o „Encyklopedyi Wychowawczej” opinie, rzadko kiedy rachują się z zadaniem, jakie sobie Redakcyja Encyklopedyi Wychowawczej określiła, lecz patrząc na tę pracę zdaleka i powierzchownie, nie szczegledzą jej rad i przepisów, które głównemu zadaniu nie odpowiadają; przeto uważamy za pożyteczne powołać tu ważniejsze ustępy ogłoszonego programu Encyklopedyi. Zwrócenie uwagi na ten przedmiot może być i z tego powodu pożytecznem, że objaśni szerszą publiczność o zamierzonym celu i zachęci ludzi naukowych do współpracownictwa. Czytamy tedy w powołanym programie, zawierającym spis wyrazów Encyklopedyi Wychowawczej, co następuje: „Przedewszystkiem zwracamy uwagę na to, że Redakcyja zamierza wydać Encyklopedyę fachową, która swoją wyłącznie naukową pedagogiczną cechą wybitnie odróżniać się powinna od zwyczajnych Encyklopedyi powszechnych, od tak zwanych konwersationsleksykonów. Nie można tu zatem poprzestać ani na leksykograficznem objaśnieniu wyrazu, ani też na powszechniej o przedmiocie szkolnym wiadomości, jak w Encyklopedyach powszechnych; ale trzeba zgłębić naukowo całą pedagogiczną treść danego przedmiotu. Według przyswieszcającej całemu wydawnictwu idei, dzieło to dopiero wtenczas dopnie zamierzonego celu, gdy będzie zawierało gruntownie opracowane wiadomości z nauk pedagogicznych, przydatne nietylko samym rodzicom, ale i nauczycielom prywatnym, kształcącej się młodzieży średnich i wyższych zakładów naukowych, tak filologicznych, jako i realnych, technologicznych i t. p.; gdy będzie zawierało szczegółowe informacye nietylko dla pedagogów z powołania, zwierzchników zakładów edukacyjnych, ale i dla ogółu uczonych. Brak takiego dzieła w naszej literaturze powszechnie czuć się daje. Wobec zmieniających się często systemów edukacyi publicznej i języka

nie wyobrażamy sobie drogi pośredniej. Gdyby bowiem Redakcja zechciała dążyć do jaknajprędszego ukończenia wydawnictwa, dzieło straciłoby na harmonijnym układzie i równomierném obrobie treści; dla tego witamy w „Encyklopedyi“ dzieło naukowe, mieszczące w sobie z całą gruntownością opracowane monografie pedagogicznych kwestyj z całego obszaru szkoły i wychowania, których w dotychczasowej naszej literaturze nie znajdujemy. Gdzież bowiem szukać np. wyczerpującej historii którejkolwiek gałęzi nauki szkolnej, zestawienia

wykładowego w kraju i wobec braku dokładnych podręczników szkolnych, potrzeba dzieła, któreby wiernie strzegło czystości języka i uznanych terminów naukowych i szkolnych, kwestyonowaną nie będzie, zwłaszcza, że względ na obszerne zadanie edukacji prywatnej, przy utrudnionym nadzwyczaj dla zbyt wielkiej liczby kandydatów, przystępie do szkół rządowych, nakazuje nam oświecać rodziców i prywatnych nauczycieli, aby młodzież jednostajnie podług panujących powszechnie zasad instrukcyi publicznej kształconą być mogła. Względ ten każe nam jak najsumienniejsz zbierać i opracowywać nie tylko statystykę, ale i programata nauk znakomitszych zakładów naukowych i specjalnych w całej Europie, aby rodzice mogli dla dzieci swoich, po uzyskaniu świadectwa dojrzałości, wybrać zakład, pożądanemu zawodowi najbardziej odpowiadający.

Redakcja pragnie tedy, aby autorowie, uznający słuszność powyższych uwag, nie spuszczaży z oka tych przeważnie praktycznych, że tak powiemy, względów i dzieło nasze w tym kierunku skutecznie wesprzęczyli.

Wobec takiego zadania uważa Redakcja za konieczne, aby każdy artykuł dla Encyklopedyi Wychowawczej był opracowany według metody historyczno-krytycznej. Powinien tedy autor uwydatnić treściwie najprzód historyczną stronę przedmiotu, potem powinien dać relacyą ściśle pedagogiczną jego treści, w ogóle całego pedagogicznego materiału, przez dany artykuł reprezentowanego; dalej powinien wypowiedzieć zwięzły krytyczny sąd o naukowej, pedagogicznej wartości w mowie będącego przedmiotu, z wykazaniem wpływu, jaki ten fakt pedagogiczny mógł wyrzucić na postęp pedagogiki, tak pod względem metodologicznym, jako i instrukcyjno-szkolnym. Sąd ten opierać się winien nie na żadnych dowolnych kombinacyach, ale powinien płynąć ze skarbu wiedzy, jaką dotychczas zdobyła nauka psychologii i etyki.

Dla uzupełnienia całkowitego przeglądu źródeł i dzieł o tym przedmiocie traktujących, t. j. wymagamy krótkiego przedstawienia całego aparatu bibliograficzno-krytycznego.

Z tego wynika, że każdy artykuł powinien wyczerpywać przedmiot pod względem pedagogicznym (rzeczy przeważnie historycznej natury muszą być tylko dla objaśnienia całości wskazano, ale nie opowiadane, np. niezaszczytne postęпки polityczne Bakona Werulamskiego); powinien stanowić sam w sobie dokładną, zaokrągloną całość: słowem, powinna to być naukowa monografia przedmiotu pedagogicznego, według metody historyczno-krytycznej opracowana.

*Przyp. Red.*

i krytycznego ocenienia jej podręczników pod względem dydaktycznej i metodycznej ich wartości, jeśli nie w „Encyklopedyi pedagogicznej;“ gdzie np. szukać bibliografii pedagogicznej i wielu szczegółów, odnoszących się do historii oświaty i szkoły, rozproszonych nie tylko po archiwach, ale po różnych mniej bezpiecznych zakątkach. Pragniemy więc takiej „Encyklopedyi,“ któraby wyczerpywała do gruntu cały materiał pedagogiczny. Idzie tu przede wszystkim o rzeczy swojskie, tak mało dotąd opracowane, a przez redakcyą „Encyklopedyi“ z widoczną troskliwością uwzględniane. Dzieło takie nie spopularyzuje się wprawdzie, nie stanie się własnością każdego biedniejszego nawet nauczyciela; ale i to zależy może od mniej lub więcej życzliwego skutecznego poparcia publiczności, która nie wielką, ale liczną ofiarnością na drodze prenumeraty może dziełu temu jak najszerze otworzyć pole, zwłaszcza że wydawnictwo to zysków żadnych nie szuka. W takim położeniu jest spopularyzowanie tego, co będzie opracowane, rzeczą drugorzędną i bardzo łatwą. Jeśli się okaże potrzeba, nawet łatwo później będzie można przygotować „Encyklopedyą skróconą,“ jak się stało z wielką „Encyklopedyą Orgelbranda,“ z której potem bez wielkiego zachodu mniejsze powstały. Obecnie możemy tylko cieszyć się, że redakcyą, nie oglądając się na ogrom kosztów, pojęła swoje zadanie w sposób najobszerniejszy. „Encyklopedia wychowawcza“ leży nam bardzo na sercu, chcielibyśmy, aby wyszła monumentalna, jednolita, marmurowa; dlatego smucimy się, skoro spostrzeczemy najmniejszą niedokładność choćby pod względem zewnętrznego układu tylko. Redakcyą sama nie jest w stanie wszystkim trudnościom zapobiedz; zależy tu wiele, bardzo wiele od autorów, którzy nie zawsze trzymają się „Objasnień“ jakie im rozesłano, nie zawsze dość skrupulatnie cytują źródła (por. art. „Antropologia“), słowem, nie zawsze pamiętają o tem, że „Encyklopedia wychowawcza“ wymaga wyczerpującej naukowej monografii szkolnego przedmiotu. Z powierzchownej roboty, podpisanej przez znanego w świecie naukowym autora, którego indywidualności naruszać nie można, nie wiele zbuduje najwszechstronniejsza redakcyą; dlatego uważamy za obowiązek prasy, aby nie ustawała w nawoływaniu uczonych naszych pedagogów do gruntownej, naukowej, systematycznej pracy; aby im wytykała uchybienia, jakie się w ich artykułach okażą w skutek niezwracania uwagi na zasady programu przez Redakcyą, z możliwą dokładnością ogłoszonego. Prasa nie powinna znać tych względów, które mogą krępować Redakcyą względem swoich współpracowników, dlatego nie powinna pokrywać milczeniem niedostatków pojedynczych artykułów, bo taka pobłażliwość nadwreżałaby powagę tak pożytecznego przedsięwzięcia. Gdyby p. Radliński dokładnie uwzględnił był różnicę, jaka zachodzi między encyklopedyą fachową a encyklopedyą umiejętności i nauk, to byłby w artykule „Abecadło“ pilniejszą zwrócił uwagę na stronę pedagogiczną tego przedmiotu. Gdyby p. J. Sz. był więcej pamiętał o różnicy między encyklopedyą fachową a encyklopedyą powszechną, był-



by w artykule „Akademie jako Towarzystwa uczone“ (II), nie zaniedbał przedmiotu pedagogicznego i t. p.

W artykułach „Ameryka“ nie podano w taki sposób i tyle materiału pedagogicznego, jak się domagają objaśnienia na str. XII. Specjalna krytyka artykułów treści matematycznej wykazała pewne niedokładności, których w dalszym ciągu dzieła autorowie pokrewnych sobie artykułów unikać powinni. Autorowie artykułów, zbliżających się do siebie treścią, dbając o harmonię i odpowiednie prace ustosunkowanie, powinni się z sobą porozumiewać. Nie znaleźliśmy tego np. w rozprawach o „Arytmetyce“ i „Algebrze.“ Przedmioty te tak sąsiadują z sobą w dziedzinie nauk matematycznych, tak przystają prawie do siebie, a opracowano je bardzo nierównomiernie. Autorowie widocznie nie porozumiewali się z sobą, co do wymiarów jednej i drugiej monografii; ztąd mamy np. historią podręczników arytmetycznych tak doskonałą, że żadna inna literatura czémś podobnym nie łątwo się poszczyci; nie znajdujemy zaś przeglądu podręczników algebraicznych, tak jakbyśmy na tém polu nie pracowali wcale, a przecież tak nie jest. Redakcja żąda w swoim programacie (str. XI „Objaśnień,“ druga edycja): „autor powinien w końcu każdego swego artykułu wypowiedzieć zwięzły krytyczny sąd o naukowej, **pedagogicznej** wartości w mowie będącego przedmiotu, z wykazaniem wpływu, jaki ten **fakt** pedagogiczny, o którym mowa, mógł wyrzucić na postęp pedagogiki tak pod względem metodologicznym jako i instrukcyjno-szkolnym. Sąd ten opierać się winien nie na żadnych dowolnych kombinacjach; ale powinien płynąć ze skarbu wiedzy, jaką dotychczas zdobyła nauka psychologii i etyki.“ Zdaje się, że to żądanie bardzo jasne i ze wszechmiar usprawiedliwione, bo w niem mieści się właśnie cała konkluzja pedagogiczna, w niem zawiera się niejako praktyczne zastosowanie wiedzy pedagogicznej; a mimo to zaledwo kilku autorów zwraca uwagę swoją na ten warunek, a niedostatkowi temu bardzo często Redakcja zaradzić nie może bez naruszenia indywidualnego poglądu autorów, z którymi niepodobna przecie ciągle podnosić kontrowersul

Pierwszy dotychczas wydany tom jest tylko małą częsteczką dzieła, które zapowiada się bardzo poważnie, tak, że śmiało wytrzymuje porównanie z podobnemi dziełami zagranicznymi, które nawet (nie mówiąc już o rzeczach swojskich) w specjalnych artykułach korzystnie przewyższa. Dotychczasowe doświadczenie redakcyi i wzór jaki mają autorowie w wielu dokładnych monografiach, pochodzących nietylko z grona samej redakcyi, ale i od niektórych współpracowników, wprowadzi już tę sprawę na jasną, prostą i pewną drogę, tak, że dostrzeżone dotychczas małe niedokładności usunąć się dadzą przy troskliwości Redakcyi i po objaśnieniu się dokładnym wszystkich współpracowników. Powinniśmy popierać to wydawnictwo, które nietylko zostanie pięknym pomnikiem w naszej literaturze, ale świadczyć będzie wymownie o tém, żeśmy w najtrudniejszych warunkach nie zaniedbali tego, co stanowi o przyszłości narodu.

(Dok. nast.).

# Kronika poznańska.

PRZEZ

*Ludwika Żychlińskiego.*

Daremne zabiegi przeciwko szkodliwym skutkom praw majowych i przepisów językowych.—Rewizya urzędowa potwierdza dotychczasowy system niemczenia.—Przekręcanie nazwisk w aktach stanu cywilnego.—Zawziętość systemu germanizacyjnego.—Rada ekonomiczna.—Nagłość reform i jej szkodliwe skutki.—Kwestya cechów fakultatywnych i łączność téj kwestyi ze stanowiskiem żydów.—Nasze stanowisko względem kwestyi żydów.—O reformie podatków.—Potworny projekt do prawa o nowéj a wyjątkowéj ordynacyi powiatowéj dla W. Ks. Poznańskiego.—Nienawiść prusaczyzny u góry i u dołu ku nam, podniecona przez budzącą się polskość w Górnym Szlązku.—Nowe książki, a przedewszystkiém „Literatura poznańska w I-szém połowie b. stulecia.“—Dwutygodnik dla kobiet i J. I. Kraszewski.—Towarzystwo Przyj. Nauk.—Prelekcji szereg w Tow. przemysłowém Poznańskiem.—Prof. hr. Tarnowski odczyt poznański „O Balladynie.“—Towarzystwo czytelní ludowych.—Kasa pośmiertna nauczycieli, występy amatorskie na cele dobroczynne.—Towarzystwo Ś. Wincentego a Paulo w Poznaniu.—Zastraszająca emigracya ludu naszego do Ameryki.—† Książę Adam Konst. Czartoryski; † Ks. Franciszek Malinowski.—Prąd ekonomiczno-techniczny.—Kwestya wiecu. — Hr. Adolf Bniński.

Nie pomagają nam ani obronne mowy naszych posłów, ani dokumenta, za pomocą których się bronimy w naszym czyścicu prusaczyzny. Lasciate ogni speranza, oto treść odpowiedzi, jaką słyszemy z ust prusaczyzny w wszelkich kierunkach. W sejmie pruskim, który niedawno zasiadał, wykazano, iż prawa t. z. majowe, coraz większą sprowadzają klęskę moralną, że w ogóle w państwie Pruskim brakuje 1770 księży, w szczególności zaś w Poznańskiem 265; podawano wnioski gorliwie przez nas poparte, a mające na celu zniesienie tymczasowe, chociażby tych przepisów, które nie pozwalają odprawiać mszy i udzielać Sakramentów ŚŚ., jak tylko tym duchownym, którzy, przed ogłoszeniem praw majowych, posady swe dzierżyli; minister wskazał w od-

powiedzi na istniejące prawodawstwo, które w czynności czysto kościelnej natury, widzi zarazem czynność istotnego urzędnika państwowego. W ostatnich miesiącach znów dopominaliśmy się bezustannie i natarczywie, tak w petycyach, jak w mowach i w prasie, zmian jakichś w dzisiejszej praktyce używania szkoły za środek germanizacji, a co z tego wynika, za środek przytępienia ducha; wykazaliśmy, nie wiem po raz który, że skoro nauka we wszystkich szkołach po niemiecku jest udzielana, polski zaś język tak dalece jest upośledzony, iż nawet na promocyje nie wpływa, że w skutek tego i młodzież ucząca się coraz gorzej mówi i pisze po polsku, podczas gdy po niemiecku także się nie wykształca; dowodziliśmy datami, że zaledwie  $\frac{1}{3}$  polskich dzieci kończy np. szkoły t. zw. simultanne w mieście Poznaniu: powtórzono nam, choć w formie innej niż dawniej, że dopóki nie zostaniemy Prusakami, system dotychczasowy zmienionym być nie może, a gdy zprusaczajemy, zmienionym być nie potrzebuje!

Kiedy w ostatniej mej korespondencji napomknąłem był, iż ankieta (?) szkolna z ramienia ministeryum nakazaną u nas została, aby wypośredkować, jakie owoce przyniosła dotychczasowa metoda, wyraziłem słabą tylko nadzieję pomyślnego rezultatu, dodając równocześnie, że może jeszcze gorzej na téj ankiecie wyjdziemy. I tak się stało. Miano na uwadze, jak się pokazało, raczej paplanie językiem niemieckim, aniżeli przyswojenie go sobie, i dlatego wydano sąd, że wszystko jaknajlepiej w szkołach naszych dąży do celu, t. j. do coraz dokładniejszego posiadania języka niemieckiego.

Od czasu walki o zdobycze fałszywej kultury, utworzył rząd, jak nam wiadomo, osobnych urzędników do spraw stanu cywilnego. Zwykle miauuje na te posady Niemców, którzy cudactwa wyprawiają z polskimi nazwiskami. Prasa nasza, a na czele „Kuryer“, postarał się o szereg artykułów z prowincyi, w których wykazano rozliczne przekręcania nazwisk, dochodzące nieraz do rozmiarów potwornych. Czują na tak dosadne dowody nieprawności władza, nakazała nareszcie sprawdzenie danych, umieszczonych w artykułach pomienionych. I cóż się pokazało? Otóż, że „Kuryer“ i inne pisma, część tylko małą przekręcań podać zdołały, skoro w jednym powiecie stwierdziła władza nie mniej, jak 500 przekręceń, które teraz sądy rektyfikować powinny, a interesanci za rektyfikacje zapłacą nietylko gotowym groszem, ale i czasem na terminach zmuszonym. Byli tacy łatwowierni (o łatwowierność w sprawach politycznych u nas nietrudno), którzy od dzisiejszego ministra oświecenia, jako człowieka światłego, spodziewali się pewnej ulgi. Niechże poraż setny przekonają się, że czy słynny Niemiec Falk, czy zgermanizowany Słowianin Puttkammer, dzierży tekę ministeryalną, na jedno wyjdzie dla nas, skoro nie ten lub ów minister przepisuje drogi, ale system, a system ten kwitnie nawet pod tchnieniem zimowego Boreasza, i nie możemy na razie dopatrzeć tego przejmującego mrozu, któryby go tak prędko miał zwarzyć.



Wzywano nas tylokrotnie, abyśmy w rzeczach materyalnych nie odłączali się od ludności niemieckiej, bo one nie mają nic do czynienia z antagonizmem, jaki mieszkańcowi Księstwa z kądinąd dzieli; ale gdy przyszło do dania przykładu, iż nas władza nie odpycha na polu kwestyi ekonomicznych, cóż się pokazało? Otóż do nowo kreowanej dla całego państwa t. z. rady ekonomicznej, mającej zdawać opinią o różnych sprawach handlu, rolnictwa, rękodzielnictwa i t. d. i wedle tego téż utworzonej z wszystkich warstw społecznych, ani jednego nie wybrano Polaka, nawet na zastępcę.

Ta rada ekonomiczna jest dziełem Bismarcka i ma służyć za organ pomocniczy w urzędzeniu jego daleko sięgających planów ekonomicznych. Na teraz powierzono jej misją przedyskutowania ze stanowiska praktycznego tak ważnych projektów, jak projekt do prawa, mającego na celu zabezpieczenie robotników od klęsk wypadkowych. Nie możemy tu wchodzić w zasadnicze roztrząsanie projektu tego, powiemy tylko, że wielki czas, aby państwo więcej niż dotąd zajęło się losem ludu roboczego, przedewszystkiém zaś tam, gdzie jakiebądź fabryczne istnieją stosunki. Projekt ten przedewszystkiém pod jednym względem przyniesie zmianę na lepsze w stosunkach między chlebodawcami a robotnikami, t. j. usunie możność procesów i przez to usunie téż częste powody do niechęci. Wedle dawnego prawa, okaleczony przy robocie wyrobnik otrzymywał bowiem tylko wtenczas emeryturę, jeśli się w niczém sam nie przyczynił do swego nieszczęścia. Wedle nowego projektu wystarcza fakt okaleczenia. Ze stanowiska społecznego nadmienić trzeba, że Bismarck wchodzi tu na drogę, na jaką dotąd żadne nie weszło państwo, że, dalej, zamiar cesarsko niemieckiej asekuracji mieści w sobie zamach na autonomią państw, cesarstwo Niemieckie stanowiących. Wzmiankowana rada ekonomiczna zajmowała się prócz tego kwestyą cechów i w. i., a sprawy przez nią przedyskutowane przejrzy raz jeszcze Bismarck, aby z prawami odnośnemi wystąpić na sejmach niemieckich.

Tyle różnych kwestyi i ważnych i interesujących narzuca prawie bez wytchnienia rząd cesarski mieszkańcom, że gdyby mieli z każdą dobrze się obeznac, musieliby w znacznej części zaniedbać swoje bezpośrednio, prywatne interesa, albo musieliby mieć wiedzę tak wszechstronną, jaka tylko udziałem być może niewielkiej liczby. W takiem położeniu rzeczy rodzą się te skutki, iż społeczeństwo, nie mogąc się zorientować w reformach i projektach, pędzących jedne za drugimi, spostrzega najczęściej dopiero po skutkach, co one są warte; ale wtedy znów trudno zawrócić lub choćby tylko naprawić w części popełnione błędy. Czegóż od lat 10 nie poprzemieniał despotyzm niby konstytucyjnego Bismarcka, a ileżto rzeczom, zmienionym przez niego, nie grozi znowu dzisiaj nowa przemiana. A my z tych przemian przeszłych, terażniejszych a bodaj i przyszłych, zawsze równą wynosić winniemy naukę: nie oglądać się na nikogo, a pracować raczćj z całych sił na lepszą przyszłość... Prawdę wielką powiedział ongi dumnemu ze zwy-

cięztw szwedzkiemu królowi Starowski: fortuna variabilis, Deus mirabilis!

Wspomnieliśmy o kwestyi cechów. Jestto dla nas sprawa nie lada i musimy o nięj bliżej pomówić. W społeczném naszym życiu nabiera ona nawet, skoro ją zaczynają łączyć z kwestyą żydowską, znaczenia coraz większej doniosłości. Myśl przewodnicząca rządowi w utworzeniu cechów, jest następująca: samodzielni procederzyści nie mogą być zmuszeni do należenia do cechów, natomiast mają cechy z ramienia władz administracyjnych także otrzymać prerogatywy, iż interes własny procederzystów skłaniać ich będzie do wnijscia w stowarzyszenie cechowe. Proceder upada coraz bardziej moralnie, społecznie i technicznie, a to skutkiem nieograniczonej wolności procederu, która do niesłychanej dała powód konkurencji, w której żywiół żydowski główną gra rolę. Mnogie firmy krawieckie, szewckie, stolarskie, ślusarskie i t. d. są w ręku żydów, którzy się żadnego z tych procederów nie wyuczyle; normują oni dowolnie cenę za dostarczaną im pracę, z czego wynika, że towar jest wprawdzie tani ale lichy, a płaca zaledwie w przecięciu wystarcza na niezbędne robotnika potrzeby. Drobnny nasz przemysł nie często na własnej opiera się mocy, żyje on, przeciętnie rzecz wzięwszy, kapitałem żydowskim, wysługuje się magazynom większym. Spółki nasze pożyczkowe i inne podobne, mające na celu podźwignięcie niezamożnego rzemieślnika, bynajmniej jeszcze nie wyrobiły się należycie, a wypadki niektóre z ostatnich czasów, nie przyczyniły się zaiste do zaskarbienia coraz większego zaufania dla tych instytucji. I tak: jedna z podobnych instytucji w mieście Poznaniu wypłaciła, przy likwidacyi tylko 24 1/2% swym wierzycielom, gdzieindziej skrzywdzono spółkę o 7,000 tal. Na sejmiku spółek zarobkowych, odbytym w końcu grudnia r. z., okazało się z sprawozdania patrona, iż z 21 spółek przezeń zrewidowanych, 7 tylko porządkiem i dokładnością się odznaczyło. Wracając do założenia naszego, iż kwestya cechów, jak ją rząd podniósł, łączy się z myślą zapobieżenia upadkowi klasy rzemieślników, wyzyskiwanych przez kapitały żydowskie, nadmienić nam wypada, że społeczeństwo pruskie myśl tę w rozmaity już od dość dawna rozbięrało sposób. Ale jak się to zdarza, przynieszała się do całej tój sprawy agitacya nie lada w całych Prusiech; jedni oparli się na różnicy wyznaniowej, drudzy z społecznego raczěj pochwylicli rzecz stanowiska, byli i tacy, którzy ją wyzyskać nie omieszkali do celów stronnicych-politycznych. Dość, że dziś stanęły już dosyć wyraźnie dwa przeciw sobie obozy, t. zw. anti-semicki i filosemicki, i trudno przewidziéć ostateczny rezultat.

W Księstwie liczymy przeszło 60,000 żydów, ale przedewszystkiém nie jesteśmy za agitacyą religijną. Obok tego nie możemy lekceważyć faktu, iż wielka część żydów w W. Ks. Poznańskim działa szkodliwie na nasze społeczeństwo nie tylko przez lichwę, którą sami jaknajwyrafinowanięj się trudnią, ale i przez przykład, jaki dają niejednemu z chrześcian cheiwych łatwego zarobku; dalej, przez polityczną

ku nam niechęć. W mieście Poznaniu mianowicie występują zwykle żydzi przeciwko nam. W reprezentacji miejskiej, z małym wyjątkiem, są naszymi bezwyznaniowymi liberalnymi wrogami; do obalenia szkół wyznaniowych oni przeważnie się przyczynili. Potrzeba więc, aby złe wpływy żywiotu żydowskiego, stosowną znalazły zaporę w środkach administracyjnych, które z istniejącem prawodawstwem pogodzić się dadzą, albowiem szkoła i pewne urzędy mogą bez porzucenia zasady równouprawnienia, jak to widzimy w innych niemieckich krajach, wolnomyślnie rządzonych, odzyskać swój charakter społeczno-chrześcijański. Swoją zaś drogą powiedzmy w końcu sobie, że nauczyć się nam trzeba niejednego dobrego od żydów właśnie, nauczyć się, ile znaczy w życiu pracowitość, zabiegliwość i znajomość przedmiotu praktyczna, za młodu już nabywana.

Żydzi w W. Ks. Poznańskim stali się w ostatnim czasie przedmiotem studyów ze strony Niemców, w czém pismo, „Der Kultur-Kaempfer“ prym trzyma. W jednym z jego zeszytów, naszkicowane mamy zgrabném a ciętém przytém piórem te koleje, przez jakie zdobywają sobie przeciętnie żydzi tutejsi coraz lepsze stanowiska, mianowicie w powiatach wschodnich, graniczących z Królestwem. Nasamprzód zakłada sobie żyd mały handelek bądź na wsi bądź w mieście, wędruje z swemi zasobami po okolicy, szwarcuje przez granicę, wypożycza na lichwę, którą różnie urządza, bądź w monecie, bądź w naturaliach najrozmaitszego rodzaju. Z wszystkimi na dobrą stopie, tu przez małe zaliczki, tam przez pomoc swą w kojarzeniu małżeństw, owdzie przez wypełnienie delikatnych zleceń. Z żandarmem w jaknajlepszej zostaje komitywie, udziela mu wiadomości potrzebnych, a i niepotrzebnych, sam także czegoś od żandarma się dowiaduje... Jużto z podrzędnymi organami władzy stara się w jaknajlepszych pozostawać stosunkach, przyczém przecież nie zaniedbuje i u ludności zyskiwać pewnego uznania. Gdy już sobie kilka tysięcy talarów uzbierał, a dzieci podрастаć zaczęły, przeprowadza się do powiatowego miasteczka, gdzie kupuje kamieniczkę i w niej zakłada handel towarów, dystylarnią lub coś podobnego. Mimo urzędowej firmy nie przestaje przecież na wskazaném przez nią zatrudnieniu; interesa pożyczkowe stale owszem główną grają rolę. Znajomości w społeczeństwie miejskiem robi na obszerną skalę, a nasamprzód poznajamia się z burmistrzem i rajcami, z doktorem i t. p. i jak tylko może, grzeczności im wyświadcza. Raz po razie znajdzie się z dygnitarzami miejskimi w restauracyi najnobliwszej miasta, do której uczęszcza sędzia, a w której czasem i naczelnik powiatu się pokaże. Rola jego skromna; siaduje na uboczu i nie miesza się do rozpraw tak długo, póki jaka odrębna okoliczność nie da mu pola do popisu. Raz odezwawszy się ze skutkiem, zaczyna zajmować miejsce bliższe honoracyorów, aż po pewnym czasie wchodzi już w stosunki towarzyskie. Należy do składek, mianowicie uczestniczy w wszelkich objawach patriotycznych-pruskich. Nieprzyjemnościom, jakie go z tego względu



spotykają ze strony niemieckiej, stara się zapobiedz zwierzeniem, iż go zmuszono do tych „bałamutnych głupstw.“ Zczasem staje się nasz Icek wpływową osobistością u władz zwłaszcza w sprawach wyborczych, politycznych. Z sędzią i innymi urzędnikami wszedł w pewną poufałość, ma wstęp do biur. Wie on wszystko, co dotyczy jego interesów, informacje jego są dokładne. Jeśli miasto jest znaczniejsze, jak np. Leszno, otrzymuje Icek tytuł radcy handlowego, dostaje się do reprezentacji miejskiej. Jeżeli miasto ma załogę, zdobywa sobie „grzecznościami“ oficerów. Zazdrość w prowadzeniu interesów, opinia pochlebna o jego patryotycznych uczuciach, zyskuje mu i naczelnika powiatu, który go rekomenduje w agenturze bankowej. Kredyt jego rośnie; pomaga on obywatelom wiejskim do kredytu bankowego swym podpisem, za 1% prowizji kwartalnej, bez żadnego naturalnie z swjej strony ryzyka. Wreszcie został bogatym człowiekiem; pośredniczy jeszcze czas niejaki obywatelom za grube pieniądze w otrzymaniu pożyczki od banków różnych hypotecznych. Pożyczka ta dobija zwykle obywatela, poczem Icek nabywa sam dobra takie, jeśli chce. Syt działania powiatowego, wynosi się potem do wielkiego miasta, gdzie urządza dom i przyjmuje. Wśród ludności poznańskiej cywilnej, jest tylko 7,000 żydów, a przecież połowa reprezentacji miejskiej składa się z żydów i przewodniczącym jest żyd. W izbie handlowej jest  $\frac{3}{4}$  żydów, w giełdzie sami żydzi. Miasto Bydgoszcz reprezentuje w Izbie Panów żyd; pomiędzy 6-ciu radcami, pięciu jest żydami; zawiadowca konkursów, sędzia konkursowy w Poznaniu, są żydami. Ci sami żydzi firmowi w Berlinie i Poznaniu, załatwiają interesa w Instytucie kredytowym ziemskim poznańskim, oraz interesa pieniężne samegoż Instytutu. Tym sposobem mają kurs Listów zastawnych w swém ręku. Władze potrzebują pomocy żydów przy wyborach przeciw Polakom. Wielu z żydów z Ks. Poznańskiego przesiedla się do Wrocławia, wielu i do Berlina. Grają tam pierwsze role na giełdach, dostają się do reprezentacji miejskiej, do magistratu, do towarzystw. Mają wykwintne salony, zapraszają i są zapraszani przez wyższe koła urzędnicze i arystokratyczne, które prawdopodobnie siedzą im w kieszeni.

Dla ilustrowania tutejszych stosunków, zdało mi się pożytecznym, udzielić wam najwydatniejszych danych z powyżej cytowanego obszernego szkicu.

Reforma podatków, która o tyle trudniejszą jest, im więcej się z nią łączy pierwszorzędných, głęboko w stosunki społeczne sięgających spraw i względów, powoli zaczyna wyraźniejsze pokazywać oblicze. Punkt ciężkości w dziele reformy podatków spoczywa, zdaje się, w opodatkowaniu komunalnym. Dodatki, jakich potrzebują gminy, wynoszą nieraz trzy aż do sześciu razy tyle, co bezpośrednio podatki rządowe. Wspomnieliśmy byli dawniej, że np. t. zw. szkolne dodatki, straszliwie nasze gminy obciążają i że niepodobna, aby tak dalej pozostać miało. Potrzeba tu reformy na podstawie realnych (?) podat-

ków. Samo przekazanie pewnych podatków gminom, nie wystarcza. Jak słyhać, i jak się pokazuje z pierwszych kroków władzy, ma być system dotychczasowy podatków bezpośrednich raczej poprawiony, aniżeli radykalnie zmieniony, przyczem wychodzi władza z tej zasady, że winny być, obok opodatkowania dochodu osobistego, podwyższone podatki od kapitałów, tak dobrze tych, które tkwią w procederze, jak i tych, które wprost procent przynoszą. Istniejący system bezpośrednich podatków, nie odpowiada bowiem o tyle zasadom słuszności, że nie posiada sposobu dokładnego wyśrodkowania dochodu od kapitałów ruchomych. Chodzi tedy o taki rozdział ciężarów podatkowych, aby ulgi doznały przeciążone dotąd klasy ludności, a mianowicie, aby najniższe warstwy podatkujących, które żyją z osobistego dziennego zarobku, zupełnie, ile możności, zwolnić od podatków. Własność gruntowa ma zaś tylko połowę dotychczasowej kwoty zasilać skarb państwa, podczas gdy druga połowa przekazana ma być powiatom.

Podniesiono znowu kwestyą ordynacyi powiatowej. Jakaż ordynacya obowiązuje u nas? Jaka jest, o to już dziś nie pytać, bo nowy zamach przeciw nam wymierzony został w postaci projektu do nowiej ordynacyi powiatowej, w której będziemy odgrywali rolę pariasów. Gdy przejdzie, nie omieszka bliżej nad nią się zastanowić; że przejdzie, ani wątpić, zważywszy, jak dalece władze pruskie zawzięte są przeciw nam, i jak dalece zawziętość tę podziela cała Prusacyzna. Stronniczość, połączona z lekceważeniem, wkradła się już do całej niemal prasy, a na dowód przytaczam fakt, że żadna mowa posła naszego nie bywa in extenso podawana, a luźne wzianki o występowaniu posłów naszych przerywają coraz częściej ironiczne wykrzykniki. Na ostatnie wywody posłów naszych, nawet nie raczył odpowiedzieć minister, pozwolił sobie przecież scharakteryzować występy te słowem *Wirbel*, t. j. *tuman*, *wir*. Poznańskie zastępy *Vaterlandu*, w znacznej naturalnie mierze przyczyniły się i przyczyniają do takiego przeciw nam występowania, bo nie szczędzą barw czarnych i czerwonych na odmalowanie naszego każdego kroku, czy publicznego, czy donioślejszego prywatnego. Wiecie, iż magistrat miasta Poznania nie chciał pozwolić na rabat od gazu dla teatru naszego, z czem się nie zgadzała reprezentacya miejska. Spór rozstrzygnąć miała rejencya poznańska. Otóż rozstrzygnęła go, ale naturalnie na stronę magistratu. Cóż się tu już dziwić? Wszakże nawet o to rejencya się troszczy, aby słowo *polnisch* przy *Lissa*, wygluzować z nomenklatury niemieckiej.

Nie potrzeba żadnej bystrości, aby dostrzedz, że na humor niegodziwy Prusacyzny w obec naszych spraw wpływa niepomiernie fakt, iż Górny Szlązk na seryo ożywiać się zaczyna, iż mieszkańcy tameczni bądź bezpośrednio, bądź pośrednio dopominają się coraz głośniej o jakieś ulgi dla języka swego macierzystego. Mniemała Prusacyzna, że już raz na zawsze zabiła te biedne dusze i że je zużytkować będzie mogła jako pognój do swiej kultury, a tu ją spotyka taka niespodzian-

ka! Mimowolnej ilustracji tego, co myślą nasi najserdeczniejsi, dostarczył nam głos jednego z posłów pruskich, który w lutym r. b. zawołał w Izbie: „Górnoszlązacy muszą, nie dziś to jutro, zostać Niemcami, skoro należą do Prus; cóż więc dopiero szamotać się mają ich rzecznicy, aby im ich język pozostawić, który tylko zawadę stanowi w dojściu do kultury!” Wiegę kultura, to synonim niemiecczyny u tych Ichmościów. Quousque tandem abutere patientia... zdrowo myślących ludzi całego świata.

Zaledwie ostatnią moją kronikę przesłałem, w której donosiłem między innymi rzeczami o szkicu literatury poznańskiej z pierwszej połowy bieżącego stulecia, umieszczonej w ramach „Przeglądu polskiego,” alichi niebawem ogłoszoną została ta piękna praca w osobnej książce w Poznaniu, nakładem Żupańskiego. Autor nie wiele wprawdzie dodał do uprzedniego szkicu, mimo to książka ta zasługuje na więcej aniżeli na wzmiankę pobieżną, jaką uczyniłem był wówczas, kiedy mi tylko o to chodziło, aby wspomnieć w ogóle o monografiach, jakich żywot poznański dostarczył dotychczas literaturze. Zaszczycenie znany historyk nasz wywiązał się, powiemy szczerze, znakomicie z swego zadania, a jeśli w toku rozbioru jego pracy wskażemy, w czym, zdaniem naszym, nieco zgrzeszył, nie wnioskujcie zaraz z tego, abym pracy jego jak najszerszego miał odmawiać uznania. Książka nosi tytuł: „Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia” <sup>1)</sup> i zawiera 7 rozdziałów. Autor nie ogranicza się na samych momentach literackich, ale wiąże artystycznie wszystkie sfery naszego życia z literaturą. W I-szym rozdziale mówi, że uznał potrzebę uchwycenia fizyognomii przedewszystkiem tej epoki, którą mamy żywo jeszcze w pamięci, a więc epoki od 1836—1850, kiedy życie, i to nie tylko umysłowe, tak mocno biło tętnem w Poznańskim. Dla dokładności szkicu zawraca przeciw autor aż pod koniec XVIII wieku. Zimna była ówczesna skorupa społeczności tutejszej, ale w głębi żyła myśl, jak późniejsze pokazały wypadki. Literatura ówczesna była szczupła i licha. Wyjątek stanowi ks. Górczyczewski, zapominany dziś zupełnie, a przecież godzien wspomnienia, bo język jego był poprawny, satyry dobre, a nie jeden jego utwór może śmiało stanąć obok utworów podobnych ks. biskupa Krasickiego. Dla Molskiego także znalazł autor stosowne słowo. Drugi rozdział zajmuje się Księstwem Warszawskim i latami następnymi aż do r. 1830. Występują tu: Trojański, Muczkowski, obok których charakteryzuje autor „Gazetę W. Ks. Poznańskiego,” „Mrówkę,” redagowaną przez prof. Królikowskiego aż do r. 1822, „Weterana,” pod redakcją dzielnego weterana Turskiego, wreszcie wspomina o założeniu biblioteki Raczyńskich w r. 1829. W rozdziale trzecim rozbiera autor ruch literacki i publicystyczny, jakim od r. 1835 wrzało Księstwo. Piśze o Poplińskich, o Łukaszewiczu, o Szkółce niedzielnej, o „Przyjacie-

<sup>1)</sup> Wspomniała już o tej książce Biblioteka Warszawska w zeszycie grudniowym, str. 487 i 488.



lu ludu" (od 1834), „Tygodniku literackim" (od 1838), „Dzienniku domowym" (1840), „Orędowniku," przycém szkicuje wybornie osobistości literackie. Libelt, Moraczewski, Raczyński główne zajmują miejsce. Marcinkowski uwydatniony, ale nie tak jak zasłużył. Dalej wspomina autor w gościnie będących wówczas u nas: Siemieńskiego, Triplina, Wasilewskiego, Żyglińskiego. Wreszcie zwraca uwagę bliższą na pismo peryodyczne, wówczas górujące t. j. na „Rok," z dążnością filozoficzną i na drugie, z charakterem pozytywno-chrześcijańskim t. j. na „Przegląd poznański (od r. 1845). Rozdział czwarty poświęcony historycznym pracom Łukaszewicza (od r. 1832), Moraczewskiego (od r. 1842), wzmiankom o wydawnictwach Raczyńskiego. W rozdziale piątym zastanawia się nad naukami filozoficznymi, nad Libeltem, Trentowskim, Cieszkowskim. Pogląd na poezyą i beletrystykę zawiera rozdział szósty. Tutaj głównie nowsze przebiega czasy, a więc Garczyńskiego, Morawskiego, Berwińskiego i goszczących pewien czas w Poznańskim, Siemieńskiego, Wasilewskiego, Żyglińskiego oraz Dahlmana. W rozdziale siódmym dotyka prac powieściowych Wilkońskiej, Mycielskiej, Moraczewskiej. Kończy piękną myślą, jak to ojcowie ówczesnego ruchu umysłowego i społecznego, gdy ziarna przez nich rzuczone weszły, razem niemal zeszedli wszyscy z widowni i bądź pokładli się w grobie, bądź uniewładnieni (?) zostali na czas dłuższy.

Czytając tę książkę, czujemy, że stąpienie się coraz ściślejsze odłamów społecznych w jednym duchu, pochodzi z onego czasu od roku 1839, kiedy prąd pracy, podżegany żarem szlachejnych przekonani, przebiegał przez Księstwo aż do r. 1845. Któż przecie głównie świecił wówczas na widnokręgu społecznym u nas, kto poruszał głównie ogół, jeśli nie dr. Marcinkowski? około kogóż skupiał się, nie literacki, prawda, ale ów wielki społeczny ruch, którego tamten był jednym tylko momentem, ruch, mający sprowadzić obudzenie z dawnego letargicznego zastoju, jeśli nie około d-ra Marcinkowskiego? Ztąd nie wynika, abyśmy takim znakomitościom, jak np. Libelt, odmawiali wielkiego wpływu na wzrost życia duchowego, abyśmy przeczyli, że zrazu wszyscy wybitniejsi mężowie jedną falangę stanowili, ale twierdzimy, że od r. 1845 dawniejsza wspólna praca rozszczepiła się. Pozostał-ci wprawdzie cel ostateczny ten sam dla obu stron, ale tak dalece się już różni, iż środek przez jednych uznany za potrzebny, drudzy za zgubny uznali. Autor trochę w tém zgrzeszył, że ze względu na społeczne stosunki, zaślado wystawił Marcinkowskiego, a potem w tém, że ścieśnić nieco jednostronnie grupę naczelną mężów, którzy z Marcinkowskim działali; a chciał przedstawić jęj jednolite poczynanie i wtenczas, gdy już się rozszczepiła. Rozkład swojej pracy autor wybornie obmyślił i znakomicie wykonał, a każdy, kto książkę tę weźmie do ręki, zgodzi się na to, że ona pozostanie na zawsze ozdobą naszej literatury.

O dziele d-ra K. Szulca: „Mytyczna historia polska i mytylogia słowiańska," już wspomnieliśmy w listopadowym zeszycie Bibl. Warsz.;

nam pozostaje tylko życzyć, aby materiał ogromny w tej pracy nagromadzony, niebawem doczekał się sumiennęj i umiejętnęj krytyki, a mianowicie, aby te wywody, jakie autor poczynił z licznych szczegółów bajecznęj naszej historii, rozpatrzone zostały jak najdokładnięj.

Trzeci rocznik „Złotęj księgi szlachty polskięj,” przez Teod. Zychlińskiego, zawiera, jak i poprzednie roczniki, niemało materiału nietylko dla chluby wielu rodzin, ale i dla badaczy naszej przeszłości pożądanego. Liczne sprostowania i uzupełnienia świadczą o tém, że autor coraz wytrawnięj pracę swą prowadzi. Księga zawiera stronic 380. W końcu umieścił autor drzewo rodowe Działyńskich, wygasłych po mieczu, oraz sąd Bibl. Warsz. z lipca r. 1880 o drugim swoim roczniku. Obszernie opracowanych rodów jest kilkadziesiąt, między któremi wymienimy przedewszystkiēm Brzostowskich, Chrapowickich, Dąbrowskich, Działyńskich, Godlewskich, Grabowskich, Jagminów, Naruszewiczów, Platerów Broël, Rądońskich, Sokolnickich, Stadnickich, Turnow.

Wyszedł u Langego w Gnieźnie d-ra Sieniawskiego: „Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych pomiędzy Elbą a dawną Polską,” od czasu ich wystąpienia na widownię, aż do zatracenia znamion narodowych.

Właśnie co otrzymaliśmy dzieło p. t.: „Rys religijnego rozwoju ducha ludzkiego,” w dwóch tomach, nakładem Żupańskiego, oraz odbitkę stu odcinków z „Kuryera poznańskiego” p. t.: „Zbliżka i zdaleka.” W czasie, kiedy te listy umieszczał „Kuryer,” miałem już sposobność zwrócenia na nie waszēj uwagi. Obie te prace zdają się być pióra prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, S. Koźmiana.

Zaznaczam jeszcze wyjście 2-go zeszytu „Podań i legend ruskich i litewskich,” illustrowanego przez Wł. Mottego. Zawiera: „Cień Barbary Radziwiłłównęj,” „Pan Przyjemski w Koźminie,” „Chlėb kamienny w Oliwie” i „Zamek Kiszbork.” Pierwszy zeszyt zawierał: „Legendę o Madeju,” „Rusałki,” „Widmo w zamku Rydzynskim,” „Świadectwo nieboszczyka.”

W druku są „Pisma ś. p. ks. prałata Koźmiana,” rocznik VII „Kółek włościańskich” i tłómaczenie na język litewski „Witoloraudy” J. I. Kraszewskiego, przez Wysztelewskiego. Prof. Bronikowski ogłosił był prenumeratę na dalsze „Tłómaczenie Platona,” mianowicie tomu III (o Rzeczypolitęj); nie widzimy przecięz stosownego poparcia tej prenumeraty.

Z pism peryodycznych wychodzić przestał „Sztandar,” rozwija się pomyślnie natomiast „Dwutygodnik dla kobiet” panny Radońskięj. Młoda redakcyja nabywa wprawy, a że znajduje chlętnę poparcie u publiczności, rokować można, że zamiar chwalebny dostarczenia Polkom pożywnęgo i w wdzięczne formy ubranęgo materiału się powiedzie. W ostatnich numerach odezwał się i Kraszewski, „najstarszy,” jak się wyraża „korespondent,” „do najmłodszego polskiego pisma.” Zastanowiła nas przecięz na samym początku listu uwaga zacnęgo męza, że lu-

bi on raczj tam pisać, gdzie go rozumieją. Czyżby miało od nas wiać coś obcego, co go zraża? Niechaj zechce pamiętać, jak nas ssie kultura, jak mozolnie przychodzi nam temu ubytkowi soków zapobiegać, jaka to praca silić się tak — i na wszystkie strony zasuwać wszystkie otwory, aby światło wchodziło, ale nie to, którem nas chcą obdarzać nieprzyjaciele naszj indywidualności narodowj.

Przypatrzmy się teraz instytucyom naszym, mającym na uwadze nauczanie i pielegnowanie języka.

Tutaj wymienić trzeba przedewszystkiem drugie walne zgromadzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk z dnia 14 grudnia r. z., na którem czytano między innymi ponownie wnioski, dotyczące częściowj zmiany ustawy. Poprawka pierwsza, „iż do zarządu Towarzystwa należy: prezes, vice-prezes, sekretarz, podskarbi, oraz redaktor,“ przechodzi jednomyślnie. Przy głosowaniu, czy zarządowi ma przysługiwać prawo wybierania urzędników bez potwierdzenia walnego zgromadzenia, większość oświadcza się afirmatywnie. Poprawka do odnośnego §, brzmiąca: „urzędowanie“ „każdego członka zarządu trwa lat trzy, a wybór zarządu odbywa się co trzy lata na posiedzeniu“ „ogólnem noworocznem,“ przechodzi jednomyślnie. Urząd sekretarza i konserwatora, stanowczo oddzielone odtąd będą. Konserwator, którym pozostaje pan Feldmanowski, otrzymuje w uznaniu pracy swj dawną pensją, chociaż już przestał być sekretarzem. Obowiązki konserwatora są dziegiętorakie. Do niego należy zawiadować całym zakładem, utrzymywać korespondencye, załatwiać wszelkie sprawy z władzami, dary odbierać i katalogować, tak samo katalogować dawne zbiory, zdawać sprawę ze stanu zbiorów na każdym półrocznem zgromadzeniu członków Towarzystwa, wykonywać należną kontrolę nad niższymi urzędnikami, ułatwiać przystęp do zakładu. Muzeum otwarte ma być, jak tu szył prezes, w maju. Na honorowego członka wybrany tym razem został prof. Szokalski z Warszawy.

Zwykłe półroczne walne zgromadzenie tegoż Towarzystwa z d. 18 stycznia 1881 r., (o którem wspomniała już „Bibl. Warsz.“ w zeszycie za miesiąc luty), przyjęło sprawozdanie z walnego zgromadzenia grudniowego i wysłuchało sprawozdania z rocznych czynności Towarzystwa. Wydanie Rocznika wstrzymały zachody około zmiany ustaw Towarzystwa i praca około przeniesienia jego zbiorów do nowego miejsca. Konkurs dramatyczny nie wydał owocu, konkurs historyczny wywołał kilka ważnych prac, które roztrząsa komisya a d h o c. Na ukończeniu są i ukażą się w kwietniu r. b.: „Kodeks wielkopolski“ w trzech i „Liber beneficiorum“ Łaskiego w dwóch tomach. Zasoby Towarzystwa urosły: 1) przekazaniem Towarzystwu 10000 tomów po ś. p. księdzu prałacie Koźmianie; 2) darem mnogich obrazów. Na budynek muzealny wydano 5156 marek, na urządzenie takowego 2220 marek. Dom frontowy Towarzystwa wymaga podwyższenia, które kosztować ma około 30000 marek, na co wystarczą finanse. Członków



honorowych wybrano w roku 1880 trzech, zwyczajnych 27. Posiedzenia wydziałów odbywały się regularnie, a wydział przyrodniczy znakomicie krzątać się począł. Wydział lekarski liczył członków 72 i odbył 10 posiedzeń. Z biblioteki, która zawiera obecnie już 60000 tomów, mało bardzo korzystała publiczność. W końcu przechodzi wniosek, stawiony przez zarząd, co do przebudowania domu frontowego na galerią obrazów, z tym dodatkiem, iż decyzja ma przysługiwać w tej mierze przyszłemu walnemu zgromadzeniu.

Co do rozpraw, czytanych w obu wydziałach Towarzystwa, cofam się aż do listopada, to jest do chwili, w której ostatnią moją przesłałem kronikę. Ósmego listopada czytał był w wydziale historycznym pracę swą „O archiwum w Trzemesznie“ ks. Łukowski. Dawszy pogląd na losy tego archiwum, twierdził prelegent, że Trzemeszno najwięcej posiada dokumentów z wszystkich w Księstwie klasztorów. Archiwum trzemeszeńskie podzielić należy na dział oryginalnych dokumentów, uporządkowanych przez ś. p. Tyca i zawierający w sprawie stosownej numerów 249. Jest między niemi dokument bardzo dawny Mieczysława z roku 1145. Dalej idzie dział metryk, z których brano kopie. Przyłączony tu jest w końcu indeks, potem dział roczników od roku 1501—1522; 4) kronika trzemeszyńska; 5) kompilacja księdza Sierpińskiego od roku 1522, w której tenże wszystko zapisuje, cokolwiek doszło było wówczas do wiadomości braci klasztornej; 6) katalog opatów trzemeszeńskich, wreszcie 7) księga protokółów od 1753—1815 r., zawierająca nie mało materyałów do historii. Następującą rozprawę czytał ksiądz kan. Korytkowski „O ks. Łukaszu Wajselrode“ kanoniku gnieźnieńskim, wuju Kopernika. „Bibl. Warsz.“ już umieściła sprawozdanie o tym odczycie, poprzestaniemy więc na niniejszej wzmiance.

W styczniu i lutym r. b. czytał p. Wł. Jażdżewski, znany archeolog, sprawozdanie z rozpraw kongresu archeologicznego berlińskiego, dotyczących pytania: ażali Słowianie zamieszkiwali kraje między Elbą a Odrą już przed VI w. po Chr., czy też dopiero od w. VI? W Berlinie twierdzono że dopiero od VI w. Prelegent w gruntownie opracowanej swjej pracy przyszedł do konkluzji, że na podstawie źródeł znanych udowodnić się nie da twierdzenie niemieckich uczonych, jakoby w Brandeburgii i w krajach na wschód z nią graniczących, mieszkali aż do VI wieku po Chr. Semnonowie; że wszelako i to dokładnie udowodnić się nie da, że tam wówczas mieszkali Słowianie.

Na posiedzeniu z 7 lutego czytane było sprawozdanie z pierwszego tomu dzieła zaszczytnie znanego historyka, ś. p. Bronisława Zalewskiego, p. t.: „Żywot księcia Adama Jerzego Czartoryskiego.“ Pozostałych jeszcze dwóch tomów autor nie zdołał ukończyć, gdy go śmierć zaskoczyła, a wielka to szkoda, bo tom pierwszy wypadł świetnie. Sprawozdawca zauważył, że znakomita ta praca może ze wzglę-

du historycznego nie zupełnie zadawalnia, wszelako posiada taki zasób ciepła, tak znakomicie tło familijne działających osób uwydatnia, tak pięknie na tém tle przedstawia obraz księcia, tak zajmująco rozwija całość wypadków, iż bodaj mamy dotąd w naszej literaturze podobnych zalet książkę. Tom ten pierwszy obejmuje czasy młodociane księcia aż do 30 roku jego życia, to jest do chwili, gdy w r. 1801 powołany został na ministra spraw zagranicznych cesarstwa rossyjskiego.

Na ostatniem lutowém posiedzeniu czytano „O kampanii jesiennej Augusta II w roku 1704.“ Prelegent zużytkował tutaj źródła dotąd nieznane, a przedewszystkiém raporty własnoręczne Schulenburga, bilety króla, opisy Nordberga, listy Patkula. Chwiejność Augusta występuje w tym obrazie w jaskrawém świetle, graniczy prawie z niedołęztwem. Podczas gdy Karol XII ściąga wojska, robi forsowne marsze, naraża się na największe przywacze wraz z swemi wojskami, August rozprasza swe wojska, a dba tylko o swoje wygody. Schulenburg zwycięża wprawdzie w bitwie pod Poniecem, ale zmuszony jest cofać się niebawem aż poza Odrę. August nie wie literalnie co począć.. przybywa do Krakowa, z kąd wkrótce do Drezna odjeżdża, nie dbając o los grabionej i palonj Polski. Odjeżdża on do Drezna—jak drastycznie kończy prelegent—aby tam na łonie późniejszej pani Cosel używać miłosnego wczasu.

Wydział przyrodniczy Towarzystwa, który coraz większe objawia życie, słuchał w grudniu roku zeszłego dwóch wykładów, a mianowicie hr. Cieszkowskiego Augusta i dr. Święcickiego. Pierwszy czytał o tożsamości eteru kosmicznego a promienistj materyi, wedle Crookesa. Prelegent zaznaczył, że w téj kwestyi opierają się uczeni dotąd na samych przypuszczeniach, aczkolwiek materyały, mające rozświecić rzecz, rosna bezustannie. Teorya Crookesa znalazła przeciwników bardzo poważnych, ale jeśli wywody Crookesa podlegają krytyce, to inaczej rzecz się ma z jegu doświadczeniami. Tych zaprzeczyć nie można. Prelegent postawił trzy pytania: czyby nie można przypuścić, że istotnie istnieją cztery stany skupienia, z których czwarty tak się ma do gazowego, jak gazy do płynów, z tém jednak nadmienieniem, że ten czwarty stan tworzy się w sposób przez Crookesa podany dopiero wtenczas, gdy jest naładowany elektrycznością. Dr. Święcicki mówił o trzęsieniach ziemi, których istota nie jest jeszcze dotąd dostatecznie zbadana i przeszedł potem do podziału tych zjawisk na cztery szeregi. Po wyjaśnieniu, która z teoryi dotyczących przyczyn trzęsienia, ma więcej lub mniej prawdopodobieństwa za sobą, przeszedł specyalnie do ostatnich trzęsień, które miasto Zagrzeb w gruzy niedawno zamieniły. W roku bieżącym czytał rzecz o wulkanie dr. May. Przytoczył dwie teorye, trudniące się wykryciem właściwej przyczyny pojawów wulkanicznych, a mianowicie zastanawiał się nad zapatrywaniami Humboldta, Gay-Lussac'a, Bucha i Hoffa. W lutym czytał o trzęsieniu ziemi

hr. August Cieszkowski. Cieszkowski nie jest z powołania przyrodnikiem, pojmując przecież przyrodę jako całość organiczną, a w swych „Prolegomenach“ do historyzofii wykazać się starał, że kategorie ducha i natury są z sobą w zgodzie, a zgoda ta świadczy, że zapatrywanie się na przyrodę jako na całość organiczną, jest słuszne. Prelegent zaznaczywszy, że dążność pojmowania natury jako organicznej całości coraz bardziej się uwydatnia, nadmieniał, że dążność ta nie we wszystkich przecież gałęziach nauk przyrodzonych równo się objawia. W naukach kosmiczno-fizycznych bowiem zdaje się przeważać jeszcze kierunek mechaniczny; chociaż zaczyna mieć dziś powodzenie na tém polu i teoria organicznej żywości (Meyer, ojciec Secchi). W chemii ona najżywotniej się objawia. Anorganiczna i organiczna wnoszą się dziś do biochemii. Prelegent wypowiedział tutaj, że trzeba zawsze mieć na pamięci zdanie Newtona: fizyka niech się strzeże metafizyki. Newton objawy prawa ciężenia przedstawił, ale nie wdawał się w istotę samegoż objawu, której bodaj kiedy dojsć ludzie potrafią. Niektórzy fizycy dzisiejsi silili się na metafizyczne wyjaśnienie téj istoty i źle zrobili, bo sprawę zagmatwali.

Z takiego pojmowania nauk przyrodzonych wychodząc Cieszkowski, podnosi pytanie: czémże więc jest trzęsienie ziemi? Jestże ziemia podczas trzęsienia w stanie fizyologicznym, czy patologicznym? Wedle przyczyn, jakie naznaczył prelegent, można trzęsienie ziemi uważać najprawdopodobniej za stan patologiczny. Przyszłaby teraz kolej na przedstawienie dyagnozy tego stanu. Ale o tém już poprzedni prelegenci mówili, mówili również i o przyczynach trzęsienia ziemi. Prelegent jest zdania, że żadna z teorii dotychczasowych nie wystarcza do wyjaśnienia trzęsienia i że tylko synteza wszystkich teorii doprowadzić może do prawdy. Wedle prelegenta, elektryczność ogromną gra rolę w trzęsieniach, zarazem gra wielką rolę woda i gazy. Te oto trzy siły uważa prelegent za najprawdopodobniejsze przyczyny trzęsień ziemi, w czém zgadza się ze znakomitym uczonym angielskim, Davy'm.

I Towarzystwo przemysłowe w Poznaniu urządziło w półroczu zimowém wykłady publiczne co poniedziałek, począwszy od listopada roku zeszłego. 22 listopada mówił dyrektor Rakowski „O Warszawie,“ w grudniu dr. Zielewicz „O człowieku z epoki kamiennej, bronzowej i żelaznej,“ w bieżącym roku dr. Kantecki „O Polsce, wytaniając się ze Słowiańszczyzny;“ dwóch doktorów mówiło „O magnetyzmie zwierzęcym“ (dr. Kapuściński i dr. Świącicki); dalej dr. Kusztelan „O Żydach w Polsce,“ a dr. May „O chemii z eksperymentami, wreszcie p. Cegielski miał odczytać w końcu lutego „Ustęp z historii francuzkiej XVIII w.“ Na post zapowiedziane były odczyty dr. Szafarkiewicza.

Z początkiem stycznia zawitał znów do nas prof. hr. Tarnowski: mówił na rzecz towarzystw dobroczynnych, pierwszy raz „O Balladynie,“ drugi raz o „Lilli Wenedzie.“ Żałujemy że tylko o pierwszym



występie wspomnieć możemy, bo na drugim nie byliśmy. Świetna dykcja była ta sama, jaką zwykle włada p. Tarnowski. Rzecz samą różnie sądzono. Jedni chcieli, aby nam p. Tarnowski koniecznie coś nowego powiedział, drudzy z formalnym skalpelem przystąpili do krytyki. Tyle pewna, że szanowny gość nasz mówił o przepysznych scenach w Balladynie, wszelako całości utworu nie pochwalił. Czy go mógł tak bardzo pochwalić, czy go mógł postawić na świeczniku? Mniemamy że nie. O cóż więc chodzi? O to podobno, że mówił nam o nieudanym utworze i że na tę nieudaną kładł zanadto mocny przycisk.

Towarzystwo Czytelników, o którego ukonstytuowaniu na gruzach zniesionego przed dwoma laty Towarzystwa oświaty ludowej donosiłem w ostatniej kronice, zorganizowało się na sekcye, z pomiędzy których przypadła główna rola komisji krytycznej. Aż do 15 grudnia wpłynęło było do kasy 6050 marek, rozchód wynosił 1455 m., pozostało więc 4595 m. Liczba członków wzrosła do 1138, między którymi 8 jest stałych z jednorazową wkładką 100 m. Tymczasowy katalog książek, poleconych przez komisją krytyczną, wyszedł przed dwoma miesiącami z druku, a przed miesiącem ogłosiło już Towarzystwo konkurs na napisanie popularnej weterynaryi. Praca ma zawierać 7—10 arkuszy druku. Nagroda unormowana na 200 m.

Nauczyciele dostali nakaz od władzy, nienależenia do Towarzystwa... Zawsze ten sam system.

---

Trzydzieści lat dochodzi, jak nauczyciele założyli między sobą kasę pośmiertną, albowiem władza zbyt mało pamiętała o wdowach i sierotach nauczycielskich. Dziś, dzięki instytucji kasy pośmiertnej, otrzymuje już rodzina zmarłego członka 750 m. subwencji. Gdy fundusz rezerwy, nie przechodzący obecnie 10000 m., urośnie stosownie, będzie można sumę subwencyjną podnieść do 900 m. Administracja tej instytucji jest tania, ponieważ wybrani rendanci urzędują bezpłatnie.

Na każdym kroku dobywamy całych sił, aby sprostać potrzebom, które zewsząd, nakształt lawiny rosną. Instytucje miłosierdzia nie małej wymagają ofiarności i zachodów. Trzeba dbać o podtrzymywanie instytucji „Szarych siostr,” więc zbiera się teatr amatorski, jak np. w Gostyniu. Panie nasze dają przedstawienia, aby uciuć grosza; już w dwudziestu miasteczkach naszego Księstwa, w ten sam sposób przychodzą w pomoc biedzie miejscowej szlachetne serca. Ze stałych instytucji, składkami żyjących, zastępuje na wzmiankę przedewszystkiem Towarzystwo ś. Wincentego à Paulo w Poznaniu. Dochody jego wynosiły w roku minionym 10000 marek, wydatki wyczerpały niemal całą sumę dochodu, bo trzeba było nie tylko o chorych na mieście pamiętać, ale nie zaniedbywać także szpitala dla nieuleczonych i ochronki ś. Józefa. Tymczasem wszystkie te wysiłki nie wystarczają, bo lu-

ność polska Poznania, bądź przyływem z prowincyi, bądź mnożeniem się na miejscu, urosła od lat sześciu przynajmniej o 10%<sup>1)</sup> a w tym stosunku nie urosła jej zamożność.

Kiedy tak z biędą walczymy wiejską, lud wiejski i to w przecięciu nie ten, któremu bięda dokuca, wynosi się za morze. Mianowicie emigracya ta kwitnie w powiatach Szubińskim, Czarnkowskim i w ogóle w okolicach nad Notecią, chociaż i z innych powiatów ciągle dochodzą wiadomości o wynoszących się bezprzestannie do Ameryki rodzinach. Żadne perswazyje nie pomagają: 100 listów przyjdzie z Ameryki smutnych, a niech tylko kilka przyjdzie pomyślnych, a już tylko te ostatnie zrobiły wrażenie. Obliczono w przybliżeniu, że w roku zeszłym wywędrowało do Ameryki z Niemiec 68000 ludzi, z której to liczby przypada podobno aż dziesiąta część na nasze W. Ks. Poznańskie. Co zaś do ulg w skutek nieurodzaju, jakich spodziewaliśmy się, własność ziemska nie otrzymała żadnych. Sprawa kolei żelaznej z Poznania wprost do Bydgoszczy, zdaje się że nie ma widoków powodzenia. Rząd i fiskus wojskowy uznali tę kolęj za potrzebną, ale minister robót publicznych oświadczył teraz, że może tylko zrobić nadzieję koncysi na kolęj z Gniezna na Nakło do Chojnic. Mniemamy, że niektóre linie drugorzędnych kolei zyskają prędszej lub później aprobatę rządu, przezco zyskają komunikacyę, a zarazem nowa możność zarobkowania będzie dana ludności. Pośrednio przyczyni się bezwątpienia budowanie drugorzędnych kolei do zatamowania tego prądu emigracyjnego, który w północnych mianowicie okolicach Księstwa tak wielkie przybrał rozmiary, iż obawiać się należy ubytku zastraszającego ludności wiejskiej robotczej.

Po pięcioletnich cierpieniach zmarł w końcu grudnia roku zeszłego w dobrach swych w Rokosowie ś. p. książę Adam Konstanty Czartoryski. Ś. p. ks. Czartoryski mieszkał przez lat 30 w naszym Księstwie, gdzie nabył ogromne dobra. W obywatelskich szerszych pracach w żadnym kierunku nie brał udziału, ale przedstawiał wraz ze swą małżonką wzór dobroczynności i dawał naśladowania godny przykład, jak rozumieć należy stosunek dworu do ludu, pana do sług.

Dnia 31 stycznia zabrała śmierć naszego słynnego lingwistę, ks. Franciszka Malinowskiego, od lat 30 proboszcza w Komornikach pod Poznaniem<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Statystyka urzędowa ludności miasta Poznania z d. 1 grudnia 1880 roku wykazuje, że z 64000 mieszkańców, przypada na Polaków 33000, na Niemców 24580, w co już liczymy 2700 Niemców katolików. Reszta przypada na żydów. Przed sześciu laty, więcej Poznań liczył akatolików, niż katolików.

<sup>2)</sup> Bliższe szczegóły biograficzne zob. w Nekrologii zeszytu marcowego „Bibl. Warsz.,” dlatego jo tutaj opuszczamy. *Przyp. Red.*

Marzec jest miesiącem wielu walnych zgromadzeń naszych. I dzisiaj dotknąć mi należy niektórych przynajmniej ich stron. A nasamprzód odbyło się d. 9 marca Walne zgromadzenie Towarzystwa Pomocy Naukowej, imienia dr. Marcinkowskiego, o którego rezultatach zawiadomił już czytelnika zeszyt kwietniowy „Biblioteki,” str. 148 i 149.

Walne zgromadzenie Banku włościańskiego przyjęło do wiadomości sprawozdanie następujące dyrekcji: suma obrotowa wynosiła 13,266,000 m., większą więc była o 1,165,000 m. niż roku 1879; kapitał obrotowy wynosił 1,192,000 m. (większy więc niż roku 1879 o 160,000 m.); kapitał zakładowy pozostał ten sam, t. j. 577,000 m.; fundusz rezerwowy zwiększył się o 9,000 m., wynosi więc obecnie 20,200 m. Stan depozytów wykazywał 290,000 m. (a zatem 93,000 m. więcej niż r. 1879); rachunek hipotek wypowiedzialnych 320,600 m., na 78 nieruchomościach. Rachunek weksli obciążony był w początku 1880 roku 417,400 m., w końcu roku było weksli dyskontowanych za 462,600 marek.

Wypada także wspomnieć i o Towarzystwie ku wspieraniu urzędników gospodarczych. Walne jego zgromadzenie wysłuchało sprawozdania z czynności na r. 1880, z którego wyjmujemy następujące dane. Formy emerytury i działania starano się praktycznie ulepszyć i skutki pokazały się jaknajlepsze. Członków rzeczywistych było 247, honorowych 189; składek wpłynęło 2,368 m. Stan kasy wykazał dochodu 8,811 m., rozchodu 6,219. Majątek Towarzystwa wynosił w funduszu żelaznym 62,000 marek, w funduszu do dyspozycji na rok bieżący 5,325 m. Fundusz żelazny podniósł się od r. z. o 1,777 m.

Walne zebranie Towarzystwa centralnego Agronomicznego, trudniło się przeważnie dyskutowaniem środków, mogących zapobiedz wychodztwu ludu do Ameryki, które w trójnasób zwiększa się w Prusach Zachodnich, w porównaniu z r. 1880, a w naszym Księstwie w sześciornasób. Nie chodzi tu o ukrócenie prawne wolności osobistój, ale o osłonę prawną praw osób trzecich. Albowiem wracający wychodźcy nieraz stają się ciężarem gmin, a chlebodawcy całkiem bezsilni się czują w obec łamiących ugodę robotników. Można by temu zaradzić na drodze administracyjnej w ten sposób, żeby wolność przesiedlania się służyła tylko tym, którzy mogą wykazać świadectwem władzy miejscowej, iż obowiązków swych dopełnili, oraz żeby agentom zabronione zostało przyjmowanie wychodźców, pozbawionych powyższego świadectwa. Przepisy dotychczasowe nie wystarczają bynajmniej, skoro, wedle nich, uprawnienie do wychodźstwa zależy tylko na poświadczeniu sądu okręgowego, iż wychodźca nie jest oskarżony. Siłono się właściwą przyczynę wychodźstwa wy badać, ale to sprawa dość skomplikowana. Jedni mniemają, że przedewszystkiem macosze obchodzenie się z językiem i walka kulturalna, pozbawiając lud dóbr mu najdroższych, zniechęca go; drudzy, że płaca zbyt niska odbiera robotni-



kom wszelką nadzieję polepszenia losu; podczas gdy nie brak ciągłej zachęty do wychodźstwa, bądź przez przesyłki pieniężne członków rodziny, którzy lepszym w Ameryce cieszą się losem, bądź przez ogłoszenia agentów po gazetach urzędowych, które lud nasz ma za świadectwa prawdy o zamorskich stosunkach. Kwestya za niskiej płacy robotnika nie zależy tymczasem, w dzisiejszém położeniu rolnictwa naszego, li od dobrej woli chlebowodawcy. Chlebowdawca nie może w przecięciu płacy podwyższać, bo sam za ledwie się ziemi trzyma. Wszystko tedy zachacza się w tej mierze w ostatniej instancyi o warunki ogólne produkcji rolniczej, nie dość uwzględnione dotąd przez prawodawstwo.

Pytasz kontraktowego robotnika, czemu opuszcza kraj? odpowie, że się tam po kilku latach „okupi.“ Pytasz włościanina-właściciela, czemu się wyprowadza? odpowie, „że tu ciężkie życie, a tam za swą sumkę „trzy razy tyle gruntu zakupi.“ Spytasz rzemieślnika, boroowego, włodarza i t. p. odpowiedzą, „że tam krewni ich w powszednie dni lepiej się pożywią, niż u nas w wielkie święta.“

Nie słyszymy, aby leniuchy lub biedacy, co się włóczą, wybierali się za morze. Wybierają się tam ludzie pracowici, silni, jedném słowem, siła najlepsza robocza. Wedle obrachunku biura statystycznego, wyjść miało roku zeszłego z Księstwa aż 10,500 głów.

Napozór zdaje się nasze tutejsze społeczeństwo pewną odrętwiałością skrępowane; ale w istocie, ruszamy się i to może aż zanadto. Tyle razy już nadmieniałem, jakich podjęliśmy się prac społecznych, ekonomicznych, i jak je podtrzymywać silimy się. Świeżo zawiął u nas prąd nowy ekonomiczno-techniczny. Otóż na gwałt zakładamy cukrownie, lub uczestniczymy w ich zakładaniu. Tu zobowiązujemy się do wzięcia akcji, tam do sadzenia buraków i bodaj upłynie tydzień, abyśmy o coraz to nowój podobnej nie słyszeli propozycji. Wiele bardzo powiedziéćby się dało za tym nagłym prądem, a niemało i przeci w niemu. Na dziś poprzestaniemy na tej ogólnej wzmiance. A że kończymy tę kronikę razem z ostatnimi dźwiękami karnawału, powiemy wam jeszcze, że zabawy nie przeszkozdyły zebraniom różnych walnych zgromadzeń. Miewaliśmy tedy rano zgromadzenia przemysłowych spółek i powiatowych Towarzystw gospodarczych; dziś zgromadzenie Towarzystwa dla wspierania urzędników dominialnych, jutro banków ludowych i t. d., a wieczorem herbaty z tańcami, lub bale na korzyść instytucyi różnych, jako to ochronek, Towarzystwa naukowej pomocy, Towarzystwa ś. Wincentego à Paulo. A przytém agitowała się nie bez sporów kwestya zwołania wieców w sprawach pałających. Jedni chcieli katolicki przeważnie, drudzy raczej językowy nadać wiecowi charakter, ci chcieli skupić w jednym wiecu wszystkie gramażina, drudzy wołali raczej o dwa wiece; było dużo hałasu, kwasy różne wyszły na jaw, ale, szczęściem, ucisza się dziś cały ten

spór i jest nadzieja, że rozmyślania postne przyczynią się do sprowadzenia pokoju, wśród którego patrzyć się będziemy na berlińskie hece, na te mianowicie, które poróżniły w Berlinie ministra wszechwładnego z kolegami, a w łonie sejmów sprowadziły zamęt nielada, wywołały aż chęć pojedynków i rozbijają co chwila większość parlamentarną.

Po dłuższych porozumiewaniach się o charakter zwołać się mającego wieca, stanęło na tém, że dwa umyślono odbyć wiece, jeden 4 kwietnia, drugi w maju. Wiece kwietniowy odbył się w oznaczonym dniu w Poznaniu, przy udziale znacznym publiczności. Po odczytaniu porządku dziennego, przemawiali uproszeni już naprzód mówcy. A nasamprzód przemówił redaktor Dziennika pozn. Zwrócił on uwagę na nasze położenie w ogóle i dał wyraz przekonaniu, że skoro mamy pewne prawa, domagać się ich wykonania powinniśmy. Mówca przeszedł pokrótce dotyczące stypulacye traktatowe, słowo królewskie i odpowiednie takowemu przepisy, gwarantujące Księztwu charakter jego narodowy. Tymczasem, mimo stypulacy i słowa królewskiego, prawa nam przysługujące zmieniano pokolejno, wypierano język z szkół i urzędów, aż go całkowicie dziś wyparto. Oszczerstwa, jakie na nas miotają, winny nas do tém większej pobudzić wytrwałości, w obronie tego, co nam najdroższe. Sprawę pokrzywdzeń w szkołach podjął dzielnie następny mówca p. Krzyżanowski. Sekundował mu wybornie i z wielką znajomością rzeczy ks. licencyat Chotkowski, nauczyciel religii przy szkole Realnej poznańskiej. W sprawie pokrzywdzeń w urzędach przemawiał w końcu p. Kozłowski. Wskazał na krzywdę, jaką ponosimy, nie mając nawet praw w państwie obowiązujących, w tłumaczeniu polskiém. Chcemy pisać do sądu, trzeba pisać po niemiecku; chcemy zrobić kontrakt przed sądem, musi być po niemiecku spisany; leżysz chory, chcesz zrobić testament, zrób podanie niemieckie. Wszelkie ogłoszenia sądowe dzieją się po niemiecku. Powiaty mają swoje sejmiki, i tam po niemiecku odbywa się czynność. Chcemy reklamować o zbyt wysokie podatki, uzalić się na urzędników niższych przed wyższymi, wziąć pożyczkę z instytutu kredytowego, pisać po niemiecku trzeba. Urodzi się dziecko, umrze kto z familii, biegnij do urzędnika, zwykle Niemca, który ci przekreśli imię i nazwisko. Chcesz bilet kupić na kolej, mów po niemiecku. I tak ciągle i wszędzie język nasz poteraany, a niemiecki panuje wszechwładnie. A przecież *justitia fundamentum regnorum*.

Po skończonych przemówieniach odczytane zostały i jednomyślnie przyjęte przez wiec rezolucye, żądające: 1) uznania języka polskiego, jako równouprawnionego z niemieckim w urzędach; 2) jako języka wykładowego w szkołach; 3) przywrócenia szkołom charakteru wyznaniowego, duchownym inspekcji nad szkołami elementarnymi, a rodzicom przyznania należnego na szkołę wpływu.

W maju odbędzie się wiec, którego przedmiotem będzie upośledzenie religijne i wysłanie deputacyi do Stolicy Ś., z podziękowaniem,

za wyniesienie śś. apostołów Cyryla i Metodego, do godności świętych Kościoła.

Dnia 5 kwietnia straciliśmy znów gorliwego obywatela, jednego z weteranów, hr. Adolfa Bnińskiego. Najlepszycy chęci obywatel, nie usuwał się od żadnych prac. Bywał członkiem sejmików, sejmów prowincjonalnych, w zarządzie centralnego Towarzystwa agronomicznego zasiadał lat 15. Myśl utworzenia teatru jaknajgorliwiej popierając, należał jako przewodniczący do komitetu, który instytucją tę w życie wprowadził.

Poznań, w połowie kwietnia.

---



# PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

## Historia zbytku.

(Histoire du luxe privé et public, depuis l'antiquité jusqu'à nos jours, par H. Baudrillart. Paris, 1878—1880. Tomów IV).

Zbytek jest objawem kosmopolitycznym. Przejawiał on się zawsze i wszędzie, niezależnie od czasu, miejsca i cywilizacji społeczeństw. Zajmowało się nim prawodawstwo w epokach, w których jeszcze możliwym był pogląd, że ludzkim upodobaniom, nałogom i popędom można nadawać dowolny, z góry narzucany kierunek, że je można ujmować w ścisłe karby prawodawczych zakazów. Dziś, po wielu bezowocnych na tém polu próbach, po gwałtownym przewrocie, jakiemu z biegiem czasu i w miarę zwiększonego ogólnego bogactwa, potrzeby ludzkie uległy, kwestya zbytku ze sfery prawodawczej przeszła w sferę czysto teoretycznych poglądów, nie straciwszy mimo to ani na swój doniosłości z punktu widzenia państwowego, ani też na swém znaczeniu pod względem ekonomicznym i moralnym.

Jest faktem stwierdzonym długoletnimi spostrzeżeniami, że zbytek, jako objaw pewnego kierunku upodobań ludzkich, potęguje się i wzmaga coraz więcej; że w bystrym swym pochodzie przybiera coraz rozleglejsze rozmiary, ogarniając stopniowo wpływem swoim i te nawet klasy społeczne, dla których przed laty był i musiał być obcym i to właśnie stanowi charakterystyczną między dawnym a nowoczesnym zbytkiem różnicę...

Dawniej tylko klasa uprzywilejowana, jako zasobna w środki zaspakajania potrzeb kapryśnego gustu, mogła się była otaczać zewnętrznym splendorem i wygodami i zaspakajać najsubtelniejsze wybryki ostentacyi i przemijającej mody.

Z powodu zbyt słabo rozwiniętego przemysłu i handlu przedmiotami zbytkowemi, a ztąd i trudniejszych warunków ich zdobywania, klasy tak zwane średnie nie kusiły się nawet o to, aby zewnętrznym przepychem dorównać arystokracji, a choćby nawet mogły i pragnęły

walczyć o lepsze z wybrańcami fortuny i rodu, zakazy prawodawcze kładły tamę wszelkim tego rodzaju zachceniom.

Dziś w żadnym dobrze uorganizowanym społeczeństwie niema i nie może być prawideł, ograniczających pewne stany w możności korzystania w najrozleglejszym nawet zakresie ze wszelkich wygod życiowych, co więcej, nowoczesne warunki towarzyskiego bytu tak są ukształtowanymi, środki zaspakajania upodobań wyszukanego gustu tak są dla wszystkich łatwymi i dostępnymi, że dziś ściśle określenie pojęcia zbytku większe nierównie przedstawiałoby trudności i wątpliwości, aniżeli w epokach, w których prawodawcze zakazy same z siebie stanowiły już przybliżoną wskazówkę granicy, jaka między istotną potrzebą, a zbytkiem zachodziła.

Zaspakajanie potrzeb czysto materialnych jest dla każdego człowieka, bez względu na większe lub mniejsze jego duchowe usposobienie, koniecznością. Potrzeby duchowe, np.: nauka, rozrywka, zaspakajanie zmysłu piękna, są udziałem nielicznej jedynie garstki wybranych jednostek.

To przyjąwszy za zasadę, możnaby określić pojęcie zbytku, jako przekroczenie zwykłej miary potrzeb człowieka. Pojęcie takie jednak, już z samej natury rzeczy jest najzupełniej względne; zależy ono bowiem od stanu cywilizacji, wzrostu ogólnego ukształcenia, od miejscowości, klimatu, ducha czasu, zwyczajów i obyczajów, od wzrostu produkcji, wreszcie od tysiąca zmiennych okoliczności, które, to co w jednej epoce uważaćby można było za zbytek, przeistaczają w innej epoce w najkonieczniejszą potrzebę.

Na radykalną zmianę pojęć o naturze i istocie zbytku, złożyło się wiele przyczyn moralnych, przedewszystkiém wszakże wpłynął na tę zmianę olbrzymi rozwój przemysłu w gałęzi przedmiotów zbytkowych; przemysłu, który produkując przeważnie za pomocą maszyn to, co przedtém ręka ludzka jedynie wytworzyć była w stanie, musiał z konieczności szukać sobie rozleglejszych źródeł odbytu. Ułatwiane środki komunikacyjne i przywozowe, dając sposobność zaopatrywania się we wszelkie przedmioty niezbędnej potrzeby i zbytku, wywołały w klasach średnich tę gorączkę naśladowania bogatszych klas w modach, mieszkaniu, meblowaniu, pożywieniu i w ogóle w całym trybie życia, tak, że dziś, z małemi wyjątkami, życie nad stan w mieszczaństwie stało się niejako powszechném.

Żadna, być może, z poprzedzających epok nie była obrazem tak szybko wzmagających się fortun, żadna zarazem nie była świadkiem tak olbrzymich i codziennie powtarzających się katastrof majątkowych, wywoływanych właśnie owém życiem nad stan i możność, ową chęcią jaśnienia przepychem i wystawnością na równi z tymi, którym potężne zasoby na tego rodzaju życie pozwalają.

Dla badacza obyczajów, fakt taki olbrzymio i nadmiernie wzrastających estetycznych potrzeb i połączona z nimi konieczność życia wystawnego ponad miarę zwykłych środków egzystencji, jest objawem

istotnie zastanawiającym i dlatego to nawoływania do reformy obyczajów coraz są częstsze i naglejsze. Stanowisko moralizatora i satyryka jest niewystarczającym tam, gdzie się ma do czynienia z faktem powszechnym, stanowiącym niejako oś, około której obracają się w epoce naszej wszystkie towarzyskie stosunki.

Krańcowy pogląd moralizatorów, którzyby chcieli zachęcić ludzkość do spartańskiej prostoty obyczajów, nietylko że jest nie odpowiedni, ale jest on nawet i niemożliwy, w epoce, która wszelkie bez wyjątku klasy społeczne do udziału w owocach cywilizacji, w środkach ułatwiających znośniejszy na tej ziemi pobyt, powołała.

Obok takiego poglądu stoi inny, niemniej krańcowy, który, w imię potrzeb przemysłu i handlu, w coraz bardziej wzmagających się potrzebach ludzkości, w ową nieprzewartę żądzy używania, widzi znamię prawdziwego postępu i nietylko, że zbytku nie gani, owszem, do niego jak najusilniej zachęca.

Taki jednak pogląd prowadzi nieuchronnie do ruiny bogactw narodowych i prywatnych. Sztucznie wywoływane i podniecane pokusami instynktu zmysłowego potrzeby psują obyczaje, a podnosząc zbytek ostentacyjny klas jednych, wytwarzają tylko zawiść i chęć naśladownictwa w klasach mniej uposażonych.

Pośrednie między temi dwoma krańcowymi poglądami stanowisko zajmują badacze, którzy godząc z jednej strony interesa ekonomii społecznej z interesami moralności, usiłują przeprowadzić granicę między potrzebami ludzkimi istotnymi, bez względu na ich większą lub mniejszą doniosłość, zaspakajanie których na ogólny rozwój cywilizacji oddziaływa korzystnie, a temi, które będąc tylko wytworem niebaczości i niepamięci na następstwa, przyczyniają się tylko do ruiny narodów całych i składających je jednostek.

Nie może ulegać wątpliwości, że zbytek, t. j. spożywanie ponad miarę rzeczywistych potrzeb, przyczynia się do ubożenia tych, którzy się zbytkowi oddają. Jestto zresztą z punktu widzenia czysto ekonomicznego bezpośrednim skutkiem każdej konsumpcji.

Gdyby możliwem było dla pojedynczego człowieka powstrzymanie się od używania i gdyby głównym jego celem był jedynie zarobek i gromadzenie owoców pracy, w takim razie bogactwo tej jednostki mogłoby stopniowo wzrastać. W takim też stosunku możnaby mniemać, że i bogactwo narodowe wzrastałoby nieprzerwanie i do nieskończoności, gdyby narody wszystkie siły swoje skierowywały jedynie ku produkowaniu i ku najskromniejszemu używaniu tej produkcji.

Teorya taka jednak, o ile ze względu na pojedynczego człowieka mogłaby w pewnej mierze mieć rację bytu, o tyle ze względu na społeczeństwo całe i podstawy bytu tego społeczeństwa, musiałaby się okazać nieurzeczywistnialną mrzonką.

Prawdą jest, że każda produkcya stanowi w gruncie rzeczy istotne i jedyne źródło bogactwa narodowego. Wszelkie przedmioty mające wartość materyalną, są produktami bądź natury, bądź też ludz-



kiej pracy. Skutkiem spożywania takich przedmiotów powstaje zmniejszenie się bogactwa, skutkiem zaś gromadzenia, czyli akumulacji, albo zaoszczędzania takich przedmiotów, bogactwo ogólne wzrasta. Nagromadzone bogactwo jednak, aby było produkcyjnym, musi być dostępnym dla wielkiej ilości konsumentów, w przeciwnym bowiem razie stałoby się ono bezcelowym i bezpłodnym.

Oprócz tego są niektóre produkty, wymagające z konieczności prędkiego spożycia i nie dopuszczające zbyt wielkiego nagromadzenia.

Zbytek zatem, to jest nadmierne, ponad normę zwykłych potrzeb spożywanie, okazuje się jako nieodzowny warunek wzrastającej produkcji i bogactwa ogólnego, do tego stopnia, że bez zwiększenia się konsumpcji, bogactwo samo żadnegoby znaczenia nie miało.

Jeśli pojedynczy człowiek owoców swjej pracy używa oszczędnie, w takim razie staje się on stopniowo bogatszym. Obok niego mogą i tysiące innych takąż samą postępować drogą i korzystać z takich samych rezultatów. Lecz jeśliby naród cały chciał się podobnemi kierować pobudkami oszczędności, rezultatem takiego systematu byłoby zubożenie ogólne.

Wprawdzie handel wywozowy towarów zbytkowych mógłby w części zastąpić brak wewnętrznego pokupu, ale zbyt towarów zagranicę jest zazwyczaj niepewnym, zależnym i od polityki handlowej państw ościennych i w części od warunku wzajemnego zapotrzebowania.

Do tego handel wywozowy przedmiotów zbytkowych, jeśli go nie wspierają szczególnie przyjazne warunki, żadną miarą pod względem korzyści nie może się równać z żywym, wszystkie klasy społeczne przenikającym, wewnętrznym obrotem. Zyski z handlu wywozowego zagranicznego rozdzielają się zwykle między nieliczne jednostki, nie przenikając do ogółu mieszkańców. Jeśli przytém zapotrzebowanie przedmiotów zbytkowych jest słabe, przemysł nie może się podźwignąć, a ograniczając się jedynie do produkcji rzeczy pierwszej potrzeby, nie może przyczynić się do uszlachetnienia téj gałęzi pracy, do podniesienia i wydoskonalenia jej estetycznej strony.

Bezwarunkowe potępienie zbytku w klasach zamożnych jest już tym samym wynikiem ciasnego na rzeczy poglądu. Owszem, zbytek, jako wynik naturalny dobrobytu i oparty na dobrych obyczajach i moralności, może na bogactwo narodowe tak samo oddziaływać pomyślnie, jak i oszczędność. Według trafnego zdania Roschera w narodzie zdrowym i zbytek jest zdrowym... Jeśli jednak zbytek ten jest sztucznie pobudzany przez próżność rodzin, przez chęć naśladownictwa klas uposażonych, wyradza on demoralizację i skażenie obyczajów, ze szkodą istotnego postępu.

Jakież jest w rozbieranój powyżej kwestyi, naukowe stanowisko autora, którego obszernie, niedawno wydane dzieło „O historii zbytku” dało nam pobudkę do niniejszej pracy?

Henryk Baudrillart, członek Instytutu francuzkiego, jest uczo-

nym, umiejącym pisać popularnie, t. j. obok zalety właściwej wszystkim uczonym francuzkim pod względem jasnego, zrozumiałego i treściwego wykładu, posiada on dar obrazowego i dziwnie ujmującego przedstawiania bodaj najzawilszej ekonomicznej kwestyi.

Dzieła Baudrillarta cieszą się uznaniem i poczytnością nie tylko we Francyi, ale nawet u nas, w kraju, przyswajającym sobie przedewszystkiem utwory literatury lżejszej, przy nader rzadkiem uwzględnianiu naukowego materiału literatur zagranicznych.

Na przykład wykładu ekonomii politycznej Baudrillart'a, zdobył się u nas przed kilkoma laty niewieści umysł, a przyznać należy, że z zadania tego wywiązał się nader zaszczytnie. Oprócz tego posiadamy w przekładzie rozprawę Baudrillart'a o związku ekonomii politycznej z moralnością.

Czterotomowa „Historja zbytku“ Baudrillart'a czyta się z istotnym zajęciem. Jestto, że tak powiemy, feiletonowy wykład zasad ekonomii politycznej, oparty na bogatym materiale historycznym, zaczerpniętym z dziejów wszystkich epok i narodów do najnowszych czasów.

Prawda, że mało który przedmiot nadawał się do tyle obrazowej ekspozycji, ile historia zbytku. Historia zbytku, jestto historia obyczajowości narodów. Filozof, moralista i historyk, znajdują tu nieprzebrane pole do refleksyi, do uwag i przestróg, czerpanych ze zgubnych następstw nadmiernego eksploatawania grubych instynktów zmysłowości: znajdującj w zbytku swoje zaspokojenie i wiodącj na drogę przenoszenia potrzeb ciała nad idealne a konieczne potrzeby ducha...

Czytajmy historję Rzymu, historję ostatnich chwil drugiego cesarstwa, historję Prus z epoki sprowadzenia miliardów z za Renu, a mieć będziemy wyrazisty, przykładowy obraz tego związku, jaki między nadmiernem rozkrzewieniem się zbytku w społeczeństwie, a upadkiem jego moralności zachodzi...

Baudrillart w studjum swoim stoi przedewszystkiem na gruncie etycznym. Rozbierając zbytek pod dwojakim względem: publicznym i prywatnym, wykazuje zgubne następstwa trwonienia funduszów i sił na cele nieprodukcyjne, a jeśli dla ostentacyi publicznej znajduje łagodzące okoliczności w oddziaływaniu tego faktu na byt roboczej klasy i rozwój przemysłu narodowego, zato niema dosyć słów dla potępienia rozrzutności pojedynczych rodzin i indywiduów.

Ileżto cierpkich zawodów i katastrof majątkowych przedstawia się oczom naszym w codziennym byciu owych rodzin, które, niepomne jutra, rwą się zapamiętałe na wyżyny dostępne nielicznym jedynie wybrańcom fortuny. Wspaniałe mieszkania, powozy, bale, pierwszorzędne w teatrach i na koncertach miejsca, wszystko to nęcąc swoim urokiem fantazyę średnich klas społeczeństwa, popycha je na drogę zbytkowych wydatków, a gdy nadchodzi chwila, że trzeba ściślejszy nieco zdać przed sobą rachunek, widmo nędzy ukazuje się ze wszyst-

kiemi straszliwemi następstwami, wiodąc niebacznych do niechybnego upadku.

Panegiryci zbytku, chcąc osłabić nieco gromy, miotane przez moralność przeciw rażącym objawom wzrastającego zbytku w naszej epoce, wskazują na sztukę, twierdząc, że źródłem rozwoju sztuki i koniecznym jej warunkiem jest zbytek.

Oddziaływanie zbytku na rozwój sztuki jest faktem zaprzeczeniu ulegać nie mogącym. Jest również prawdą, że sztuka z lichwą oddaje bogactwu to, co odeń otrzymuje. Lecz tu kończyć się winny hołdy, oddawane czwilizacyjnemu wpływowi zbytku.

Sztuka i zbytek czerpią swe podstawy z pierwiastków nietylko odrębnych, ale nawet wprost sobie przeciwnych. Sztuka dąży do urzeczywistnienia idei piękna, do odtwarzania pewnych kształtów; zbytek ma na widoku cel jedyny: pozór.

Sztuka jest bezwzględna, bezinteresowna; zbytek jest egoistyczny. Czémżeż jest w oczach zbytku owo piękno, cel upragniony prawdziwego artysty goniącego za doskonałością? Niczym innym, tylko żywiotem blichtru. Zbytek opłaca sztukę w taki sam sposób, jak opłaca materję; kupuje arcydzieła tak, jak kupuje kosztowności i cenne fatałaszkę. Zbytek chce być panem, ponieważ ma pieniądze. Narzuca on fantazyi artysty pęta, wskazuje mu drogi i środki schlebiana tłumom. Dewizą sztuki są słowa poety: *Materiam superabat opus*. Zbytek wymaga drogich kamyczków i metali. Napróżno sztuka radaby użyć, kamienia, marmuru, bronzu... zbytek domaga się złota.

Powiedzieliśmy wyżej, że pojęcie zbytku z upływem wieków, a zwłaszcza w bieżącej epoce niezmiernego wzrostu i rozwoju produktów przemysłu i handlu ważnym uległo przeobrażeniom. Przedmioty, nacechowane dawniej znamieniem zbytku, stały się obecnie przedmiotami pierwszorzędnej potrzeby. To właśnie zwiększa trudności w określeniu ścisłej granicy, jaka zachodzi między zbytkiem a przepychem, między tym ostatnim a sztuką w szlachetnym znaczeniu pojmowaną. Odosobniona kolumna Ś-go Marka, na Weneckiej Piazzetta stojąca, wykuta i wyrzeźbiona z marmuru, jako przedmiot bezużyteczny, do bezpośredniej potrzeby nie służący, mogłaby się napozór wydawać przedmiotem zbytku. Tak jednak nie jest. Kolumna ta, jako ozdoba, jako przystrojenie placu, zadawalniając estetyczną potrzebę ludzkiego wzroku, do kategorii zbytków nie należy, jak również nie można jej nazwać przedmiotem przepychu, ze względu na materiały, z którego wyrobioną została. Ale, jeśli we łbie przyozdabiającego jej gzyms skrzydlatego lwa, zamiast kolorowych szkieł lub kamieni, spostrzeżemy kamień drogi, jak np. rubin, wówczas ornament tego rodzaju będzie zbytkowym, a tém samém zbytecznym. Przykład tego rodzaju służący może zawsze jako miarozkaz tej pożądanej granicy między ozdobą, choćby najkosztowniejszą a nieprodukcyjnym balastem, noszącym w ekonomii miano zbytku.



W odniesieniu do względnej a zmiennej natury tego objawu, dostateczna będzie zastanowić się nad stosowaniami w ubiegłych wiekach prawami przeciw wszelkim przedmiotom wygody i ozdoby stosowaniami, tak zwanymi: *leges sumptuariae*.

U starożytnych Lacedemonów nie wolno było obywatelom posiadać domów i mebli obrobionych delikatniejszemu nad piłę i siekierę narzędziem. Potrawy codzienne wolno było jedynie solą i octem przyrządzać. Tyran Peryander, z Koryntu, nakazywał obywatelom składać rachunki z dochodów, a wszelkie wydatki ponad miarę tych dochodów czynione, surową za sobą pociągały karę.

Prawa zbytkowe Solona wymierzone były przeważnie przeciwko strojom kobiecym. Wyprawy ślubne mogły się być składać jedynie z trzech sukien i sprzętów podrzędnej wartości. Ustanowionemi były nawet dozorczyńnie dla pilnowania zbytkowych biesiad. Niewolno było podejmować u stołu więcej nad osób trzydzieści. Biesiadnikom przykazywano składać władzy sprawozdania z potraw, jakimi ich raczono. Inne zakazy dotyczyły zbytku w pogrzebach.

Takież same prawa istniały i u Rzymian. Prawo Oppia zabraniało kobietom posiadać więcej nad pół uncji złota, nosić purpurowe szaty i używać powozów w mieście i w okolicach. Udało się jednak kobietom wyjednać uchylenie tego prawa za konsulatu Katona Starszego, ale następnie tenże sam konsul obłożył wszelkie stroje kobiece i służbę niewolników znacznym podatkiem. Wydanemi były również zakazy sprowadzania roślin egzotycznych i delikatnych win z Grecji.

Pierwsze prawo, wymierzone przeciw zbytkowym biesiadom, wydanem było w r. 187 przed nar. Chr., przez trybuna Orchiusza, który urządził surową kontrolę nad liczbą zapraszanych współbiesiadników, i tym celem przykazał, aby wszelkie biesiady odbywały się przy drzwiach otwartych. Tak zwane prawo Famiusza ustanowiło maximum kosztów dla każdej biesiady. Senatorowie rzymscy obowiązali się nie zastawiać stołów swoich naczyniami większej nad sto funtów wagi. Konsul Fabricius Licinius wykreślił z listy senatorów, konsula i dyktatora Rufinusa dlatego, że tenże posiadał wzbronioną ilość srebrnych naczyń stołowych. Oddzielny edykt, wydany w r. 155 przed nar. Chr., zabronił bezwarunkowo używania foteli w teatrach, tych ostatnich zaś niewolno było stawiać z kamienia. Prawo Didia rozciągnęło na całą Italię zakaz kosztownych biesiad, ustanowiwszy karę nie tylko na amfitryona, ale i na współbiesiadników. Wydano zakaz sprowadzania modnych potraw. Po dłuższej przerwie spotykamy za dyktatury Sylli surowe prawa, wymierzone przeciw zbytkowym ucztom, pogrzebom i grom hazardownym, ale autor tych praw, jak uczy historia, sam nie był skłonny do ich szanowania.

Między państwami nowoczesnemi, Francja przedstawia najobfitsze źródło praw przeciw zbytkom wymierzonych. Pierwszym w tej mierze prawodawcą, był Filip IV, Pięknym zwany. Król ten, jak i na innym polu, nieugięty pogromca szlachty, tak i na polu prawodawstwa

przeciw zbytkom wymierzonego z niezwykłą stanowczością, zabrał się do przeprowadzenia reformy. Ordonansa jego w przedmiocie ubiorów datuje się od r. 1294.

Klasyfikacya przez prawo to przyjęta, polegała jednocześnie na różnicy stanów i dochodów. I tak, między baronami, wyróżnia prawo takich, którzy mają 6,000 liwrów rocznego dochodu, jak również szlachtę posiadającą 3,000 liwrów dochodu. Każda z tych klas stanowiła oddzielną kategorię. Używanie niektórych przedmiotów było bezwarunkowo zakazane. Prostym mieszczanom zabroniono trzymania powozów, noszenia złota, drogich kamieni i futer. Cena nawet materiałów była ściśle dla każdej klasy społeczeństwa określona. Jeśli kto, w dacie wydania tego prawa, posiadał zakazany przedmiot, obowiązany był, w określonym terminie, wyzuć się z niego. Określono nawet, ile razy, w ciągu roku wolno było sprawić nową odzież. Kary na przekraczających wydane prawo zastosowanemi były, odpowiednio do stanu i majątku.

Oprócz ordonansy w przedmiocie ubiorów, wydanem było również prawo, określające liczbę potraw obiadowych. Za Karola V zabroniono noszenia trzewików ze spiczastemi, do góry zakrzywionemi noskami. Obuwie tego rodzaju zakazanem było i przez Kościół na Synodzie Paryzkim z r. 1312. Przedmioty kunsztu złotniczego, poprzednio wyłącznie w kościołach zachowywane, zaczęły się powoli ukazywać i między mieszczanstwem; lecz za Ludwika XII wydanem zostało postanowienie, aby wszelkie przedmioty tego rodzaju, których waga wykraczała poza określoną normę, nie były więcej fabrykowanemi bez zezwolenia króla.

Od końca XV wieku prawodawstwo ze szczególną bacznością przestrzegało zakazów, dotyczących przedmiotów złotych, srebrnych i jedwabnych. W r. 1543 jedynie książętom krwi pozwolono nosić szaty złociste. W r. 1547 przywilej ten nadano i damom dworskim.

Stan trzeci w r. 1560 żalił się na zbytek między duchowieństwem praktykowany. Szlachta ze swjej strony uskarżała się na zbytek mieszczan, jeżdżących konno i ubierających się bogato. W r. 1561 pojawiły się nowe zakazy w przedmiocie litych, złotem tkanych szat. Kobiętom pozwolono przystrajać głowy kosztownemi stroikami, tylko w pierwszym roku po ślubie. W połowie XVI wieku pojawił się modny strój kobiety hiszpański, *verdugado* zwany, t. j. strojna listewka, noszona poniżej stanika sukni. Niebawem prawo określiło maximum wartości tego stroju dla każdego stanu. Ordonansa Henryka III przeciwko zbytkom wydana w r. 1573, jako główną pobudkę zakazu, przytoczyła wzrastającą ciągle drożyznę przedmiotów zbytkowych, jakotóż artykułów koniecznych do życia, a to skutkiem odkrycia min złota w Ameryce.

Z końcem XVI wieku znikają stopniowo owe prawa, osnute na różnicy stanów. Pobudki poprzednio czerpane, ze względów moralności, ustępują miejsca interesom handlu.

Deklaracya Ludwika XIV z r. 1644, użala się nietylko na raptowny przywóz przedmiotów zbytkowych z zagranicy, skutkiem czego wiele złota z Francyi ubywa, ale nawet zarzuca przemysłowi krajowemu, iż zwrócił się przeważnie do wyrobu tkanin złocistych, tak, że miasto Lyon absorbuje tym sposobem wartość 100 tysięcy liwrów tygodniowo.

W r. 1656 zabroniono noszenia kapeluszy kastorowych, wyższej nad 50 liwrów wartości.

Za Ludwika XV prawa przeciwko zbytkom powoli zaczęły przechodzić w zapomnienie, tak samo i w Anglii, gdzie z powodu ich bezskuteczności nadawano im częstokroć dziwaczną formę. I tak, za Edwarda III nie zabraniano bezwarunkowo noszenia przedmiotów złotych, srebrnych i jedwabnych, gdyż wyjątek pod tym względem uczyniono na korzyść mężczyzn, mających mniej niż sto lat wieku życia.

W dawniej Polsce również napotykanym zakazy prawodawcze w przedmiocie zbytku.

Chcąc powściągnąć zbytek, rozkrzewiony w niższych stanach, uchwalono konstytucyą w r. 1613 za Zygmunta III (Vol. leg. III, 183), pod tytułem: „Lex sumptuaria,“ mocą której żaden mieszczanin, ani plebejus, excepto magistratu nie miał „zażywać“ szat jedwabnych i podszewek, także futer kosztownych, okrom lisich i innych podlegszych; także w safianie, aby żaden z nich nie chodził sub poena 14 marcarum. Ktoby zaś ex plebeis ważył się do stroju klejnotów, sukien jedwabnych albo droższych i te rozumiejąc, co już gotowe mieli; także soboli, ryerów, marmurków, pupków i jedwabnych pasów używać, taki każdy kupiec i mieszczanin bogatszy tysiąca marek podlegał.

Według konstytucyi z r. 1655 za Jana Kazimierza uchwalonej, tak dla Korony, jako i dla Litwy, żaden kupiec irritamenta luxus wozić nie miał do państw Rzplitej, mianowicie: teletów, złotogłowiów i innych złotem tkanych materyi i żadnej roboty z ciągniętego i nitkowego złota, ani samego złota i srebra ciągniętego, towarów złotych, tureckich i perskich, ani klejnotów z dyamentami, rubinami i innemi drogiemi kamieniami, ani pereł, ani sreber złocistych i takich robót, któreby droższe były aniżeli walor samego srebra albo kruszcu, ani pasztów genueńskich, a to pod karą konfiskaty. Materye tylko jedwabne omnis generis wozić i sprzedawać było wolno, także sukna holenderskie najdroższe na zł. dziesięć i zdawna zwyczajne szkarłaty, półszkarłacia i półgranacia. Te jednak materye złociste, których już nawieźli do dwóch lat, sprzedawać im wolno, ale na aparaty kościelne.

W r. 1659 reasumowano tę konstytucyę, a na wyprzedanie towarów zakazanych rok tylko jeden czasu kupcom pozwolono.

Zbiór Herburtu obejmuje przepisy, odnośnie do win i drogich kamieni. Według konstytucyi z 1776 r., za Stanisława Augusta wydanej, nikt z osób stanu nieszlacheckiego, złota, srebra, pereł, klejnotów, koronek, drogich futer, jakoto: marmurków i soboli do stroju swego



używać, ani szabel i szpad, z wyjątkiem magistratów i podróżnych nosić nie miał prawa.

Osobom stanu szlacheckiego zakazano używać na liberye służby sukien zagranicznych, srebra, złota i passamonów za granicą fabrykowanych. Zakazano nadto skór, powozów, szkieł i farfurów zagranicznych.

Według konstytucyi z r. 1780, nikomu z obywateli obojga płci, niewolno było nosić koronek, haftów, szlef u mundurów, galonów, materii bogatych i tego wszystkiego, w czém złoto lub srebro ciągnięte znajduje się, prócz tego meble zagraniczne sprowadzać zabroniono.

Kiedy w Europie Zachodniej prawa skierowane przeciw zbytkom w ubiorach zaczęły stopniowo słabnąć, wzmożła się tymczasem konsumpcya rozmaitych przedmiotów, które dziś, stanowiąc niezbędną dla wszystkich klass ludności potrzebę, w wiekach XVI, XVII i XVIII stanowiły jeszcze rzadkość i zbytek wielce upragniony, przeciwko którym, rządy uważały za właściwe walczyć surowemi obostrzeniami.

Do rzędu takich przedmiotów zbytkowych należały między innymi, wódka, tytoń, kawa i t. p.

Powszechniejsze używanie wódki datuje się od XVI wieku. Począwszy od r. 1500 rozpoczyna się szereg zakazów ograniczających to użycie do tego stopnia, że w Niemczech aptekarzom jedynie dozwolano w małych dozach trunków ten sprzedawać.

Toż samo miało miejsce i z użyciem tytoniu. Odkryty w r. 1496 na wyspach Antylskich, już w drugiej połowie XVI wieku stał się tytoń w Europie przedmiotem uprawy, lecz używano go zrazu li tylko jako środek leczniczy.

W początkach XVII wieku William Camden piorunował przeciw zakorzenionemu nałogowi palenia tytoniu. Jakób I król angielski obłożył tytoń w roku 1604 wysokim podatkiem, ze względu, że jak głosiło prawo, klasy niższe pobudzane przykładem majątniejszych, niszczą zdrowie, zatrują powietrze i zanieczyszczają grunta.

Pewien Anglik wydziedziczył syna swego z powodu, że ten ostatni przywykł do palenia tytoniu.

W Rosyi w roku 1634 zabroniono poddanym pod karą śmierci palić tytoń; następnie jednak karę śmierci zamieniono na karę ucięcia nosa.

W Bernie, w Szwajcaryi, w roku 1661 ustanowiono oddzielne sądy na palących tytoń a w roku 1624 papież Urban VIII rzucił klątwę na zażywających tabakę po kościołach.

*Aleksander Kraushar.*

(D. n.).

„O skażeniu języka polskiego w prasie,“ opracował Ludomir Szczerbowicz-Wieczór. Płock. Nakładem Izydora Wasermana, 1881 r., w 8-ce, str. 154.

Przygotowując od lat kilku materiały do studyum o skażeniu języka, autor zamieścił niektóre swoje spostrzeżenia w „Gazecie Polskiej“ z r. 1877, gdzie były drukowane p. t.: „Skorowidz ważniejszych błędów,“ głównie tych, które spotykają się w dziennikach. Artykuł ten, pomimo czysto informacyjnego swego zadania, zawierał już wiele pożytecznych spostrzeżeń. Książka niniejsza jest dalszym jego ciągiem, ale w takim stosunku, jak obraz do pierwotnego szkicu. Na pierwszy rzut oka widać, że jest opracowana naukowo i że wbrew zdaniu, wypowiedzianemu przez poważnego zresztą pisarza (p. Chmielowskiego), zawiera rzecz, która niejednego zająć może, a nawet i nauczyć, pomimo wydanych poprzednio w tej materii prac Fr. Sko-bła („O skażeniu języka naszego,“ Kraków, 1870 r.) i Al. Walickiego („Błędy nasze w mowie i piśmie,“ Warszawa, 1876 r.).

Stanowisko nawet, z jakiego p. Ludomir Szczerbowicz-Wieczór traktuje tę materję, uważamy za bardzo dobrze obrane. Nie bogowie, ale śmiertelnicy, których przeznaczeniem jest błądzić, mają w użyciu mowę, pomiędzy tymi zaś, mała zaledwie cząstka zdolna do jakiegoś sądu nad swemi słowami. Ale pomiędzy tymi ostatnimi nawet największa część z trudnością przekonać się może o codziennie popełnianych błędach w mowie, gdy się do nich widzi upoważnioną przykładem prasy, obejmującej największą, choćby niewybraną część tegoczesnego piśmiennictwa.

Prasa ma przeważnie, że tak powiemy, pedagogiczne zadanie względem swoich czytelników. Jak pod względem życia praktycznego wskazuje społeczeństwu drogi do jego uszczęśliwienia, tak ze stanowiska i naukowego i narodowego stać powinna na straży czystości i poprawności ojczyźstj mowy. Że temu nie czyni zadosyć, to bezwątpienia nie może być przypisywane brakowi dobrej chęci, a nawet nie dającym się usprawiedliwić niedbalstwu. Autor sam przytacza (str. 48 i 49) okoliczności, które skłaniać powinny do wielkiego umiarkowania w wymaganiach pod tym względem od redakcyi pism, zwłaszcza wychodzących w krótkich odstępach czasu. Uwagi tćż autora nie mają zapewne na celu samj przygany naszej prasie, którj pewna część przynajmniej ostatniemi czasy wiele przykładu starania do utrzymania czystości mowy, ale raczej przywołanie do czujności nad tćm, co stanowi wspólne nasze dobro, gdyż w obec tylu wpływów na skażenie języka działających, zbytku troskliwości w tćj sprawie być nie może. Sprostowanie zaś błędów, podług istotnych zasad języka, daje piszącym i mówiącym pożyteczną wskazówkę, gdyż niektóre błędy tak się już zakorzeniły, że nas częstokroć nie rażą.

Rozdział I-szy, w którym autor mówi o zmienności języków, stanowi wstęp ogólny do właściwej rzeczy. Obowiązkiem każdego narodu jest przechowywać jaknajdłużej mowę swoją w czystej narodowej indywidualnej postaci. A upadek języka odbywa się stopniowo przez zmiany, które w nim zachodzą, głównie przez odstrychnienie się mowy pospolitej od książkowej, przez prowincjonalizmy i przez nowopowstające narzecza, dalej przez obce naleciałości, szczególnie z języków pozornie podobnych.

Co do 1-go (rozd. II), język nasz, stosunkowo do innych, np. do niemieckiego lub francuzkiego, znajduje się w dosyć korzystnym położeniu, gdyż właściwych dyalektów (oprócz może kaszubskiego) niema, są tylko prowincjonalizmy drobnemi wyróżniające się cechami; język książkowy, pomimo wpływu łaciny i niewielu wyrazów obcych, daleko mniej różni się od mowy ludowej, niż np. język niemiecki książkowy (Hochdeutsch) od ludowego (Plattdeutsch). Ale za to mocno rozpościerają się u nas wpływy obce, skutkiem 1-ód położenia geograficznego; dalej wypadków politycznych, które spowodowały pobieranie edukacji w obcych językach, niemniej w skutek przewagi obcych języków w sądzie i w urzędzie. Jako środki przeciwdziałania szkodliwym tym wpływom, zalecają się: ustalenie zasad języka przez grono ludzi, mających odpowiednią do tego powagę, np. jak obecnie przez akademię Krakowską <sup>1)</sup>; zachowanie łączności mowy literackiej z ludową; przestrzeganie tradycji literackich i dawnych dobrych wzorów, wreszcie przez ustalenie zasad dobrego smaku, czyli estetyki mowy.

W rozdziale III objaśnia autor przyczyny skażenia języka w prasie, szczególnie warszawskiej; wymienia najwięcej upowszechnione solecizmy warszawskie, wspomina też o szkodliwym wpływie nadużycia humorystyki, o przekręcaniu języka dla obudzenia śmiechu (np. drynda, puścić w trąbę, dać nogę i t. p.).

W rozdziale IV mówi o solecyzmach w odmianach wyrazów i składni. Jako główne błędy, wskazuje tu autor wyrazy: kometa, planeta, niepotrzebnie w rodzaju męzkim używane: co innego np. atleta, poeta i t. p., bo te oznaczają osobę męzką. Dalej, zaniedbanie formy nazwisk żeńskich np. pani Rakiewicz, panna Zawisza i t. p. oraz zaniedbanie przypadkowania nazwisk męzkich, np. do pana Józefowicz.

<sup>1)</sup> Nie sądzimy, by jakiegokolwiek powagi, choćby mocą najwyższych dekretów, skutecznie tu działać mogły. Szacunek wszystkich piszących, dla czystości języka, większa powściągliwość w przeróżnych nowatorstwach, sumienna praca, na klasycznej naszej literaturze XVI-go wieku gruntownie wykształconych nauczycielów, mniej powszednich gramatyk, a więcej zamilowania i poczucia strony estetycznej naszego swojskiego stylu i więcej jasnego pojęcia fizyologicznej i morfologicznej strony naszego języka, to są jedyne skuteczne środki na powstrzymanie szerzącego się coraz bardziej skażenia naszego języka, dokonującego się przez lekkomyślność własną, równo jak i przez obce wpływy. *Przyp. Red.*



Nadużycie końcówki i (y) w II-gim przypadku liczby mnogiej, np. króli, cesarzy, a szczególniej pokoi, stroi (!). W liczebnikach: błędne użycie wyrazu para (dwa) np. przed paru laty, z paroma (?) sługami. W konjugacyi: imiesłowy od słów nieprzechodnich, jak: na-jedzony, przeskadzony. W składni: użycie gdzie zamiast dokąd, gdzie idziesz? jak zam. niż, np. bielszy jak śnieg; jaki zam. który np. wiadomości jakie (zam. które) dziś otrzymujemy. Autor słusznie uważa, że wyraz jaki, ściąga się zawsze do przymiotnika wyraźnego lub domyślnego, np. grozi wojną, jakiej jeszcze nie było. W tém zdaniu wyraz jaki użyty poprawnie, gdyż tu nie o rzecz idzie, ale o jęj własność. Użycie przyp. IV po czasownikach, wymagających III albo II-go, np. oznajmić czytelników (zam. czytelnikom), chcieć książkę zam. książki). Niezachowanie prawidła, wedle którego po słowach z przeczeniem, choćby pośredniem, stać powinien przyp. 2-gi, np. nie uważamy to (zam. tego) za prawdopodobne, nie chciałem darować mu tę sumę (zam. tej sumy). W tych dwóch solecyzmach widzi p. Ludomir Szczerbowski Wieczór wpływ żydowskiego żargonu, także i w użyciu zaimka dzierżawczego mój, twój, nasz i t. p. zam. swój, np. mam moję książkę; słowa być z przeczeniem w formie okolicznej zam. wyrażenia nieosobistego np. „nie jestem w domu“ (zam. „nie ma mnie“), „nie byłem na balu“ (zam. „nie było mnie“). Użycie spójnika żeby zam. gdyby np. „żeby nie ta zabawa, byłoby bardzo nudno,“ uważane za prowincjonalizm litewski, w mowie warszawskiej równie jest pospolite. Niewłaściwa przekładnia zaimku „się,“ z wyjątkiem gdy wypada na koniec zdania przed kropką, np.: „nie chciałem ani się bawić, ani się z zabawą wyłączać.“

W rozdziale V wylicza rusycyzmy, pomiędzy którymi rozróżnia: wyrazy żywcem z rosyjskiego wzięte np.: „niedorozumienie“ (nieporozumienie), „poryw“ (popęd), „przejaw“ (objaw) i t. p.; obu językom wspólne, ale użyte po polsku, na sposób rosyjski; pomiędzy temi zaś archaizmy, pod wpływem rosyjskim odnowione, np.: „beznadziejny,“ „kłonić się,“ „wykluczać;“ formy „a“ w znaczeniu „ale“ „i“ np.: „nie ona jego (ale) on ją strawi,“ „dwa a (i) dwa, czyni cztery;“ „drugi“ w znaczeniu „inny“ np.: „odprawił razem z drugimi;“ „stało“ z przeczeniem w znaczeniu braku, np. „nie stało go;“ „przyjąć“ w znaczeniu „przypuścić“ np. „przyjąwszy że masz racyą;“ „znošenje“ zam. „porozumiewanie“ i t. d. Neologizmy, na sposób rosyjski urobione, np.: „bezprzerwny,“ „bez mała“ (zam. nieprzerwany, nieustanny, niemal) i wyrazy cudzoziemskie na sposób rosyjski np.: „frazą, gimnazista, obserwatorya, kontrolny“ i t. p. W składni, oprócz błędów, które są zarazem solecyzmami, ale do których upowszechnienia przyłożył się niewątpliwie wpływ rosyjski, wymienić należy przyimek „po“ użyty zam. „do“ np.: „aż po koniec wieku“ w zam. „do“ np.: „wpadłem w wodę“ (zam. do wody); nadużywanie czasowników zwrotnych w znaczeniu biernym, np.: „czy już egzaminowałeś się“ (zam. zdawałeś egzamin), „artykuł ten czyta się z przyjemnością“ i t. p. Przysłówek w stopniu

wyższym z przyp. II, np.: „niżej wszelkiej krytyki“ (zam. od). Pod względem frazeologii, wyraz jak np.: „śledzić za kim“ (zam. kogo, co), „związać koniec z końcem“ (zam. doprowadzić do końca z trudnością), „położyć sobie za cel;“ słowo „leżyć“ w znaczeniu „polegać, tkwić,“ np. „to leży w jego naturze“ i t. p. <sup>1)</sup>

W rozdziale VI mówi o galicyzmach, germanizmach i w ogóle o barbaryzmach. Tu wyróżnia wyrazy cudzoziemskie zbyteczne, jako dające się łatwo zastąpić polskimi, np.: „dedukować“ (wnosić, wnioskować), „grawitować“ (ciążyć) „ieolować“ (odosobnić) i t. p.; wyrazy cudzoziemskie w błędnej formie np.: „erudyta“ (zam. erudyty), „chrześcianizm“ (wyraz półsłowiański, półgrecki) i t. p.; neologizmy cudzoziemskiego pochodzenia takie, jak: „abstrakt, intelekt,“ pacyficzny i t. p., które nazywa dziwolągami z cudzoziemska polskimi; błędy gramatyczne na sposób cudzoziemski, np.: „pojechałem do Bukareszt;“ pomieszanie zaimków „swoj, jego“ np.: „brał udział w przysiężeniu przeciwko jego własnej władzy“ (zam. swojej własnej); „zapewnił, że jak swoi (zam. jego) przodkowie“ i t. d. Imiesłów nieodmienny (osobliwy), użyty za orzeczenie zdania pobocznego, gdy głównie ma inny przedmiot, np.: „przybywszy do Lwowa nowy cios go spotkał; wszystkie obowiązki będąc określone, każdy wie czego się trzymać.“ Słowo „być“ w trybie bezokolicznym, jako dopełnienie tegoż słowa w orzeczeniu np.: „dumny jest być narzędziem“ (zam.: że jest i t. d.). To są galicyzmy. Wyrażenia: „nikomu użyteczny“ (zam. nieużyteczny); „ma to wspólne z nim“ (zam. to wspólnego); „muzeum dla sztuk i przemysłu“ (zam. muzeum sztuk i t. d.) „w razie (gdy) Porta nie przyjmie propozycji,“ „pierwszy który (zbyteczne) był (również zbyt.) X,“ to są germanizmy po części, judaizmy. Podobnie „szafa z kosztami wynosi,“ „zeszyt rozpoczynającego się roku,“ „bliżej listownie,“ „nie znał granic w gniewie“ i t. p. <sup>2)</sup>

Ogółem z dodatkami wymienia p. Ludomir Szczerbowski-Wieczór dopatrzonych w czasopismach 182 rusycyzmów, 152 solecyzmów i 130 barbaryzmów francuzkich lub żydowsko-niemieckich. W III-cim dodatku kilka uwag polemicznych, z powodu podjętej przez A. A. Kryńskiego obrony błędnych sposobów mówienia w nazwiskach żeńskich (pani Józefowicz, panna Zareba i t. p. o czém wyżej). Mimo powagi p. Kryńskiego w kwestyach językowych, trudno nie przyznać, że argu-

<sup>1)</sup> Zwróciłibyśmy tu jeszcze uwagę na narzucającą się nam coraz bardziej konstrukcją bierną, chociaż sztyk ten jest duchowi naszego języka, jak najwstrętniejszy, tak, że często rozumienie myśli utrudnia. *Przyp. Red.*

<sup>2)</sup> Zwracamy uwagę na bardzo powszechny błąd: rozumien coś pod tém a tém (ich verstehe unter...) zamiast przez to. Przyimek pod oznacza stosunek położenia jednego przedmiotu względem drugiego (pies leży pod stołem); ale nigdy stosunku pojęć abstrakcyjnych. Duch języka niemieckiego nawet i rosyjskiego jest zupełnie inny: pojęcie tych języków jest w tym razie więcój materialuc. *Przyp. Red.*

menta jego w sprawie zatrzymania form tych błędnych, lubo mocno dziś zakorzenionych, nie dadzą się usprawiedliwić. Nie można bowiem, jak chce p. A. A. Kryński, odmówić nazwiskom zakończonym na „wicz“ i t. p. formy przymiotnej; nazwiska cudzoziemskie naturalizowane, dają się prawie zawsze nagiąć do form polskich (możnaby np. powiedzieć pani Collier-owa, Grewo-owa i t. p.) stosunki z obcymi nieznanymi tych odmian wcale nas nie powinny skłaniać do łamania polszczyzny, a podwyższone stanowisko kobiet w społeczeństwie, które tu wmieszał p. Kryński, nie niema do form języka; nakoniec wymagania eufonii, zwłaszcza w końcówkach przypominających wyrazy pospolite (np.—ówna od nazwisk takich jak Berg, Ostrorog), na seryo brane być nie mogą, gdyż w ten sposób, co dziesiąty wyraz byłby już shocking.

W całości swój uważana obecna książka, pomimo systematyczności i formy umiejętnej, nie wyczerpuje przedmiotu, szczególnie też w dziale rusycyzmów wieleby jeszcze powiedzieć można. Pominięte są np. rusycyzmy nader upowszechnione u tegoczesnych pisarzy, zwłaszcza w tak zwanój młodój prasie: „słoje“ (warstwy) „rozprzestrzenić“ (rozszerzyć), „rozpołożenie“ (geogr.), „zbyt“ (odbyt), „światły“ (jasny), „autorytet“ (powaga), „ściśnić się“ (krępować), „lubować się“ (lepiej już—delektować), „nowszy“ (w znaczeniu: nowoczesny, tegoczesny), „kpiątek“ (niby woda wrząca) „rozsierdzić“ (rozgniewać) „nie-rzadko“ (często), „szajka“ (banda), „pustynny“ i wiele innych. Wyrażenia takie jak np. „brzydka“ (albo zła), „pogoda,“ „złe powodzenie,“ „publika“ (w znaczeniu publiczność, w dawnój polszczyźnie ten wyraz znaczył to samo, co publikacya, np. „Publika ks. Józefa Wereszczyńskiego), „wielkoduszny“ i i. wypadało nazwać wprost barbarzami, gdyż na ich wytworzenie oprócz rosyjskiego składały się także inne obce wpływy (wyrazy np.: wielkoduszny, bezśmiertny, przysługiwać—znajdujemy głównie u pisarzy poznańskich) <sup>1)</sup>.

Chcielibyśmy także zwrócić uwagę na niewłaściwe używanie ostatniemi czasy wyrazu rosyjskiego „prawosławny,“ w znaczeniu wyznania religijnego, np. „religia prawosławna w Grecyi, w Rumunii.“ Wyraz ten użyty być może jedynie w znaczeniu Kościoła państwowego w Rosyi i w żadnym razie nie może dotyczyć wyznawców Kościoła katolicko-wschodniego albo greko-katolickiego (greko-dyzunickiego) poza obrębem Rosyi, oraz tych, którzy się za Rosyan nie uważają. Jestto barbaryzm uniesiony ze sfer urzędowych; do r. 1848, a poczęści do r. 1864 w dokumentach nawet urzędowych i w „Dzienniku Praw“ używano wyrazu: „grecki“ albo „grecko-rosyjski.“

Wypadało też nie pominąć prowincjonalizmów polskich z tak zwanego „zabranego kraju“ wołyńskich, ukraińskich, litewskich. Uwa-

<sup>1)</sup> Zwracamy także uwagę na używanie zaimka „który“ w zdaniach względnych, nie na początku zdania, ale dopiero po drugim wyrazie.



gi autora dotyczą wyłącznie prasy warszawskiej; pożądanem byłoby chociażby pobieżne wspomnienie galicyanizmów, z których pewna liczba do tutejszego piśmiennictwa wkładać się zaczyna np. „przedłożyć“ (przedstawić, przełożyć), „wysadzona“ (!) „komisya“, „zapiski“ (notatki), „ciepłota“ (ciepłostan, temperatura), „udar“ (apopleksya) i t. p. Tu wypada nadmienić, że przytoczone pomiędzy solecyzmami warszawskimi: „skandal“, „senzualista“, to są właściwie galicyanizmy germańskiego autoramentu, podobnie jak np. „konzul“, „Perzowie“ i t. p.

Wspominamy o tém dlatego, że autor przygotowuje do druku seryą drugą traktatu o skażeniu języka; spodziewać się należy, że pod tym względem, postara się uzupełnić swoją książkę. Powinienby także zwrócić uwagę na nieprawidłowe, a w każdym razie niesmaczne wymawianie nazwisk geograficznych np.: „Bołgarya“ (zam. Bulgarya), „Bałtyk“, „Mołdawia“ (w dawniej polszczyźnie zawsze Multany, choć przez to nazwisko rozumiano także Wołoszę), „Sztokholm (to z niemiecka właściwie Stokolm, Sztrasburg (również niemieckie, właściwie Strasburg), „Szkocya“ utarte już w mowie, powinnyby być „Skocya.“ Tu także należą niesmaczne wyrazy geograficzne na sposób obcy; np. „nawodnienie“ (zasób wód, możnaby powiedzieć wodostan) „zroszony“ (skropiony, oblany) „bassen“ (dolina rzeki, lepięj, nowoutworzona porzece, tylko nie dorzece, odrzece, bo to wprowadza zamieszanie pojęć. Nasi geografowie powinniby zajrzeć do dzieł W. Pola, największej u nas dotąd powagi (?) w nauce krajoznawstwa, lubo nie powiemy, żeby wyrazy nowo-użyte przez Pola, były zawsze szczęśliwe.

Wypada nam przytém wytknąć niektóre drobne zresztą usterki faktyczne. Język celtycki w Irlandyi p. Ludomir Szczerbowicz-Wieczór liczy do umarłych (str. 10 i 14), gdy podług spisu z r. 1871 w całej Irlandyi 19%, a w prowincyi Connaught 45% ludności mówiło jeszcze po irsku, t. j. celto-irlandzku, a 163,285 mieszkańców nie umiało wcale po angielsku. Pomiedzy góralami szkockimi liczą też około 150 tysięcy mówiących, oprócz angielskiego, swoim rodzinnym narzeczem celtyckim (gaël). Trudno też zgodzić się na klasyfikacyą językowo, podług której czeski, polski i t. d. uważałyby się za dyalekty, nieistniejącego a może i niebyłego języka słowiańskiego (str. 31). Mówiąc o zanieczyszczeniu mowy ludu szląckiego germanizmami, (w czem autor ma zupełną słusność przeciw p. L. Malinowskiemu) wypadałoby jednak wyróżnić mowę ludu w księstwie Cieszyńskim, gdzie jest dosyć czysta. Niektóre wyrazy cudzoziemskie, które p. Ludomir Szczerbowicz-Wieczór potępia, mogą być przydatne w naszej mowie np.: „popularyzować“, nie da się dokładnie oddać przez upowszechniać; „kryminalność“ (str. 120) w znaczeniu skłonności do przestępstwa objawionej czynem, nie daje się żadnym swojskim wyrazem zastąpić; „historyzm“ jestto wyraz użyty najprzód przez B. Trentowskiego, jako przeciwieństwo „radikalizmu, nie jest może złym wyrazem, a w każdym razie nie gorszym od konserwatyizmu, którego właściwie pewien

odcień oznacza. Wiele jeszcze uwag zrobićby można. Nie czynimy wszakże stanowczego zarzutu i uważamy to raczej za kwestyę, którą grono znawców rozpoznaćby powinno.

rb.

„Szlachta w świetle opinii wieku XVIII,” przez Władysława Smoleńskiego. Warszawa, 1881, w 8-ce, str. 16.

Rozprawka ta jest niejako dalszym ciągiem poprzednio wydanej p. t.: „Szlachta w świetle własnych opinii,” a treścią jej jest zmiana, której w poglądach społeczeństwa uległo dawne nasze szlachectwo, pod wpływem idei XVIII wieku. Przełom ten dawnych pojęć z nowemi, z Zachodu, osobiwie też z Francyi przyniesionemi, odbył się u nas, jak wiadomo, około środka zeszłego wieku, na przejściu od czasów t. z. Saskich do Stanisławowskich i dokładnie wyraził się w życiu publiczném tą chwilęnością, która cechuje nasze prawodawstwo począwszy od elekcyi Stanisława Augusta aż do konstytucyi 3 maja. Tak konstytucyca z r. 1764 obostrza prawo z r. 1726, zabraniające plebejuszom patronizowanie w sądach, konstytucyca zaś r. 1768 zachęcając mieszczan a d usus publicos, wyłączenie ich tylko do trybunałów, sądów grodzkich i ziemskich ogranicza. Tamta neofitów od prerogatyw stanu rycerskiego usuwa, urzędów i dóbr pozbawia, aby ten rodzaj rodowitego szlachty polskiej plemienia z czasem nie zaćmił; tymczasem sejm koronacyjny dystyngowańszych neofitów nobilituje i na każdym sejmie dziesięciu neofitów nobilitować pozwala; konstytucyca zaś r. 1768 wszystkim żydom ochrzczonym przed r. 1764 szlachectwo przyznaje. Sejm konwokacyjny ponawia, a nawet obostrza wyłączenie plebejuszów od wyższych urzędów duchownych; konstytucyca r. 1768 w zasadzie przynajmniej plebejuszów do urzędów publicznych dopuszcza. W roku 1767 pokazała się tak zwana suplika Tarczyńska, poraz pierwszy może od lat wielu jawnie domagająca się dla włościan nietylko zniesienia poddaństwa, ale własności gruntowej i praw politycznych. W roku 1768 zniesione jest jus vitae et necis nad chłopami. W r. 1787 sejm odrzuca bez rozpraw wnioski Andrzeja Zamoyskiego o usamowolnieniu włościan, a w rok potem zbiera się sejm, który wydał konstytucyę 3 maja. Porównyując jej artykuły, odnoszące się do stanów społecznych z opinią publiczną, wyrażoną w ówczesnej literaturze, autor sądzi, że „ustawę tę dyktowała roztropność pod presyą starych przesądów,” którym tyle poczyniła ustępstw, że „one pochłonęły na korzyść szlachty to wszystko, co by mogło przypomnieć ową przyrodzoną ludziom równość i wolność.”

Autor, który w niniejszej rozprawce daleko więcej, niż w poprzednich swoich pracach historycznych, pamiętał Tacytowskie „sine ira et studio,” w tym jednakże wyroku o ustawie 3 maja nie okazuje się do-

syć przedmiotowym. Prawdą jest, że nie uczyniła ona zadosyć „najbardziej zmoderowanym teoretycznym poglądom Kołłątaja i Staszica,” niemniej jednak stosunkowo do poprzedniego stanu była wielkim krokiem naprzód i trzymając się jeszcze na gruncie dawnego szlachectwa, odjęła mu zupełnie to stanowisko stanu, zasklepionego w swym przywileju, na którym stanął w czasie, kiedy gnuśnością i wyrzeczeniem się wyższych żądań politycznych, przygotował sobie wraz ze zgubą Rzeczypospolitej własny swój upadek. Ustawa 3 maja stwarzała podstawę takiego rozszerzenia stanu szlacheckiego, że podług słów Zygmunta Krasińskiego mogło ono z czasem „zszlachcić“ naród cały <sup>1)</sup>. Nie należy zapominać, że prawodawcy 3 maja byli sami wyłącznie z tego stanu uprzywilejowanego, który, jak każdy uprzywilejowany, naturalną ma skłonność do utrzymania się w swojej wyłączności za jakąbądź cenę. Żywioł nie szlachecki oddziaływać mógł tylko drogą pośrednią, wpływem moralnym przez opinią publiczną, przez pisma. Wszędzie i zawsze pomiędzy teorią a praktyką w sprawie postępu były, są i będą wielkie różnice. Potrzeba wyższej jakości siły, nadzwyczajnych wypadków, gwałtownej presji z góry lub z dołu, aby na razie ów przedział zapełnić! Faktycznie nastąpiło to w trzy lata później, jakby w odwecie za niefortunną akcją r. 1792 i haniebny sejm Grodzieński.

Pan Władysław Smoleński, który żywo skreślił wizerunek rozwijania się idei XVIII wieku w społeczeństwie starszszlacheckim, nie dokończył obrazu, zamykając go „spółką magnatów targowickich z farfurowymi rycerzami,” a nic nie wspominając o r. 1794, który lubo przyspieszył ostatni rozbiór Rzeczypospolitej, ocalił jednakże honor wojskowy, mocno podszargany niedołęzną kampanią r. 1792; podobnie jak sejm 4-letni, choć ustawa 3 maja skutkiem zaszytych wypadków była niejako jego testamentem politycznym, dowiódł bezzasadności zarzutów, często czynionych dawniej szlachcie polskiej, że jej wolność była tylko przywilejem uciemężania i wyzyskiwania ludu. *rb.*

<sup>1)</sup> Szanowny Referent zdaje się tu zapominać o tém, że szlachectwo polskie było do pewnego stopnia nagrodą za zasługi publiczne; że po każdej ważniejszej akcji widzimy między uchwałami sejmowemi poważnie bardzo listy osób nobilitowanych, z czego wynikało, że zastępy tego uprzywilejowanego tłumu coraz bardziej rosły i rozmiarami swemi imponowały reszcie Europy. Zasklepienia tedy w tym stanie nie było i przed 3-im maja; ale znaczenie tej ustawy ze względu na kwestyą szlachectwa nie polega na mamidło fantazyi poety, pragnącego „zszlachcić naród cały,” ale na zapewnieniu opieki prawa i władzy dla ludności nicuprzywilejowanej. Fikcyja nobilitowania całego narodu dowodziłaby tylko potęgi przesądu wiekami zadawnionego; byłaby środkiem postępowym, wystarczającym dla fantazyujących demokratów nowszych, których zewnętrzne pozory często mylą; ale społeczeństwo jasno na rzeczy patrzące, nie pragnie nigdy opierać się na podstawie przywileju, tylko na podstawie prawa, będącego równym puklerzem dla wszystkich. *Przyp. Red.*



„Wycieczka w Czorsztyńskie,” skreślił Bronisław Gustawicz, członek c. k. Towarzystwa geograficznego w Wiedniu. Warszawa, nakład T. Sulimierskiego, 1881, w 8-ce mn. str., 271.

Opisów naszych okolic Tatrzańskich niebrak, w tych jednak często spotyka się błędy; inne, dokładniejsze w szczegółach, oschłością czytelnika odstręczają. Autor niniejszego, we wstępie obiecuje być „sumiennym i wiernym” i obietnicy tej dotrzymuje. Opisuje drogę koleją Tarnowsko-Leluchowską, dolinę Sądecką, Nowy i Stary Sącz, Krościenko, nareszcie Czorsztyń. Dzieje zamku i starostwa Czorsztyńskiego kreśli szczegółowo, przywołując wypadki z kroniki miejscowej, historii całej Polski dotyczące. Ciekawy jest np. epizod o Aleksandrze Napierskim (Kostka), emisariuszu Bohdana Chmielnickiego, znanym także pod nazwiskiem Szymona Bzowskiego, prawdziwym protoplaście nowoczesnych demagogów, który wzywał lud wiejski do powstania przeciwko szlachcie i żydom w imieniu króla. Był on, jak utrzymują, synem naturalnym Władysława IV, człowiek śmiały i usposobienia awanturczego, postawy okazałej, ukształcony i przebiegły, miał nawet dar pióra, jak to widać z jego listów, które po części wierszem pisywał. Z oddziałem opryszków, zbiegłych więźniów i różnych awanturników, zajął zamek Czorsztyński, miał zamiar napaść na Kraków i w całej zachodniej Polsce wywołać powstanie ludu, gdy szlachta wyruszyła na wyprawę Berestecką. Nie zdołał jednak wywołać silnego ruchu pomiędzy chłopstwem; za nadejściem siły zbrojnej, wysłanej przez biskupa krakowskiego, opuszczony od swoich, dostał się do niewoli i 28 lipca r. 1651, wraz ze współnikiem swoim Łętowskim, stracony został w Krakowie.

Daliej opisuje autor lud okoliczny, jego zabobony, opowiada kilka powieści w tej materii i przywodzi wyimki z pieśni śpiewanych przez lud tameczny, które jednakże nie wiele zawierają kolorytu miejscowego i jak pokazuje ich forma, po większej części pożyczone są z sąsiedniej ziemi krakowskiej. W ogóle część etnograficzna jakkolwiek zawiera wiele rzeczy ciekawych, mniej jest dokładna, niż rozdziały historyczno-geograficzne, główną materią książki tej stanowiące.

Styl jest gładki i pod względem języka nie wiele mamy do zarzucenia: znachodzą się zapiski (str. 48), wyrażenie utarte u pisarzy galicyjskich, nie jest przecie dobrą polszczyzną; szczególnież tóż zapiski, to u nas znaczy poprostu—papier zapisany; prawdopodobnie, że już... istniała (str. 57), zdanie główne niewłaściwie ujęte w formę przysłówkową. Nie lepiejże było powiedzieć: prawdopodobnie już istniała?

*rh.*

„O pojedynkach.“ Przez Józefa Naimskiego. Warszawa, 1881 rok; w 8-ce, str. 146 i II.

W przedmowie powiada autor: „pogląd krytyczny na pojedynek, jak przedstawienie praktykowanych we Francyi zasad pojedynku, oraz przytoczenie kar kodeksem karnym na pojedynkujących się naznaczonych, odwieść powinny niejednego od fatalnej pojedykomanii. Zgubna ta choroba oddawna trapiąca nasz kraj, w ostatnich czasach tak się rozwieliżniła (?) że niejako w modę wszedłszy, uczyniła z pojedynku, rzeczy poważnej, gdy o pomstę prawdziwie obrażonego honoru idzie, nie więcej jak igraszkę.”

Daléj czytamy: „autor opracowawszy tę książkę z możliwą starannością, puszczając ją w świat szeroki (?), cieszy się błogą nadzieją, iż nagromadzone tu rozmaite zdania i przykłady odwiodą zbyt krewkich, od sięgnięcia po szpadę lub pistolet. Jeżeli uratuje choć jedno życie ludzkie, cel jéj będzie osiągnięty!”

Jak widzimy, autor ma wiarę w użyteczność swej książki, a choć wyraża to niby skromnie, nie brak mu zaufania w jéj powodzenie. Rozpowszechniła się u nas, jak twierdzi p. Naimski „fatalna pojedykomania;“ nie już dla „potrzeby prawdziwie obrażonego honoru,“ ale jak powiedział ks. Krasicki:

Dla zabawy, dla igraszki  
Kładą życie za fraszki.

W liczbie środków wyleczenia téj „choroby“ ma być „pogląd krytyczny“ na pojedynek, przytoczenie zasad pojedynku, oraz kar kodeksowych.” Zgoda. Cel jest bardzo filantropijny, właściwości środków in absurdum nie chcemy zaprzeczać, idzie tylko o to, czy takowe in concreto są dostateczne.

„Pogląd krytyczny“ każe się spodziewać rozbioru zdań wypowiedzianych w téj materji przez teoretyków i statystów. Pisali o pojedynku u nas: T. Czacki, Lelewel, Moraczewski, O. Hausner, S. Budziński, nie mówiąc już o artykułach zamieszczanych w pismach peryodycznych; we Francyi: M. E. Colombey, M. E. Cauchy, M. Dupin, S. E. Reynaud, Vallée; w Niemczech: Buhler, Genis, Mittermayer, Hengslerberg, Edler v. Seidel, Schramm, Egenter i wielu innych.

Z przywiedzionych przez autora źródeł (w liczbie których mieszczą się dwie encyklopedye, dwie historie Rosyi!) wnosić wypada, że literatura przedmiotu nie jest całkiem mu obcą, krytycznego ich atoli użycia, wcale nie widać. Poglądów naukowych i rozbioru prawodawst nie przywodzi, w końcu tylko wypisuje artykuły rosyjskiego Kodeksu kar gł. i poprawcz.; w inném zaś miejscu w rozdziale o pojedynku w Prusach i w Austrii, przepisy kodeksu austriackiego (str. 33) i na tém rozdział ten zamyka. Dzieje tego zwyczaju u różnych narodów Europy

a nawet Azji (!) są urywkowe i przeważnie anegdotyczne, charakterystyki obyczajowej pod tym względem wcale nie zawierają. Spisanie prawideł pojedynku podług zwyczaju francuzkiego z dodaniem „komendy,” największą część książki obejmują (str. 56—140). Jako pod ręcznik dla pojedynkujących, przydać się to może; lecz, żeby miało wywrzść ów wpływ powstrzymujący, jak to autor sobie tuszy, wątpić można. Aby odwieść od złego, trzeba samemu mieć ustalone przekonanie, że to jest złe; ze słów zaś autora „Pojedynku,” który, raz go gani, nazywając ten zwyczaj barbarzyństwem“ i „chorobą;“ drugi raz „niebierze za złe pojedynkującym się za honor“ i t. d., oraz z przywiedzionych przez niego przykładów, wnosić wypada, że w jego przekonaniu ten zwyczaj jest przynajmniej złem, z którym łatwo się pogodzić można i że środki na niego podane tyle będą skuteczne, co niniejsza książka.

Co do upowszechnienia pojedynku u nas ostatniemi czasy, sądzić możemy z tego, że podług sprawozdań wydziału kryminalnego b. Komisji sprawiedliwości z dziesięciu lat (1865—1874), spraw o pojedynki było przecięciowo rocznie jedna. W roku 1877 (podług wykazów biura statystycznego warszawskiej Izby sądowej) 3, w roku 1878: 5, w roku 1879: 11.

Z tego się pokazuje, że liczba pojedynków powiększyła się, w każdym razie jednak, jest jeszcze zamałą, aby w tém rozwieleniu nie się choroby upatrywać należało. Powstaje więc zarzut, że autor albo przeceniał ważność swego zadania, albo też zawiele spodziewając się od „trafnych i przekonujących rad swoich“ (str. 56) zbyt tanim kosztem i siebie i społeczeństwo uszczęśliwić pragnął.

*rb.*



## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

### WARSZAWA.

*Kwiecień 1881.*—W skutek zabiegliwych starań komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa urządzoną została z przysposobionych na niedoszłą w r. b. wystawę w Moskwie przedmiotów, wystawa w salach pałacu Brühlowskiego, otwarta w dniu 26 kwietnia w obecności generał-gubernatora i gości zaproszonych przez prezesa komitetu Muzeum przemysłu hr. Ludwika Krasieńskiego. Wystawa ta, będąc odłamkiem niedoszłej wielkiej wystawy, różni się doborem i zestawieniem okazów od wszystkich dotychczasowych wystaw w Muzeum. Dawniejsze, jak słusznie zauważył „Wiek“, były systematyczne, specjalne, przedstawiały mniej więcej dokładnie stan obecny pewnej gałęzi przemysłu krajowego; wystawa zaś terażniejsza to mozaika, złożona z różnorodnych cząsteczek, a przecież tworzących powabną całość; to miniatura, przedstawiająca pobieżnie niemal wszystkie gałęzie produkcyjności fabrycznej i rękodzielniczej naszego kraju. Jeżeli wśród okoliczności, w których wystawa dzisiejsza powstała, nie mogła ona być systematyczną, a tém samém tak korzystną pod względem nauki dla ogółu jak poprzednie, to zaprzeczyć jednak nie można, że przedstawia się tak w całości jako i w pojedynczych szczegółach wdzięcznie, pięknie i korzystnie. Najcelniejsze firmy krajowe, w liczbie stu trzydziestu kilku, wykazały tutaj czego dokazać potrafią, tak, że z przedstawionych okazów możemy dosyć dokładnie ocenić postęp każdej firmy, każdej fabryki, każdego zakładu. Okazy pomieszczone są na dole i w salach pierwszego piętra. Sale dolne przeznaczone na wystawę maszyn i różnych aparatów przemysłu rolniczego i gospodarskiego. W salach pierwszego piętra ustawiły różne fabryki swoje wyroby. Wystawa ma być otwartą przez cztery tygodnie.

— Kwestya języka i literatury polskiej w szkołach publicznych i w uniwersytecie, była przez cały miesiąc na porządku dziennym; ale przy całej nagłości i ważności przedmiotu manipulowano nią tak bojaźliwie—zdaje się, prawie niechętnie, że ostatecznie ze sprawy jasnej jak słońce, prostój jak linia między dwoma punktami, powstał labirynt za-

ciemniony różnorodnymi kwestyami algebraicznymi, tudzież poważną niby dyskusyą nad tém: czy p. Przyborowski, znany z systematycznej szkoły filolog, czy pan Piotr Chmielowski, znany z krytycznych prac swoich, niemniej zasłużony literat,—ma objąć katedrę literatury polskiej? Nie mogąc dokładnie sprawdzić czy i o ile labiryntów ów jest naszym dziełem, trudnoby nam było prostować ścieżki jego; dlatego ograniczamy się na tém miejscu na udzieleniu czytelnikom naszym następujących faktycznych wiadomości.—Jeszcze przed Wielkanocą wezwał Okręg naukowy warszawski dyrektorów gimnazyalnych do przedstawienia uwag, w jaki sposób należałoby wprowadzić w wykonanie Najwyższy rozkaz równouprawnienia języka polskiego w szkołach średnich z językami nowożytnymi. Najwyższa sankcyja stanowi: 1) że język polski ma być porównany co do stanowiska swojego i liczby lekcji tygodniowych z językami nowożytnymi, to jest niemieckim i francuzkim; 2) że kurator okręgu naukowego warszawskiego, a za jego pośrednictwem przełożeni zakładów średnich, mają obmyślić środki odpowiedniego wykonania Najwyższej uchwały. Pominęcie w tej sprawie rad pedagogicznych, które w myśl ustawy szkolnej hr. Tołstoja, są powołane do roztrząsania kwestyi dydaktycznych, każe nam wnosić, że wyższe sfery rządowe pragnęły, aby jaknajspieszniej powyższa uchwała wykonaną być mogła. Tymczasem cóż się dzieje? Programat nauk gimnazyalnych wykazuje 19 godzin w tygodniu dla języków nowożytnych: należałoby się więc i językowi polskiemu tyleż godzin tygodniowo; lecz naczelnicy dyrekcji naukowych i dyrektorowie, powołani przecie do powołnego wykonywania rozporządzeń Najwyższych, wyrachowali, że dla Polaków, których potrzeby umysłowe rząd uznał, dosyć będzie godzin 17 dla wykładu języka polskiego w klasach gimnazyalnych, a te doliczone do 2 godzin klasy wstępnej, pozostającej poza organizacją gimnazyalną, dadzą cyfrę 19. W skutek takiego błędnego zapatrywania się na przedmiot, ma młodzież polska stracić rocznie około 80 godzin nauki polskiego języka. Widać z tego, że ten najmłodszy nieborak nowożytny nie zasługuje jeszcze, mimo wyraźnej woli Monarchy, na uprawnienie w szkole!—Należałoby oczekiwać, że w tym razie wola Monarchy silniejszą będzie niż w sferze sądownictwa wyroki Senatu; a po nauczycielach języka polskiego spodziewamy się, że poważnym zapatrywaniem się na ważność tego przedmiotu, przywróca mu powagę i znaczenie pedagogiczne, które racjonalna pedagogika mowie ojczystej wszędzie przyznaje.

Drugą sprawą równie ważną jest sprawa katedry literatury polskiej w Uniwersytecie warszawskim. Kurator okręgu naukowego, otrzymawszy polecenie, aby dla zupełnego wykonania ustawy uniwersyteckiej, przedstawił władzy wyższej kandydata na profesora zwyczajnego języka i literatury polskiej w uniwersytecie, porucił wybór osoby dziekanom, którzy mieli to uczynić po wspólnej naradzie z profesorami Polakami. W dniu 26 marca dziekani odbyli odpowiednią naradę w mieszkaniu prywatnym jednego z dziekanów, na której po przeprowadze-

niu gruntownej dyskusji nad tém, czyto ma być katedra języka polskiego z uwzględnieniem literatury, czy też ma to być przeważnie katedra literatury polskiej: zgodzono się stanowczo na tę drugą. Względnie do tych dwóch poglądów nasuwały się dwie poważne kandydatury: prof. Józefa Przyborowskiego i d-ra Piotra Chmielowskiego. Zebrani profesorowie Polacy, w których kole znajdował się także prof. Przyborowski, zalecili dziekanom przedstawić Piotra Chmielowskiego na profesora do katedry literatury polskiej. Niezależnie od tego, (i tu już nie rozumiemy dalszej manipulacji), kurator zażądał, aby rektor ze swjej strony przedstawił również kandydata. Wybór rektora padł na prof. Przyborowskiego. Sprawa tedy ogólnego naukowego interesu, przedzierzgnęła się z niesłychaną zrećnością w kwestyą osobistą, w obec której sam fakt, to jest uznana przez najwyższą władzę potrzeba obsadzenia katedry literatury polskiej schodzi z oczu, chociaż w interesie kształcącej się młodzieży powinien był spełnić się jaknajrychlejš, bez żadnych innych względów prócz tego jednego, aby człowiek kompetentny z odpowiednią wszechstronną kwalifikacyą do wykłádu akademickiego, ważne to stanowisko jaknajprędzej mógl zająć. Czy na zwłocę téj sprawy zyska młodzież polska? Wątpiny.

— Naród czeski wytrwałą, rozumną solidarnością wywalczył sobie nareszcie ważne dla swojej narodowej oświaty ustępstwo ze strony ministeryum wiedeńskiego. Postanowieniem cesarskiem dnia 10 kwietnia r. b., polecane jest otworzenie wydziałów równoległych czeskich obok niemieckich, na uniwersytecie prazkim. Fakultety, czyli wydziały: filozoficzny i prawny, mają być otwarte zaraz z początkiem nowego roku akademickiego, czyli semestru zimowego r. 1881/2, zaś lekarski i teologiczny z początkiem następnego semestru. Tak więc Praga czeska mieć będzie dwa uniwersytety, administracyjnie połączone: czeski i niemiecki, pod nazwą Carlo-Ferdinanda. Usunięta więc zostaje w części anomalia, że naród sześciomilionowy, najstarszy w Słowiańszczyźnie pod względem oświaty, a który nawet i Niemców pod wielu względami wyprzedził, w ognisku swoim w Pradze, której, jak ostatni spis wykazał, 78% ludności jest słowiańskiej, pozbawiony był naturalnego prawa słuchania nauk we własnym języku, pod względem piśmiennictwa naukowego z pewnością nieupośledzonym. Pozostaje wszakże do uregulowania stosunek wzajemny obu wszechnic pod względem administracyjno-skarbowym. Uniwersytet czeski posiada liczne nadania, które Niemcy za swą wyłączną własność chcą poczytywać, pod tym pozorem, że Carolineum (uniwersytet założony przez Karola IV) przeznaczony był dla całej Rzeszy, a więc głównie dla Niemców. Jest przecież nadzieja, że po udzieleniu tak ważnego, choć część tylko należności oddającego ustępstwa, i pozostała kwestya administracyjna w duchu równouprawnienia rozstrzygniętą zostanie. *rb.*

— Napisanie historii literatury powszechnej jest jedném z najtrudniejszych zadań ze względu na ogromny materyał, jaki potrzeba opanować i w organiczną ułożyć całość. Scherrowi, uczonemu niemiec-



kiemu powiodło się najlepiej pokonać te trudności i wśród nieprzejrzanej prawie powodzi faktów i zjawisk na polu literatury, nie toną u niego w obrazach ogólnych, ani nie rozproszyły się na atomy; ale spojone nicią duchowego związku, składają się organicznie na jeden wielki majestatyczny obraz. Dzieło to doczekało się w Niemczech już 6-go wydania. Z tego powodu należy się wdzięczność zabiegliwej na polu naszej literatury księgarni Gebethnera i Wolffa, że podjęła wydanie tłumaczenia tego dzieła na język polski, dokonanego przez znanego nietylko na tój niwie uczonego lwowskiego Bronisława Zawadzkiego, który dzieło Scherra, doprowadzone do współczesnej doby, uzupełnił przypiskami, dział zaś literatur słowiańskich znacznie rozszerzył. Całość wyjdzie w ciągu roku bieżącego w 2-ch tomach, czyli w sześciu zeszytach. Cena całego dzieła w prenumeracie wynosi rs. 5 w Warszawie, które mogą też być wnoszone ratami, t. j. płacąc przy odbiorze pierwszych 5-u zeszytów po rublu. Cena na prowincyi wynosi rs 6 (przy zamówieniu rs. 3 i po otrzymaniu 2-go zeszytu rs. 3).

— W miesiącu kwietniu wyszedł z druku „Rocznik zbiorowy prac naukowych na rok 1880,” składający się z rozpraw młodzieży polskiej uniwersytetu warszawskiego. Nietylko ta okoliczność, że mamy przed sobą dokument poważnych naukowych trudów polskiej młodzieży akademickiej; ale i ciekawa treść naukowa „Rocznika” zwraca na siebie szczególniejszą życzliwą uwagę czytelników Bibl. Warsz. „Rocznik” 1880 r. zawiera 7 rozpraw, mianowicie: Frańciszka Olszewskiego, studenta IV kursu prawa: „Policya lekarska w dawnéj Polsce.” Henryka Konitza, studenta IV kursu prawa: „Rolnictwo i handel za czasów księżtwa warszawskiego (1807—1815).” Henryka Merczynga, studenta III kursu wydziału matematycznego: „Kołtątaja i Czackiego projekt urządzenia gimnazjum wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gubernii wołyńskiej.” Dawida Wasserzuga, studenta V kursu wydziału lekarskiego: „O pęcherzu moczowym” (vesica urinaria), z czterema tablicami naukowemi. Józefa Stanisława Konitza, studenta III kursu wydziału nauk przyrodniczych: „Przyczynek do absorbcyi światła przez węglowodory szeregu aromatycznego;” do tekstu dodana jest jedna tablica rysunkowa. J. Cohna, studenta III kursu wydziału matematycznego: „O niewymierności liczby *e*.” Wreszcie rocznik zawiera nekrologią i kronikę naukową, którą stanowi spis bibliograficzny prac naukowych studenckich, bądź drukowanych, bądź niedrukowanych, lecz napisanych na medale i wyróżnione przez odnośne wydziały w uniwersytecie warszawskim.

-- Gazeta Lwowska podaje następującą wiadomość, pożądaną dla osób, które zajmują się urządzeniem wystawy Sobieskiego w Krakowie. Przed kilku laty, na wystawie cennych pamiątek z czasów t. zw. wojen jakobickich w Anglii, w londyńskim „South Kensington Muzeum,” znajdowały się zabytki piękne i kosztowne, niegdyś do Sobieskich należące. Pożyczył ich był Karol Edward Stuart hr. d'Albani, wnuk sławnego Karola Edwarda, zwanego „kawalerem,” co w r. 1745 na cze-

le górali szkockich, upominając się z bronią w ręku o prawa do korony, walczył ze szczęściem, ale po klęsce poniesionej pod Culloden, znowu został wygnańcem. Książę ten, jak wiadomo, był synem wnuczki króla Jana III, Klementyny Sobieskiej, zaślubionej Jakubowi Stuart. Rząd angielski nazywał go tylko naturalnym potomkiem Stuartów, ale pomimo tego uważał za dość niebezpiecznego pretendenta, skoro olbrzymią cenę nałożył na jego głowę, bo aż 40,000 funtów szterlingów. Szkoccy legitymiści widzieli w nim zawsze prawowitego dziedzica korony swego kraju. Dzieckiem ukrywali go dłuższy czas przed emisaryuszami angielskimi i nazywali go „Jolair Dearg.” Ostatni ten potomek Stuartów zostawił dwóch synów. Starszy z nich, Jan Sobieski Stolberg-Stuart, umarł bezpotomnie, młodszy zaś, właściciel pamiątek familijnych, dożywszy lat 82, zeszedł ze świata na pokładzie parowca w Bordeaux w wigilię Bożego Narodzenia r. z. Zostawił czworo dzieci. Rodowód familii Stuartów Sobieskich znajduje się w almanachu arystokracji angielskiej (Peerage). Pamiątki, o których mowa, nie znajdują się wszakże w ich posiadaniu, ale przeszły testamentem ojca na własność słynnego bogacza angielskiego i gorliwego katolika, markiza Bute, któryby pewnie wszystkie zabytki po Janie III przysłał na wystawę krakowską, gdyby go o to poproszono.

— „Złoto srebro i drogie kamienie,” taki jest tytuł podręcznika wydanego w tych dniach przez p. Józefa Sosnkowskiego starszego proberza rządowego. Celem téj pracy jest przyjsię z pomocą nietylko specjalnie poświęcającym się fabrykacyi wyrobów złotych i srebrnych, ale i tym, którym wewnątrzna wartość i próba monet i wyrobów zagranicznych i krajowych dotychczas nie jest znana. Dziełko, oprócz wiadomości o drogich metalach i innych, mających z nimi związek, obejmuje wiadomości: o wartościach i próbach wyrobów i monet złotych i srebrnych zagranicznych i krajowych, o sposobach doprowadzenia drogich metali do żądanych, lub prawem przepisanych prób, wraz z dołączeniem ułatwiających tablic i obrachunków; o sposobach próbowania złota i srebra, o prawach obowiązujących w handlu drogiemi kruszcami; wreszcie o gatunkach, wartościach i rozpoznawaniu drogich kamieni i t. d. Pierwsza i jedyna to dotychczas w naszym języku praca.

— Ambasada hiszpańska w Wiedniu ogłosiła w Austrii konkurs na napisanie ody dla uczczenia jubileuszu Calderona. Przed kilku dniami przyznano nagrody. Trzy złote medale, ważące każdy po 100 gramów złota, otrzymali Węgier Kasper Oltrani, Czech, Świętopełk Czech i Polak Platon Kostecki, mieszkający we Lwowie.

— Na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, z d. 7 marca, odczytał p. Ig. Zakrzewski bardzo obszerną i gruntownie opracowaną rozprawę swoją p. t.: „Granice Wielkopolski.” Szanowny prelegent przedstawił w tym odczycie, jak żywioł germański stopniowo a bezustannie przez wiele wieków wdzierał się z Zachodu w granice Polski, a Polacy, lubo dzielni w boju i często zwycięzcy, nie położyli trwałej tamy przeciw temu napływowi sąsia-

dów chciwych grabieży. W roku 963 Wichman, dalej Geron i znowu Wichman staczali walki z Mieszkim, który jeszcze był panem lewego brzegu Odry. W dalszych wiekach germanizm coraz bardziej obejmował swemi ramionami granice Polski, stawiając na zdobytej ziemi grody, jak Landsberg nad Wartą i t. d. Świetne zwycięstwo Łokietka nad Niemcami, w skutek którego ci wyparciu do swego kraju, zkąd skarżąc przed Papieżem na Łokietka wytaczali, że się z nimi po barbarzyńsku obchodził, nie przyniosło Polakom żadnej korzyści, gdyż ci opieszali, bez jedności planu w działaniu, zamiast zabezpieczenia granic, wracali do domu, zostawiając Niemcom pole do korzystania z swego niedołęztwa. Inaczej postępowali sobie książęta niemieccy, którzy lubo podzieleni, często nawet niezgodni, działają wspólnie na zewnątrz a zwłaszcza, gdy chodziło o rozszerzenie swych granic. Aby dopiąć tém łatwiej swego celu, nie przebierali nawet w niegodziwych środkach, czego dowodem morderstwo wykonane na Przemysławie w Rogoźnie w r. 1296 przez Zarembów w spółnictwie z Margrafami. Drugim żywiołem germanizacyjnym byli rycerze niemieccy, przybłędy i awanturnicy, którzy nabywszy spory obszar ziemi polskiej, stawiali zamki i grody, nadając im niemieckie nazwiska. Z nich robili łupieżkie wyprawy na sąsiadów, a w razie wojny łączyli się ze swymi. Nie mało się też przyczyniały do germanizacji przywileje nadawane zakonom. Szanowny prelegent przeszedł następnie do opisanja granic Północy i Wschodu. Zrozumienie odczytu tego ułatwiła bardzo starannie przez prelegenta wykonana mapa, na której kolorami są oznaczone kraje oderwane przez książąt szlązkich i margrafów brandeburskich od Polski. Po skończonym odczycie wywiązała się bardzo ożywiona dyskusya, w której brali udział dr. K. Szulc, dr. Łebiński i Prelegent.

### N e k r o l o g i a.

— † Dnia 20 marca 1881 r. umarł w Paryżu zasłużony profesor i znakomity matematyk *Grach Henryk Niewęglowski*, w wieku lat 75. Niewęglowski urodził się w r. 1807, w Międzyrzeczu w Lubelskiem; nauki pobierał najprzód w szkołach wojewódzkich w Łukowie a następnie w Uniwersytecie warszawskim, gdzie na wydział matematyczny i administracyjny uczęszczał. Z ławek uniwersyteckich zaciągnął się do wojska i jako artylerzysta dobił się krzyża zastugi. Zmuszony wyjść zagranicę, osiadł w Paryżu i tam poświęcił się wyłącznie i z zapałem naukom matematycznym. W 1850 r. zaświtała mu lepsza doła, uzyskał bowiem posadę profesora w szkole wyższej w Paryżu, którą nieszczęśliwe wypadki 1870 r. zniszczyły, pozbawiając Niewęglowskiego głównego punktu oparcia. Mimo braku częstokroć pierwszych potrzeb do życia, napisał i wydał Niewęglowski cały szereg cennych



dział matematycznych, a mianowicie: „Geometrią“ (dwa wyd. w Paryżu), „Arytmetykę“ (Paryż, 1866 rok), „Trygonometrią prostokreślną i sferyczną“ (Paryż, 1870 r.), „Mechanikę rozumową“ (Paryż, 1873 r.), „Algebrę“ (Paryż, 1879 r.), „Geometrią analityczną“, która pozostała w rękopiśmie. Na wydanie większej części tych dziełłożył ś. p. hr. Jan Działyński, niegdyś uczeń a następnie aż do śmierci protektor Niewęglowski. Skonał z piórem w rękę, jak żołnierz na stanowisku. Cześć jego pamięci i spokój jego duszy!

— † Ś. p. *Stanisław Janikowski*, doktor medycyny i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, zmarł dnia 21 b. m. w Krakowie. Nieboszczyk był synem Andrzeja a synowcem Teofila Janikowskiego, dobrze znanych w Warszawie z położonych tutaj zasług obywatelskich. Ś. p. Stanisław, w Warszawie także rozpoczął swój zawód jako lekarz praktykujący i docent Szkoły Głównej warszawskiej, i tu także dał się poznać pracami swemi na polu piśmiennictwa lekarskiego. Powołany następnie do Krakowa na katedrę medycyny sądowej i policji lekarskiej, zarzucił zupełnie praktykę, aby się tém swobodniej oddać pracy naukowej około swego zawodu. Jako członek Krakowskiej Akademii Umiejętności, zajmował się w ostatnich latach gorliwie słownikiem lekarskim, a na zjeździe przyrodników polskich, który się ma odbyć w lipcu w Krakowie, miał pełnić obowiązki przewodniczącego w wydziale gospodarczym. Miłujący gorąco naukę, miłowany dla zacności charakteru przez uczniów swoich, wysoko ceniony przez wszystkich którzy go znali, ś. p. Janikowski zgaśł przedwcześnie dla nauki i społeczeństwa, dla których jeszcze długo i pożytecznie mógł pracować, liczył bowiem dopiero lat 42. Cześć jego pamięci!

— † D. 14 kwietnia r. b. umarł *Benedykt Aleksandrowicz*. Urodzony w roku 1796 w Terespolu, był referentem leśnym w b. Komisji rządowej spraw wewnętrznych, po której zwinięciu spadł z etatu i pracował do końca życia niezamordowanie, już to jako pisarz na polu nauk ekonomicznych, już to jako technik prywatny przy urządzaniu lasów. Z pomiędzy mnóstwa prac jego naukowych zasługują na uwagę: 1) „O drzewie i jego użytku“, 2) „Wyrachowanie objętości drzewa w pniach stojących“, 3) „Sprzedaż drzewa na wagę“, 4) „Instrukcja dla ekonoma folwarku“, 5) „Projekt oczyszczania włościan“, 6) „Artykuły w Encyklopedyi Rolniczej“, 7) „O trzebieży leśnej“ i t. d. Cześć jego pamięci!

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*